

Iwan Turgieniew

SZLACHECKIE GNIAZDO

I

Słoneczny wiosenny dzień miał się ku wieczorowi; niewielkie różowe chmurki stały wysoko na jasnym niebie i jak gdyby nie przepływały dalej, lecz powoli uchodziły w głąb lazuru.

Przed otwartym oknem ładnego domu, przy jednej z ulic położonych niemal na samym kraju gubernialnego miasta O*** (było to w 1842 roku), siedziały dwie kobiety: jedna lat około pięćdziesięciu, druga — staruszka siedemdziesięcioletni a.

Pierwsza z nich nazywała się Maria Dmitriewna Kalitin. Jej mąż, eks-prokurator gubernialny, człowiek głośny w swoim czasie z przedsiębiorczości — obrotny i energiczny, ale zgryźliwy i uparty — umarł przed dziesięcioma laty. Odebrał dość staranne wychowanie, studiował na uniwersytecie, ale pochodząc z biednej rodziny wcześniej pojął konieczność utorowania sobie drogi w życiu i zdobycia fortuny. Maria Dmitriewna wyszła za niego z miłości: był niebrzydki, rozsądny i kiedy chciał, potrafił być bardzo ujmujący. Maria Dmitriewna, z domu Piestow, będąc jeszcze dzieckiem straciła rodziców, kilka lat spędziła w Moskwie, w instytucie, i wróciwszy stamtąd zamieszkała z ciotką i starszym bratem w swojej rodowej wsi Pokrowskie, w odległości pięćdziesięciu wiorst od O***. Brat ów niedługo potem przeniósł się do Petersburga na służbę państwową; ze swoją siostrą i ciotką źle się obchodził, póki nagła śmierć nie położyła kresu jego postępowaniu. Maria Dmitriewna odziedziczyła Pokrowskie, ale krótko tam przebywała; już w rok po ślubie z Kalitinem, który w ciągu paru dni potrafił zdobyć jej serce, Pokrowskie zamieniono na inny majątek, o wiele bardziej dochodowy, ale nieładny i bez dworu — a w tym samym czasie Kalitin nabył dom w O***, gdzie też osiadł z żoną na stałe. Koło domu znajdował się duży ogród, z jednej strony wychodzący wprost na pole, za miasto. „W tych warunkach — zdecydował Kalitin, niezbyt wielki amator ciszy wiejskiej — nie ma po co jeździć na wieś.” Maria Dmitriewna nieraz w duchu żałowała swojej dawnej ślicznej posiadłości z wesołą rzeczką, rozległymi łąkami i zielonymi zagajnikami, ale się w niczym nie sprzeciwiała mężowi, szczerze podziwiając i poważając jego rozum oraz znajomość życia. Kiedy zaś po piętnastu latach małżeństwa Kalitin umarł zostawiając syna i dwie córki, Maria Dmitriewna tak się już przyzwyczaiła do swojego domu i do miasta, że sama nie zechciała wyjechać z O***.

Maria Dmitriewna cieszyła się za młodu opinią milutkiej blondynki; teraz, gdy miała lat pięćdziesiąt, rysy jej twarzy również nie były pozbawione uroku, aczkolwiek trochę się zniekształciły i zgrubiały. Należała do kobiet raczej wrażliwych niż dobrych i do późnego wieku zachowała pensjonarskie nawyki; była rozpieszczona, łatwo ulegała rozdrażnieniu, a nawet płakała, kiedy jej coś zakłóciło ulubiony porządek rzeczy; stawała się natomiast zawsze bardzo dobrotliwa i uprzejma, gdy jej życzenia spełniano szybko i bez sprzeciwu. Dom jej zaliczał się do najprzyjemniejszych w mieście. Byt miała doskonale zabezpieczony nie tyle dzięki otrzymanemu spadkowi, ile dzięki zapobiegliwości męża. Obie córki mieszkały razem z nią; syn kształcił się w jednym z najlepszych gimnazjów państwowych w Petersburgu.

Staruszka, siedząca obok niej przy oknie, była tą samą ciotką, siostrą jej ojca, z którą Maria Dmitriewna spędziła ongiś kilka samotnych lat w Pokrowskiem. Staruszka nazywała się Marfa Timofiejewna Piestow. Słynęła jako dziwaczka, charakter miała niezależny, mówiła wszystkim prawdą w oczy i dysponując nader ograniczonymi środkami pieniężnymi zachowywała się tak,

jakby mogła wydawać tysiące. Zmarłego Kalitina po prostu nie cierpiała i gdy tylko bratanica wyszła za niego za mąż, wyjechała do swojej wioski, gdzie spędziła całe dziesięć lat, mieszkając u chłopa w kurnej chacie. Maria Dmitriewna trochę się jej bała. Czarnowłosa i bystrooka nawet w starości, malutka, o spiczastym nosie, Marfa Timofiejewna chodziła zwawo, trzymała się prosto i mówiła szybko a wyraźnie, cienkim i dźwięcznym głosem. Stale nosiła biały czepiec i biały kaftan.

— O czym się tak zamyśliłaś, kochaneczko? — spytała nagle Marii Dmitriewny. — Czemu tak wzdychasz?

— Tak sobie! — odrzekła tamta. — Jakie cudowne obłoki!

— Tak ci żal tych obłoków?

Maria Dmitriewna nic nie odpowiedziała.

— Cóż to ma znaczyć, że Gedeonowski jeszcze nie przyszedł? — odezwała się znowu Marfa Timofiejewna zręcznie poruszając drutami. Robiła duży wełniany szal. — Powzdychałby sobie razem z tobą albowy ci naopowiadał różnych niestworzonych rzeczy.

— Jak się jednak ciocia zawsze surowo o nim wyraża! Sergiusz Pietrowicz jest człowiekiem godnym szacunku.

— Godnym szacunku! — powtórzyła z przekąsem staruszka.

— A jaki był oddany mojemu mężowi nieboszczykowi! — rzekła Maria Dmitriewna. — Dotychczas nie potrafi o nim wspomnieć bez wzruszenia.

— Jeszcze by też! Przecie go tamten wyciągnął za uszy z błota — mruknęła Marfa Timofiejewna i druty zaczęły jeszcze szybciej migać w jej rękach.

— Wygląda na takie niewiniątko — podjęła znów ten sam temat — głowę ma całą siwą, a co otworzy usta, to skłamię albo naplotkuje. A w dodatku radca stanu! No cóż, dość powiedzieć: popowicz.

— Nie ma ludzi bez wad, ciotuniu. Sergiusz Pietrowicz grzeszy nadmiernym gadulstwem, przyznaję. Nie wychowano go jak należy, nie umie mówić po francusku, ale to bardzo sympatyczny człowiek, proszę cioci.

— Tak, ciągle ci rączki liże. Nie mówi po francusku — wielkie nieszczęście! Sama nie jestem mocna we francuskim dialekcie. A on by lepiej zrobił, żeby po nijakiemu nie mówił i nie kłamał jak najęty. Proszę: o wilku mowa, a wilk tuż — dodała Marfa Timofiejewna spojrzawszy na ulicę. — Idzie, idzie ten twój sympatyczny człowiek. Jaki długi, całkiem jak bocian.

Maria Dmitriewna poprawiła sobie loki. Marfa Timofiejewna popatrzyła na nią z uśmiechem.

— Czy mi się zdaje, czy też naprawdę ci się pokazują siwe włosy, kochaneczko? Powinnaś dobrze zburzyć swoją Pałaszkę. Dlaczego nie uważa?

— Ciocia zawsze coś wymyśli... — mruknęła niezadowolona Maria Dmitriewna i zaczęła bębnić palcami po oparciu fotela.

— Sergiusz Pietrowicz Gedeonowski! — zaanonsował piskliwym głosem ogorzały kozaczek, który nagle wyskoczył zza drzwi.

II

Wszedł mężczyzna wysokiego wzrostu, w schludnym surducie, kusių pantalonach, szarych zamszowych rękawiczkach i dwóch halsztukach — jednym czarnym z wierzchu i drugim białym od spodu. Wszystko w nim tchnęło namaszczeniem i godnością, poczynając od ujmującej twarzy i gładko zaczesanych włosów na skroniach, kończąc na nie skrzypiących butach bez obcasów. Ukłonił się najpierw pani domu, potem Marfie Timofiejewnie i ściągnąwszy powoli rękawiczki podszedł do Marii Dmitriewny. Ucałował jej rękę z szacunkiem, dwukrotnie, po czym powoli siadł w fotelu i pocierając koniuszki palców rzekł z uśmiechem:

— Lizawieta Michajłowna zdrowa?

— Tak — odpowiedziała Maria Dmitriewna — jest w ogrodzie.

— A Helena Michajłowna?

— Lena też jest w ogrodzie. Nie ma żadnych nowin?

— Jak to nie ma, jak to nie ma? — odparł gość mrugając powoli oczami i wydymając wargi. — Hm!... Jest chociażby taka nowina, w najwyższym stopniu zdumiewająca: przyjechał Fiodor Iwanycz Ławrecki.

— Fiedia! — wykrzyknęła Marfa Timofiejewna. — Czyś ty jednak sam nie zmyślił tej nowiny, kochaneczku?

— Anibym się ważył na coś podobnego. Widziałem go na własne oczy.

— To jeszcze nie dowód.

— O wiele zdrowiej wygląda — ciągnął dalej Gedeonowski udając, że nie słyszał uwagi Marfy Timofiejewny — rozrósł się w ramionach i rumieńce ma na całych policzkach.

— Zdrowiej wygląda — powtórzyła powoli Maria Dmitriewna — a zdawałoby się, że powinien raczej podupaść na zdrowiu.

— Tak, proszę pani — podchwycił Gedeonowski — inny na jego miejscu nawet by nie miał śmiałości pokazać się ludziom na oczy.

— A to dlaczego? — przerwała Marfa Timofiejewna. — Cóż pan za głupstwa wygaduje? Człowiek wrócił do swoich stron rodzinnych, bo gdzież się ma podziąć? A zresztą niczym nie zawinił!

— Mąż jest zawsze winien, proszę szanownej pani, ośmielam się twierdzić, kiedy żona źle się prowadzi.

— Tak mówisz, kochaneczku, boś sam nigdy nie był żonaty.

Gedeonowski uśmiechnął się z przymusem.

— Pozwoli pani, że zaspokoję swą ciekawość — zapytał po krótkiej chwili milczenia — dla kogo jest przeznaczony ten milutki szal?

Marfa Timofiejewna szybko spojrzała na niego.

— Przeznaczony jest dla człowieka — odparła — który nigdy nie plotkuje, nie robi intryg i nie kłamie, jeśli tylko znajdzie się taki na świecie. Fiedię znam bardzo dobrze; tylko tym zawinił, że zbyt pobłażał żonie. Ano, ożenił się z miłości, a z takich małżeństw nigdy nic dobrego nie wychodzi — dodała staruszka i wstając spojrzała przelotnie na Marię Dmitriewnę. — Możesz sobie teraz, kochaneczku, ostrzyć ząbki na kim chcesz, nawet na mnie; wychodzę i nie będę ci przeszkadzała. — I Marfa Timofiejewna wyszła.

— Widzi pan, ona zawsze tak — powiedziała Maria Dmitriewna odprowadziwszy ciotkę oczyma — zawsze!

— Jest już dość leciwa! Trudno, proszę łaskawej pani! — zauważył Gedeonowski. — Lubi, na przykład, mówić: „kto nie robi intryg”. A czy są dziś tacy? Takie już czasy. Jeden z moich przyjaciół, człowiek przezacny, i pozwolę sobie zaznaczyć, nie byle jaka osobistość, twierdził, że w dzisiejszych czasach nawet kura do ziarna zbliża się bardzo przebiegle: zawsze się stara podejść jakby z boku. A gdy się popatrzę na panią, moja królowo, to widzę, jakie pani ma anielskie usposobienie. Proszę mi pozwolić ucałować tę śnieżnobiałą rączkę.

Maria Dmitriewna uśmiechnęła się blado i wyciągnęła do Gedeonowskiego pulchną rękę z odstającym małym paluszkim. Gedeonowski przyłgął do tej ręki ustami, a Maria Dmitriewna przysunęła do niego swój fotel i z lekka się nachyliwszy spytała półgłosem:

— Więc pan go widział? Czy rzeczywiście dobrze się trzyma, jest zdrowy, wesóły?

— Wesóły, proszę łaskawej pani, dobrze się trzyma — odparł Gedeonowski szeptem.

— Nie słyszał pan, gdzie obecnie przebywa jego żona?

— Ostatnio bawiła w Paryżu, proszę łaskawej pani. Teraz podobno przeniosła się do Włoch.

— Sytuacja Fiedy jest naprawdę okropna; nie wiem, jak on to wszystko znosi. Niewątpliwie, każdemu może się przytrafić nieszczęście, ale on został osławiony, że tak powiem, na całą Europę.

Gedeonowski westchnął.

— Tak, tak, proszę pani. Przecie ona podobno miała szerokie znajomości i z artystami, i z pianistami, i jak ich tam nazywają, z lwami i z innymi bestiami. Straciła resztki wstydu...

— Wielka, wielka szkoda — westchnęła Maria Dmitriewna. — Obchodzi mię to ze względów rodzinnych. Wie pan chyba, że Fiedia jest moim ciotecznym wnukiem.

— Ależ, proszę łaskawej pani, jakżeby nie wiedział wszystkiego, co dotyczy pani rodziny? Na miłość boską!

— Czy przyjdzie nas odwiedzić, jak pan myśli?

— Prawdopodobnie tak. A zresztą, ludzie mówią, że ma jechać do siebie na wieś.

Maria Dmitriewna podniosła oczy ku niebu.

— Ach, drogi panie, drogi panie, gdy pomyślę, jak my, kobiety, musimy ostrożnie postępować!

— Są kobiety i kobiety, proszę łaskawej pani. Są na nieszczęście i takie, które mają, że tak powiem... słaby charakter, którym w dzieciństwie nie zaszczerpiono pewnych zasad... (Sergiusz Pietrowicz wyjął z kieszeni kraciatą, niebieską chustką i zaczął ją rozwijać.) Są takie kobiety, są niewątpliwie. (Sergiusz Pietrowicz podniósł róg chusteczki kolejno do jednego, potem do drugiego oka.) Ale mówiąc ogólnie, jeśli się rozważy, to znaczy... Straszny kurz w mieście — zakończył raptem swoje wywody.

— Maman, maman — zawołała wbiegając do pokoju ładniutka jedenastoletnia dziewczynka — jedzie do nas na koniu Włodzimierz Nikołaicz!

Maria Dmitriewna wstała. Sergiusz Pietrowicz również wstał i złożył ukłon.

— Helenie Michajłownie... moje najniższe... — wyrzekł i odszedłszy dla przyzwoitości na bok, zaczął wycierać swój długi, kształtny nos.

— Jakiego ma cudnego konia! — ciągnęła dalej dziewczynka. — Przed chwilą był koło furtki i powiedział do mnie i do Lizy, że zajedzie przed ganek.

Dał się słyszeć tupot kopyt i na ulicy ukazał się zgrabny jeździec na pięknym gniadym koniu. Po chwili stanął przed otwartym oknem.

III

Witam panią, Mario Dmitriewno! — zawołał jeździec dzwicznym, przyjemnym głosem. — Jak się pani podoba mój nowy nabytek?

Maria Dmitriewna podeszła do okna.

— Dzień dobry, Woldemar! Ach, co za wspaniały koń! Od kogo pan go kupił.

— Od remontiera... Zdarł ze mnie, bestia.

— Jak się koń nazywa?

— Orlando... Strasznie głupia nazwa. Chcę ją zmienić... Eh bien, eh bien, mon garçon... Jaki niespokojny!

Koń parsknął, przebiegał nogami i potrząsał spienionym pyskiem.

— Proszę go pogłaskać, Leno, proszę się nie bać... Dziewczyna wyciągnęła przez okno rękę, ale Orlando

nagle stanął dęba i skoczył w bok. Jeździec nie stracił głowy, ścisnął konia nogami, smagnął go szpicrutą po szyi i mimo jego oporu znów stanął przed oknem.

— Prenez garde, prenez garde — powtarzała Maria Dmitriewna.

— Proszę go pogłaskać, Leno — upierał się jeździec — nie pozwolę mu na żadne wybryki.

Dziewczynka znowu wyciągnęła rękę i nieśmiało dotknęła ruchliwych nozdrzy Orlanda, który bez ustanku drżał i gryzł wędzidło.

— Brawo! — zawołała Maria Dmitriewna. — A teraz niech pan zsiądzie i przyjdzie do nas.

Jeździec dziarsko zawrócił konia, dał mu ostrogi, puścił go krótkim galopem przez ulicę i wjechał na dziedziniec. W chwilę później wymachując szpicrutą wbiegł z drzwi przedpokoju do salonu; niemal jednocześnie na progu drugich drzwi ukazała się zgrabna, wysoka, czarnowłosa panna lat około dziewiętnastu — starsza córka Marii Dmitriewny, Liza.

IV

Młodzieniec, z którym przed chwilą poznaliśmy czytelników, nazywał się Włodzimierz Nikołaicz Panszyn. Służbę pełnił w Petersburgu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych jako urzędnik do specjalnych zleceń. Do miasta O*** przyjechał celem wykonania terminowego urzędowego poruczenia i podlegał dyspozycji gubernatora, generała Sonnenberga, który był jego dalekim krewnym. Ojciec Panszyna, dymisjonowany sztabsrotmistrz, słynny karciarz, człowiek o słodkich oczach, zwiędłej twarzy i nerwowo drgających ustach, przez całe życie obracał się w kołach arystokracji, bywał w klubach angielskich Moskwy i Petersburga i uchodził za sprytnego, nie bardzo zasługującego na zaufanie, ale sympatycznego i szczerego chłopca. Mimo całego sprytu znajdował się niemal zawsze o krok od nędzy i swemu jedynemu synowi zostawił niewielki, a przy tym nadszarpnięty majątek. Dołożył za to po swojemu starań, aby syna wychować: Włodzimierz Nikołaicz mówił po francusku wspaniale, po angielsku dobrze, po niemiecku źle. Tak właśnie być powinno: porządnym ludziom wstyd mówić dobrze po niemiecku, ale mogą użyć niekiedy jakiegoś słówka niemieckiego, zwłaszcza w zabawnej sytuacji — *c'est même très chic*, jak się lubią wyrażać nasi petersburscy paryżanie. Włodzimierz Nikołaicz już od piętnastego roku życia umiał bez konfuzji wejść do każdego salonu, przyjemnie się w nim pokręcić i w porę się ulotnić. Ojciec Panszyna zapewnił swemu synowi rozległe stosunki. Tasując karty, między jednym robrem a drugim lub też po zrobieniu wielkiego szlema, nigdy nie ominął okazji, by wtrącić słówko o swoim „Wołodi” w rozmowie z jakimś wpływowym dygnitarzem, amatorem gier komercyjnych. Ze swej strony Włodzimierz Nikoła-icz w czasie pobytu na uniwersytecie, z którego wyszedł ze stopniem studenta rzeczywistego, poznał wielu młodzieńców z najznakomitszych rodzin i zyskał prawo wstępu do najlepszych domów. Wszędzie go przyjmowano z otwartymi rękami; był bardzo przystojny, swobodny w obejściu, jedyny do każdej zabawy, zawsze zdrowy i wesół, zawsze gotowy na wszystko; gdzie trzeba — pełen szacunku, gdzie można — zuchwały, świetny kompan, un charmant garçon. Otworzył się przed nim świat, o którym marzył. Panszyn bardzo szybko poznał tajniki światowego życia; potrafił wzbudzić w sobie prawdziwy szacunek dla jego praw; umiał z na poły żartobliwą powagą zająć się jakimś głupstwem i dać do zrozumienia, że wszystkie poważne sprawy uważa za głupstwa. Wspaniale tańczył. Ubierał się po angielsku. W krótkim czasie zasłynął jako jeden z najsympatyczniejszych i najobrotniejszych młodzieńców w Petersburgu. Panszyn był naprawdę bardzo sprytny — nie ustępował pod tym względem ojcu; ale był również bardzo zdolny. Posiadał wszystkie talenty: przyjemnie śpiewał, niezłe rysował, układał wiersze, zdobywał sukcesy grając na scenie. Ledwie zaczął dwudziesty ósmy rok życia, a już był kamerjunkerem i zajmował dość wysoki stopień w hierarchii urzędniczej. Panszyn niezłomnie wierzył w siebie, w swój rozum,

w swoją bystrość; kroczył naprzód odważnie i wesoło, z rozmachem; wszystko mu szło jak z płatka. Przywykł do tego, że go wszyscy podziwiali: i starzy, i młodzi, i wyobrażał sobie, że zna ludzi, zwłaszcza kobiety — znał dobrze ich pospolite słabostki. Jako człowiek nieobcy sztuce, pełen był wewnętrznego ognia i górnych porywów, miał skłonność do entuzjazmu i wskutek tego pozwalał sobie na różne odstępstwa od światowych zasad: hulał, zawierał znajomości z osobami nie należącymi do towarzystwa i w ogóle zachowywał się swobodnie i bezpretensjonalnie. Ale w głębi duszy był zawsze zimny i wyrachowany; w czasie najbardziej szalonej hulanki jego mądre, czarne oczka bacznie wszystko obserwowały, nad wszystkim czuwały; ten odważny, pewny siebie młodzian nie potrafił nigdy się zapomnieć, nie mógł puścić wodzy fantazji lub namiętności. Ku jego chlubie należy stwierdzić, że nigdy się nie przechwalał swoimi zwycięstwami. Zaraz po przyjeździe do O*** zaczął bywać w domu Marii Dmitriewny i po krótkim czasie czuł się tam najzupełniej swobodnie. Maria Dmitriewna po prostu świata poza nim nie widziała.

Panszyn wymienił uprzejme ukłony ze wszystkimi znajdującymi się w pokoju, uściśnął rękę Marii Dmitriewny i Lezawiey Michajłowny, z lekka poklepał po ramieniu Gedeonowskiego i obróciwszy się z nienacka na obcasach, chwycił Lenę za głowę i pocałował ją w czoło.

— I pan się nie boi jeździć na takim narowistym koniu? — spytała Maria Dmitriewna.

— Ależ, proszę pani, to jest najspokojniejszy na świecie koń! Wyznam natomiast, że się panicznie boję czegoś innego: boję się grać w preferansa z Sergiuszem Pietrowiczem. Wczoraj u Bielenicynów ograł mnie do szczętu.

Gedeonowski zaśmiał się dyskretnym, uniżonym śmieszkiem; starał się przypodchlebić młodemu, wybitnemu urzędnikowi z Petersburga, ulubieńcowi gubernatora. W swoich rozmowach z Marią Dmitriewną często wspominał o wyjątkowych zdolnościach Panszyna. „Bo jakże go nie chwalić? — rozmyślał. — Przecie młody człowiek osiąga sukcesy w wyższych regionach życia, wzorowo pełni swoją służbę i nie okazuje najmniejszej dumy.” Zresztą Panszyna również w Petersburgu uważano za zdolnego urzędnika: robota paliła mu się w rękę, on zaś mówił o niej żartobliwie, jak przystoi człowiekowi światowemu, który nie przywiązuje zbytnej wagi do swych zajęć. Był świetnym „wykonawcą” — a przełożeni lubią takich podwładnych. Sam Panszyn nie wątpił w to, że jeśli zechce, awansuje z biegiem czasu na ministra.

— Pan raczył się wyrazić, że pana ograłem — powiedział Gedeonowski — a kto w ubiegłym tygodniu wygrał ode mnie dwanaście rubli? I w dodatku...

— Rozbójnik z pana, rozbójnik — przerwał mu Panszyn z przyjazną, ale nieco pogardliwą nonszalancją i nie zwracając więcej uwagi na Gedeonowskiego podszedł do Lizy.

— Nie mogłem tutaj znaleźć uwertury do Oberona — zaczął. — Pani Bielenicyn tylko się chwaliła, że ma całą klasyczną muzykę; w rzeczywistości nie ma nic oprócz walców i polek. Ale już napisałem do Moskwy i za tydzień otrzyma pani tę uwerturę. A propos — ciągnął dalej — skomponowałem wczoraj nowy romans. Słowa też są moje. Jeśli pani sobie życzy, to zaśpiewam. Nie wiem, czy mi się udało; pani Bielenicyn orzekła, że romans jest przemiły, ale jej zdanie nie wiele znaczy. Chciałbym usłyszeć pani opinię. Może zresztą odłożyć to na później?

— Po co odkładać? — włączyła się do rozmowy Maria Dmitriewna. — Dlaczego nie teraz?

— Jestem do usług — powiedział Panszyn z jakimś promiennym i słodkim uśmiechem, który na przemian ukazywał się na jego ustach i znikał. Przysunął kolanem krzeselko, usiadł przy fortepianie i wzięwszy kilka akordów zaśpiewał, wyraźnie wymawiając słowa, następujący romans:

Księżyc wysoko ponad ziemią płynie
Między bladymi chmurami,

Lecz jego promień w morskich wód głębinie
Zimnymi włada falami.
Mej duszy mroczne, niespokojne morze
Ciebie księżycem swym mieni,
Czy w szczęścia chwilach, czy też w smutku porze,
Moc czerpie z twoich promieni.
Porywów pełna, miłości spragniona,
Dusza wciąż tęskni i czeka.
Ciężko mi... ale tyś jest niewzruszona
I tak jak księżyc daleka.

Drugą zwrotkę Panszyn wykonał ze szczególną siłą; w burzliwym akompaniamencie słyhać było groźny poszum rozkołysanych fal. Po słowach: „ciężko mi...” westchnął z lekka, spuścił oczy i zniżył głos — morendo. Kiedy skończył Liza pochwaliła melodię, Maria Dmitriewna powiedziała: „śliczne”, a Gedeonowski nawet krzyknął: „zachwycające!” — po czym dodał: „i poezja, i muzyka jednakowo zachwycające!” Lena popatrzyła na śpiewaka z dziecinną czcią. Słowem, wszystkim obecnym spodobał się utwór młodego dyletanta. Ale za drzwiami salonu, w przedpokoju, stał nowy przybysz, człowiek w podeszłym już wieku, któremu sądząc po jego spuszczonej głowie i ruchach ramion, utwór Panszyna, chociaż taki przemiły, nie sprawił przyjemności. Poczekawszy chwilę i strzepnąwszy kurz z butów grubą chustką do nosa człowiek ten raptownie zmrużył oczy, zacisnął ponuro usta, jeszcze bardziej zgarbił swoje już i tak pałakowate plecy i powoli wszedł do salonu.

— O! Krzysztof Fiodorycz! Witamy pana! — pierwszy zawołał Panszyn i szybko zerwał się z krzesła. — Nawet nie podejrzewałem pańskiej obecności tutaj. Przy panu za nic na świecie nie odważyłbym się zaśpiewać mojego romansu. Wiem, że pan nie jest amatorem lekkiej muzyki.

— Ja nie słuchał — odpowiedział kiepską ruszczyzną nowoprzybyły i skłoniwszy się kolejno wszystkim, stanął niezgrabnie pośrodku pokoju.

— Czy pan, monsieur Lemm — spytała Maria Dmitriewna — przyszedł na lekcję muzyki z Lizą?

— Nie, nie s Lisafiet Michajłowną, tylko s Jelen Michajłowną.

— A! No to pięknie. Leno, idź na górę z panem Lemmem.

Staruszek zrobił już parą kroków, podążając za dziewczynką, ale Panszyn go zatrzymał.

— Niech pan nie odchodzi zaraz po lekcji, Krzysztofie Fiodoryczu — powiedział. — Ja i Lizawieta Michajłowna zagramy na cztery ręce sonatę Beethovena.

Staruszek mruknął coś pod nosem, a Panszyn ciągnął dalej po niemiecku, źle wymawiając słowa:

— Lizawieta Michajłowna pokazała mi kantatę, którą pan jej ofiarował. Piękna rzecz! Proszę nie sądzić, że nie potrafię ocenić poważnej muzyki. Przeciwnie: taka muzyka bywa czasami nudna, ale jest za to bardzo pożyteczna.

Staruszek zaczerwienił się po uszy, spojrzął na Lizę spod oka i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Maria Dmitriewna poprosiła Panszyna, żeby jeszcze raz zaśpiewał, ale Panszyn oświadczył, że nie chce obrażać uszu uczonego Niemca, i zaproponował Lizie wspólne wykonanie sonaty. Wtedy Maria Dmitriewna westchnęła i ze swej strony zaproponowała Gedeonowskiemu, aby się z nią przeszedł po ogrodzie.

— Chciałabym — rzekła — porozmawiać jeszcze i naradzić się z panem co do naszego biednego Fiedi.

Gedeonowski wyszczerzył zęby w uśmiechu, skłonił się, wziął w dwa palce swój kapelusz ze starannie ułożonymi na jego rondzie rękawiczkami i odszedł razem z Marią Dmitriewną. W pokoju został Panszyn i Liza. Liza wyjęła i otworzyła nuty; oboje w milczeniu siedli do fortepianu. Z góry dolatywały słabe dźwięki gam, wygrywanych niewprawnymi paluszkami Leny.

V

Krzysztof Teodor Gottlieb Lemm urodził się w 1786 roku w Królestwie Saskim, mieście Chemnitz, w rodzinie biednych muzykantów. Ojciec jego grał na waltorni, matka na harfie; on sam już w piątym roku życia wprawiał się w grze na trzech różnych instrumentach. Mając osiem lat osierociał, a po skończeniu dziesięciu zaczął zarabiać swoją sztuką na kawałek chleba. Przez długi czas żył jak włóczęga; grywał wszędzie — i w knajpach, i na jarmarkach, i na wiejskich weselach, i na balach; wreszcie dostał się do orkiestry i pnąc się coraz wyżej osiągnął stopień dyrygenta. Wykonawcą był dość lichym, ale muzykę znał gruntownie. Gdy miał lat dwadzieścia osiem, przeniósł się do Rosji. Sprowadził go tam wielki pan, który sam nie znosił muzyki, ale trzymał orkiestrę dla dogodzenia własnej próżności. Lemm spędził u niego siedem lat jako kapelmistrz i odszedł stamtąd z pustymi rękami: pan roztrwonił cały swój majątek, chciał mu wystawić weksel, następnie zaś odmówił i tego — słowem, nie zapłacił ani kopiejki. Lemmowi radzono wyjechać, ale on nie chciał wracać do domu jako nędzarz z Rosji, z wielkiej Rosji — owego eldorada artystów; postanowił zostać i dalej próbować szczęścia. W ciągu dwudziestu lat biedny Niemiec próbował tego szczęścia: służył za muzykanta u różnych panów, mieszkał i w Moskwie, i w miastach gubernialnych, znosił niewygody, cierpiał nędzę, tłukł się jak ryba o lód, ale myśl o powrocie do kraju nie opuszczała go wśród nieszczęść, które go trapiły; ona jedna podtrzymywała w nim ducha. Los jednak nie chciał mu dać tej ostatniej, jedynej pociechy: przekroczywszy pięćdziesiątkę, chory, przedwcześnie zniedołężniały, ugrzązł w mieście O*** i został w nim na zawsze; stracił do reszty nadzieję opuszczenia tak nienawistnej dla niego Rosji, bo ledwo zarabiał lekcjami na skromne utrzymanie. Powierzchność Lemma nie usposabiała do niego przychylnie. Był niski, przygarbiony; miał wystające, krzywe łopatki, zapadnięty brzuch, duże, płaskie stopy, bladospine paznokcie na twardych, nie rozginających się palcach żyłastych, czerwonych rąk, twarz pomarszczoną, policzki zapadłe i zaciśnięte usta, którymi bez ustanku poruszał i żuł, co przy jego zwykłej małomówności wywierało niemal złowieszcze wrażenie; siwe włosy zwisały mu

kłaczkami nad niewysokim czołem; małe, nieruchome oczka tliły się jak węgielki dopiero co zalane wodą; stapał ciężko, za każdym krokiem jakby przerzucając całe swoje nieruchawe ciało. Inne jego ruchy przypominały niezgrabne mizdrzenie się sowy w klatce, kiedy czuje, że ktoś na nią patrzy, a sama ledwo widzi swoimi ogromnymi, żółtymi, lękliwie i sennie mrużącymi się oczami. Zastarzała, nielitościwa troska wycisnęła na starym muzykusie swoje niezatarte piętno, wykrzywiła i zeszcpeciła jego i tak niepozorną postać; ale ten, kto umiał nie poprzestawać na pierwszych wrażeniach, dostrzegał coś niezwykłego, coś szlachetnego i uczciwego w owej ruinie człowieka. Wielbiciel Bacha, Händla, znawca swego przedmiotu, obdarzony bujną wyobraźnią i tą odwagą myśli, która jest właściwa i dostępna tylko niemieckiemu plemieniu, Lemm z czasem — kto wie? — stanąłby może w rzędzie wielkich kompozytorów swej ojczyzny, gdyby życie inaczej nim pokierowało. Niestety, nie pod szczęłe sliwą gwiazdą się urodził. Wiele w swym życiu napisał — i nie udało mu się zobaczyć ani jednego swojego utworu wydanego: nie potrafił wziąć się do rzeczy w odpowiedni sposób, zginać karku, gdy potrzeba, czynić starań we właściwym czasie. Kiedyś dawno, bardzo dawno temu, jeden z jego wielbicieli i przyjaciół, też Niemiec i też biedak, wydał własnym sumptem dwie jego sonaty — ale i te pozostały w całości w suterrenach sklepów muzycznych; zginęły nie wiadomo kiedy i bez śladu, jakby je kto nocą wrzucił do rzeki. Lemm wreszcie machnął ręką na wszystko; przy tym i lata robiły swoje; stał się oschły, odrętwiał, tak jak odrętwiały jego palce. Sam jeden, ze starą kucharką wziętą z przytułku (Lemm nigdy nie był żonaty), mieszkał w O***, w niewielkim domku niedaleko od domu Kalitinów; dużo spacerował, czytał Biblię i zbiór protestanckich 'psalmów oraz Szekspira w przekładzie Schlegla. Od dawna już nie komponował, widocznie jednak Liza, jego najlepsza uczennica, umiała go rozruszać: napisał dla niej kantatę, o której wspomniał Panszyn. Słowa do tej kantaty zapożyczył ze zbioru psalmów; pewną ilość wierszy dorobił sam. W kantacie występowały dwa chóry: chór szczęśliwych i chór nieszczęśliwych; obydwie przy końcu godziły się i śpiewały razem: „Boże wszechmogący, zmiłuj się nad nami grzesznymi i odwróć od nas wszelkie niegodziwe myśli i nadzieje ziemskie.” Na karcie tytułowej widniał starannie wykaligrafowany i nawet upiększony rysunkami napis: „Tylko sprawiedliwi mają rację. Kantata duchowna. Napisana i poświęcona pannie Lizawiecie Kalitin, mojej miłej uczennicy, przez jej nauczyciela K. T. G. Lemma.” Słowa: „Tylko sprawiedliwi mają rację” oraz „Lizawiecie Kalitin” były otoczone promieniami. U dołu był przypisek: Tylko dla Pani, Fur Sie allein.” Z tego właśnie względu Lemm zaczerwienił się i spojrzął spod oka na Lizę. Poczul w sercu ból, kiedy Panszyn zaczął przy nim mówić o kantacie.

VI

Panszyn głośno i śmiało wziął pierwsze akordy sonaty (miał sekundować) ale Liza nie zaczynała swojej partii. Zatrzymał się i popatrzył na nią. Oczy Lizy, skierowane wprost na niego, wyrażały niezadowolenie; jej usta nie uśmiechały się, twarz była surowa, niemal smutna. — Co pani jest? — zapytał.

— Dlaczego pan nie dotrzymał słowa? — rzekła. — Pokazałam panu kantatę Krzysztofa Fiodorycza pod warunkiem, żeby pan mu o niej nie mówił.

— Proszę mi wybaczyć, Lizawieto Michajłowno, tak się jakoś niechcący zgadało.

— Zrobił mu pan przykrość — i mnie również. Teraz nie będzie miał do mnie zaufania.

— Cóż mam na to poradzić, proszę pani. Od najmłodszych lat nie mogę obojętnie patrzeć na Niemca: zaraz mię coś korci, żeby go podrażnić.

— Jak pan może mówić coś podobnego! Ten Niemiec jest ubogim, samotnym, nieszczęśliwym człowiekiem — i panu go nie żal? Pan ma ochotę go drażnić?

Panszyn zmieszał się.

— Ma pani rację, Lizawieto Michajłowno — powiedział. — Wszystkiemu winna moja wieczna lekkomyślność. Nie, proszę, niech pani nie zaprzecza; dobrze siebie znam. Wiele złego mi wyrządziła moja lekkomyślność. Jej zawdzięczam to, że zasłynąłem jako egoista.

Panszyn milczał przez chwilę. Od czegokolwiek zaczynał rozmowę, zawsze ją kończył tym, że mówił o sobie, i to było jakieś miłe i ujmujące, serdeczne, jakby mimowolne.

— Tutaj u państwa w domu, na przykład — ciągnął dalej — pani mama niewątpliwie darzy mnie życzliwością, jest taka dobra; a pani... zresztą, właściwie nie wiem, co pani o mnie sądzi; za to pani ciocia nie może mnie ścierpieć. Ją też zapewne dotknąłem jakimś lekkomyślnie wypowiedzianym, niemądrym słowem. Bo ona mnie nie lubi, prawda?

— Tak — powiedziała Liza jakby się ociągając — pan jej się nie podoba.

Panszyn przebiegł szybko palcami po klawiszach; ledwo dostrzegalny uśmiech prześliznął się po jego ustach.

— A pani? — spytał. — Czy ja pani też się wydaję egoistą?

— Za mało jeszcze pana znam — odparła Liza — ale nie uważam pana za egoistę; przeciwnie, powinnam być panu wdzięczna...

— Wiem, wiem, co pani chce powiedzieć — przerwał jej Panszyn i znowu przebiegł palcami po klawiszach — za nuty, za książki, które pani przynoszę, za kiepskie rysunki, którymi upiększam pani album, i tak dalej, i tak dalej. Mogę to wszystko robić — a jednak być egoistą. Śmiem sądzić, że pani się nie nudzi w moim towarzystwie i że nie uważa mnie pani za człowieka złego; ale pani przypuszcza, że ja — jak to się mówi — gwoli ciętego powiedzonka nie oszczędzę ani ojca, ani przyjaciela.

— Pan jest roztargniony i ma krótką pamięć, jak wszyscy ludzie światowi — rzekła Liza — i to wszystko.

Panszyn trochę się zachmurzył.

— Wie pani — powiedział — nie mówmy już więcej o mnie, zacznijmy grać naszą sonatę. O jedno tylko panią proszę — dodał wygładzając kartki leżącego na pulpicie zeszytu — niech pani myśli o mnie, co chce, niech mnie pani nawet nazywa egoistą — dobrze! ale niech mnie pani nie nazywa człowiekiem światowym; tego miana nie znoszę... Anch'io sono pittore. Ja też jestem artystą, chociaż marnym, i tego właśnie, że jestem marnym artystą — zaraz pani dowiodę czynem. Zaczynajmy.

— Dobrze, zaczynajmy — rzekła Liza.

Pierwsze adagio przeszło dość gładko, chociaż Panszyn nieraz się mylił. Swoje własne utwory i te, których się nauczył, grał bardzo ładnie, ale bez głębszego zrozumienia. Za to druga część sonaty — szybkie allegro — całkiem się nie udała; po przegraniu dwudziestu taktów Panszyn, który został w tyle, nie wytrzymał i ze śmiechem odsunął swoje krzesło.

— Nie! — zawołał. — Nie mogę dzisiaj grać! Dobrze, że Lemm nas nie słyszał; pewno by zemdlał.

Liza wstała, zamknęła fortepian i zwróciła się do Panszyna.

— Cóż będziemy robili? — spytała.

— Poznaję panią po tym pytaniu! Nie może pani usiedzieć z założonymi rękami: Ano, jeśli pani chce, porysujemy trochę, zanim się jeszcze zupełnie nie ściemniło. A nuż inna muza — muza rysunku — jak ją tam nazywano, zapomniałem... okaże się dla mnie łaskawsza. Gdzie jest pani album? Zdaje mi się, że nie skończyłem tam jednego pejzażu.

Liza poszła po album do sąsiedniego pokoju, a Panszyn, zostawszy sam, wyjął z kieszeni batystową chustkę, potarł sobie paznokcie i jakoś z ukosa popatrzył na swoje ręce. Ręce miał bardzo ładne i białe: na dużym palcu lewej ręki nosił spiralny złoty pierścionek. Liza wróciła. Panszyn siadł przy oknie i otworzył album.

— Aha! — zawołał. — Widzę, że pani zaczęła przerysowywać mój pejzaż. To świetnie! Bardzo ładnie! Tylko tutaj — proszę na chwilę ołówek — nie dość mocno zrobione są cienie. Niech pani popatrzy.

I Panszyn zamasyście narysował na papierze kilka długich kresek. Rysował stale jeden i ten sam pejzaż: na pierwszym planie duże, rozwichrzone drzewa, w pewnej odległości polanę i zębate góry na widnokręgu. Liza patrzyła na pracę Panszyna przez jego ramię.

— W rysunku, jak też w ogóle w życiu — mówił Panszyn przechylając głowę to na prawo, to na lewo — śmiałość i polot mają zasadnicze znaczenie.

W tej właśnie chwili wszedł do pokoju Lemm i sztywno się ukloniwszy chciał odejść, ale Panszyn odłożył album i ołówek na bok i zagroził mu drogę.

— Dokąd się pan tak śpieszy, drogi Krzysztofie Fiodoryczu? Nie zostanie pan na herbacie?

— Muszę iść do domu — odrzekł Lemm ponurym głosem — głowa mnie boli.

— Co też pan mówi; niech pan zostanie. Podyskutujemy o Szekspirze.

— Głowa mnie boli — powtórzył starzec.

— A myśmy się tu bez pana wzięli do sonaty Beetho-vena — ciągnął dalej Panszyn, poufale objąwszy go w pól i uśmiechając się promiennie — nic jednak z tego nie wyszło. Niech pan sobie wyobrazi, że nie mogłem zagrać prawidłowo dwóch kolejnych nut.

— Trzepa pyło zaśpiewać snofu sfój romance — odparł Lemm wysuwając się z objęć Panszyna i wyszedł z pokoju.

Liza pobiegła za nim. Dogoniła go na ganku.

— Niech pan posłucha, Krzysztofie Fiodoryczu — powiedziała do niego po niemiecku, odprowadzając go do bramy po zielonej, niziutkiej trawce dziedzińca — czuję się winna wobec pana — proszę mi przebaczyć.

Lemm nic nie odpowiadał.

— Pokazałam Włodzimierzowi Nikołaiczowi pańską kantatę, bo byłam pewna, że ją należycie oceni. I kantata rzeczywiście mu się spodobała.

Lemm zatrzymał się.

— To nie szkodzi — powiedział po rosyjsku i zaraz dodał w swoim ojczystym języku — ale on nic nie może zrozumieć, czy pani tego nie widzi? Jest dyletantem — i tyle!

— Pan jest dla niego niesprawiedliwy — odparła Liza — on wszystko rozumie i sam prawie wszystko umie zrobić.

— Tak, wszystko, ale numer drugi, lekki towar, co go można zrobić na kolanie. Takie rzeczy się podobają i on się też podoba, i sam jest z tego zadowolony — więc brawo! A ja się nie gniewam; ta kantata i ja — jesteśmy oboje parą starych głupców; wstyd mi trochę, ale to nic nie szkodzi.

— Niech mi pan przebaczy, Krzysztofie Fiodoryczu — wyrzekła znowu Liza.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — powtórzył Lemm po rosyjsku — pani jest bardzo dobra... Ale właśnie ktoś idzie do państwa. Do widzenia. Pani jest bardzo dobra.

I Lemm przyśpieszając kroku poszedł w stronę bramy, w którą wchodził jakiś nie znany mu jegomość w szarym paltocie i szerokim słomianym kapeluszu. Grzecznie mu się ukloniwszy (kłaniał się wszystkim nowym osobom w O, od znajomych zaś odwracał się na ulicy — taką już sobie ułożył regułę), Lemm minął go i zniknął za parkanem. Nieznajomy spojrzął za nim ze zdziwieniem i przypatrując się Lizie podszedł wprost do niej.

VII

Fani mnie nie poznaje — przemówił zdejmując kapelusz — a ja panią poznałem od razu, chociaż minęło już osiem lat od tego czasu, kiedy widziałem panią po raz ostatni. Była pani wtedy małą dziewczynką. Jestem Ławrecki. Czy pani mama jest w domu? Czy mógłbym się z nią zobaczyć?

— Mama będzie bardzo rada — odparła Liza. — Słyszała już o pana przyjeździe.

— Pani, zdaje się, ma na imię Lizawieta? — spytał Ławrecki wchodząc po stopniach na ganek.

— Tak.

— Pamiętam panią dobrze; pani już wtedy miała taką twarz, jakiej się nie zapomina. Przywoziłem pani wtedy cukierki.

Liza zaczerwieniła się i pomyślała: „Jaki on jest dziwny.” Ławrecki zatrzymał się na chwilę w przedpokoju. Liza weszła do salonu, gdzie rozlegał się głos i śmiech Panszyna: opowiadał jakąś miejską plotkę Marii Dmitriewnie i Gedeonowskiemu, którzy już zdążyli wrócić z ogrodu, i sam się głośno zaśmiewał z tego, co mówił. Usłyszawszy nazwisko Ławreckiego Maria Dmitriewna stropiła się, zbladła i poszła na jego spotkanie.

— Witam pana, witam pana, drogi kuzynie — zawołała przeciągle i prawie łzawym głosem — jakże się cieszę, że pana widzę!

— Witam panią, droga kuzynko — odrzekł Ławrecki i przyjaźnie uściskał jej wyciągniętą rękę — jak się pani miewa?

— Niech pan siada, niech pan siada, drogi Fiodorze Iwanyczu. Ach, jakże się cieszę! Niech pan pozwoli przede wszystkim, że panu przedstawię moją córkę Lizę.

— Ja się już sam przedstawiłem Lizawiecie Michajłownie — przerwał jej Ławrecki.

— Monsieur Panszyn... Sergiusz Pietrowicz Gedeonowski. Ale niechże pan siada! Patrzę na pana i doprawdy oczom nie wierzę. Jak pańskie zdrowie?

— Jak pani raczy widzieć — kwitnące. Ale i pani, droga kuzynko, również — żeby nie uroczyć — nie zmizerniała w ciągu tych ośmiu lat.

— Pomyśleć tylko, ile czasu nie widzieliśmy się — powiedziała z rozmarzeniem Maria Dmitriewna. — Skąd pan teraz przyjechał? Gdzie pan zostawił... a właściwie, chciałam powiedzieć... — podchwyciła szybko — chciałam spytać, czy pan przyjechał do nas na długo?

— Przyjechałem teraz z Berlina — odpowiedział Ławrecki — już jutro wybieram się na wieś. Prawdopodobnie posiedzę tam dość długo.

— Będzie pan mieszkał zapewne w Ławrykach?

— Nie, nie w Ławrykach. Mam niedużą wioskę w odległości dwudziestu pięciu wiorst od miasta; tam właśnie chcę pojechać.

— Czy to ta wioska, którą pan dostał od Głafiry Pietrowny?

— Ta sama.

— Na miłość boską, Fiodorze Iwanyczu! Ma pan w Ławrykach taki wspaniały dom.

Ławrecki ledwo dostrzegalnie zmarszczył brwi.

— Tak... ale i w tamtej wiosce jest oficynka; a na razie nic mi więcej nie potrzeba. To miejsce — jest teraz dla mnie najodpowiedniejsze.

Maria Dmitriewna znowu zmieszała się do tego stopnia, że aż się wyprostowała i rozłożyła ręce. Panszyn przyszedł jej z pomocą i zaczął rozmawiać z Ławreckim. Maria Dmitriewna uspokoiła się, usadowiła wygodniej w fotelu i tylko z rzadka wtrącała jakieś słówko, ale przy tym tak żałośliwie patrzyła na swego gościa, tak znacząco wzdychała i tak posepnie kiwała głową, że ten wreszcie nie wytrzymał i dość szorstko spytał ją, czy jest zdrowa.

— Dzięki Bogu — odrzekła Maria Dmitriewna — a bo co?

— Bo mi się wydawało, że pani się źle czuje.

Maria Dmitriewna przybrała minę pełną godności i trochę obrażoną. „A jeżeli tak — pomyślała sobie — to mi całkiem wszystko jedno; widocznie z ciebie, mój kochany, wszystko spłynęło jak z gęsi woda; inny by usechł ze zmartwienia, a tyś jeszcze nabrał sadła.” Maria Dmitriewna w myślach nie dobierała słów; na głos wyrażała się o wiele wytworniej.

Ławrecki istotnie nie wyglądał na ofiarę losu. Jego rumiana, prawdziwie rosyjska twarz, z dużym, białym czołem, trochę za grubym nosem i szerokimi, kształtnymi ustami, tchnęła stepowym zdrowiem, niespożytą, długowieczną siłą. Zbudowany był wspaniale — a jasnoblonde włosy wily mu się jak u młodzieńca. Tylko w jego oczach, błękitnych, z lekka wypukłych, i mało ruchliwych, dawała się zauważyć jakby zaduma czy zmęczenie i głos jego dźwięczał jakoś zbyt jednostajnie.

Panszyn tymczasem podtrzymywał nadal rozmowę. Skierował ją na zagadnienie intratności cukrownictwa, o którym niedawno przeczytał dwie francuskie broszurki, i spokojnie, skromnie zaczął wykladać ich treść nie wspominając o nich zresztą ani słowa.

— Ależ to przecie Fiedia! — rozległ się nagle w sąsiednim pokoju za półotwartymi drzwiami głos Marfy Timofiejewny. — Rzeczywiście, Fiedia! — Staruszka żwawo weszła do salonu. Ławrecki nie zdążył jeszcze wstać z krzesła, gdy już go uścisnęła. — Pokaż no się, pokaż — powiedziała odsuwając się od niego. — No, wyglądasz znakomicie. Postarzałeś się, ale nic nie zbrzydłeś, doprawdy! Cóż ty mi ręce całujesz? Mnie całuj, jeśli moje pomarszczone policzki nie są ci wstrętne. Na pewno się o mnie nawet nie zapytałeś: czy ciotka żyje? A przecie urodziłeś się na moich rękach, pędziwiatrze jeden! Zresztą, mniejsza o to; gdzieżbyś miał czas pamiętać o mnie. Mądrześ zrobił, żeś przyjechał. Jakże tam, kochaneczko — dodała zwracając się do Marii Dmitriewny — poczęstowałaś go już czymś?

— Za wszystko dziękuję — oświadczył pośpiesznie Ławrecki.

— Napij się chociaż herbaty, mój kochany. Ach, mój Boże! Przyjechał nie wiadomo skąd i nawet mu filiżanki herbaty nie dadzą. Liza, idź, zakrzętnij się, ale prędziutko. Pamiętam, że jako malec był strasznym obżartuchem; teraz też pewnie lubi sobie podjeść.

— Moje uszanowanie pani — rzekł Panszyn podchodząc z boku do rozgadanej staruszki i nisko się kłaniając.

— Proszę mi wybaczyć, mój panie — odparła Marfa Timofiejewna — tak się ucieszyłam widokiem Fiedi, że pana nie zauważyłam. Zrobiłeś się podobny do swojej matki — ciągnęła dalej, znowu zwróciwszy się do Ławreckiego — tylko nos ci pozostał ojcowski, taki jak był. Na długo przyjechałeś do nas?

— Jutro jadę, ciotuniu.

— Dokąd?

— Do siebie, na wieś.

— Jutro?

— Jutro.

— Ano, jak jutro, to jutro. Jedź z Bogiem, sam wiesz lepiej, co masz robić. Ale pamiętaj, przyjdź się pożegnać. — Staruszka poklepała go po policzku. — Nie przypuszczałam, że się ciebie

doczekam. Nie dlatego, żebym miała zamiar umierać, nie, starczy mi jeszcze sił najmniej na dziesięć lat: cała nasza rodzina jest bardzo żywotna; twój dziadek nieboszczyk nazywał nas dubeltnikami — bo żyjemy dwa razy dłużej niż inni. Pan Bóg zresztą wie, jak długo jeszcze objąłbyś się tam za granicą. No, ale zuchem byłeś i zuchem jesteś; chyba po dawnemu podnosisz dziesięć pudów jedną ręką? Nieboszczyk twój ojciec, wybac mi, mój drogi, nie grzeszył zbytnio rozumem, ale to jedno dobrze zrobił, że wziął do ciebie tego Szwajcara; pamiętasz, biłeś się z nim na pięści; to się nazywa gimnastyka czy jak tam? Ale cóż ja się tak rozgadałam; tylko panu Panczynowi (nigdy go nie nazywała jak należy: Panszyn) przeszkodziłam w rozprawianiu. A zresztą, chodźmy lepiej pić herbatę; będziemy pili na tarasie; mamy doskonałą śmietankę — nie taką jak w tych waszych Londynach i Paryżach. Chodźmy, chodźmy, a ty, Fiedia, daj mi rękę. O! Jaka potężna! Mając taką podpórę człowiek wie, że nie upadnie.

Wszyscy wstali i poszli na taras, z wyjątkiem Gedeonowskiego, który wymknął się cichaczem. W ciągu całej rozmowy Ławreckiego z panią domu, Panszynem i Marfą Timofiejewną siedział w kącie, uważnie mrugając oczami i z dziecinną ciekawością otworzywszy usta; śpieszył teraz roznieść po mieście nowinę o przybyszu.

Tego samego dnia o jedenastej wieczorem w domu pani Kalitin działo się, co następuje: na dole, przy drzwiach do salonu, wybrawszy odpowiedni moment Włodzimierz Nikołaicz zęgnął się z Lizą i mówił do niej, trzymając ją za rękę: „Pani wie, kto mnie tu przyciąga; pani wie, dlaczego wciąż przyjeżdżam tu do państwa; chyba nie trzeba słów, kiedy i tak wszystko jest zrozumiałe?” Liza nic mu nie odpowiedziała, tylko bez uśmiechu, podniósłszy nieco brwi i rumieniąc się, patrzyła w podłogę, ale nie cofała swojej ręki. A na górze, w pokoju Marfy Timofiejewny, przy świetle lampki oliwnej, wiszącej przed szerniałymi, starodawnymi ikonami, siedział w fotelu Ławrecki z łokciami wspartymi na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Staruszka, stojąc przed nim w milczeniu, od czasu do czasu gładziła go po włosach. Przeszło godzinę spędził u niej, pożegnawszy się z panią domu. Nic prawie nie powiedział swej starej, dobrej przyjaciółce, a ona go nie wypytywała... Zresztą, o czym było mówić, o co pytać? Staruszka i tak wszystko rozumiała, i tak współczuła ze wszystkim, co przepelniało jego serce.

VIII

Fiodor Iwanycz Ławrecki (zmuszeni jesteśmy prosić, aby czytelnicy pozwolili nam przerwać na pewien czas wątek naszej opowieści) pochodził ze starego rodu szlacheckiego. Protoplasta Ławreckich przyjechał za czasów panowania księcia Wasilia Ociemniałego z Prus i otrzymał nadział dwustu ćwierci ziemi na Bieżeckim Wierchu. Wielu z jego potomków znajdowało się na różnych urzędach, siedziało pod władzą książąt i ludzi możnych w oddalonych województwach; ale ani jeden z nich nie wzniosł się powyżej stolnika i nie zdobył pokaźniejszego majątku. Najbogatszym i najwybitniejszym ze wszystkich Ławreckich był rodzony pradziad Fiodora Iwanycza, Andrzej, człowiek okrutny, zuchwały, mądry i chytry. Do dzisiejszego dnia nie umilkła fama o jego samowoli, o jego dzikim charakterze, szalonej hojności i chciwości nienasyconej. Był bardzo tęgi i wysoki, o twarzy śniadej, bez zarostu, miał gardłową wymowę i wydawał się senliwy; ale im ciszej mówił, tym bardziej drżeli wszyscy wokół niego. Żonę też sobie dobrał odpowiednią. Cyganka z pochodzenia, o wyłupiastych oczach, jastrzębim nosie i żółtej, okrągłej twarzy, mściwa i porywcza, w niczym nie ustępowała mężowi, który ją o mało nie zadreńczył na śmierć i którego nie przeżyła, choć wiecznie się z nim żarła. Syn Andrzeja, Piotr, dziadek Fiodora, niepodobny był do swego ojca: był to prosty sobie, stepowy szlachcic, paliwoda, krzykacz i leń, grubianin, ale niezły, bardzo gościnny gospodarz i amator polowania z psami. Miał już przeszło trzydziestkę, kiedy odziedziczył po ojcu majątek — dwa tysiące dusz — we wzorowym porządku; ale wkrótce niemal wszystko przepuścił, część majątku sprzedał, służbę dworską zbałamucił. Jak karaluchy ciągnęli ze wszystkich stron znajomi i nieznanymi ludźmi o najgorszej reputacji do jego obszernych,

ciepłych i niechlujnych pokojów; wszystko to się najadało, czym mogło, do syta, upijało do utraty przytomności i wynosiło z domu, co tylko w rękę wpadło, chwając i pod niebiosa wynosząc poczciwość gospodarza; a gospodarz, kiedy był w złym humorze, pomstował na swoich gości nazywając ich szubrawcami i darmożjadami, ale bez nich się nudził. Żona Piotra Andrieicza była niewiastą uległą, niemal pokorną; wziął ją od sąsiadów zgodnie z wyborem i przykazaniem ojca; nazywała się Anna Pawłowna. Do niczego się nie wtrącała, z otwartymi rękami witała gości i chętnie sama jeździła w odwiedziny, chociaż pudrowania włosów, jak mówiła, ścierpieć nie mogła. „Wsadzą ci na głowę — opowiadała będąc staruszką — wojłokowy kołpak, włosy zaczeszą do góry, wysmarują sadłem, posypią mąką, nawtykają żelaznych szpilek; domyc się później trudno; a z wizytą bez pudru nie można, bo się poobrażają; istna męczarnia!” Lubiła jeździć kłusakami, a w karty gotowa była grać od ana do wieczora; zawsze tylko, kiedy do stolika zbliżał się mąż, zakrywała ręką zapisane kopiejki, które stanowiły jej wygraną. A cały swój posąg, wszystkie pieniądze, oddała do jego wyłącznej dyspozycji. Urodziła mu dwoje dzieci: syna Iwana, Fiodorowego ojca, i córkę Głafirę. Iwan wychowywał się nie w domu, lecz u bogatej, starej ciotki, księżny Kubienskiej: ta wyznaczyła go na swojego spadkobiercą (inaczej ojciec nie puściłby go z domu); ubierała go jak lalkę, brała do niego wszelkiego rodzaju nauczycieli, oddała go pod stałą opiekę guwernera, Francuza, byłego księdza, ucznia Jean Jacques'a Rousseau, niejakiego monsieur Courtin de Vaucelles, sprytnego i wyrafinowanego krętacza — najbardziej, jak się wyrażała, fine fleur emigracji — i skończyła na tyrn, że mając prawie siedemdziesiąt lat wyszła za mąż za tego „fin-flera”; przepisała na jego nazwisko cały majątek i wkrótce potem, wyróżzowana, wyperfumowana ambłą à la Richelieu, otoczona Murzyniátkami, cienkonogimi pieskami i krzykliwymi papugami, umarła na jedwabnej, giętej kana"ce z czasów Ludwika XV, trzymając w ręku emaliowaną tabakierkę roboty Petitot — i umarła sama, opuszczona przez męża: przymilny monsieur Courtin wolał ulotnić się do Paryża z jej pieniędzmi. Iwan skończył dopiero dziewiętnaście lat, kiedy spotkał go ten nieoczekiwany cios (mówimy o ślubie księżnej, nie o jej śmierci); nie chciał zostać w ciotczynym domu, gdzie z bogatego spadkobiercy zmienił się raptem w rezydenta; towarzystwo petersburskie, w którym wyrósł, zamknęło przed nim drzwi; do służby urzędniczej, którą należałoby zaczynać od niskich stopni, trudnej i zawilej, czuł wstręt (wszystko to działo się na samym początku panowania cesarza Aleksandra); musiał więc, chcąc nie chcąc, wrócić do ojca na wieś. Liche, brudne i ubogie wydało mu się jego gniazdo rodzinne: życie na odludziu w ciemnocie stepowego bytu było dla niego trudne do zniesienia; żarła go nuda; toteż wszyscy w domu, prócz matki, patrzyli na niego niezyczliwie. Ojcu nie podobały się jego stołeczne przyzwyczajenia, jego fraki, żaboty, książki, jego flet, jego schludność, w której nie darmo wyczuwał obrzydzenie do wiejskiego życia; skarżył się więc i mruzczał na syna: „Wszystko mu tu nie w smak — mawiał. — Przy stole grymasi, nie je, ludzkiego zapachu, zaduchu nie może znieść, widok pijanych go drażni, bić przy nim też nie wolno, na służbę iść nie chce; taki niby słabowity; tfu, do licha, francuski piesek. A to wszystko dlatego, że mu Wolter siedzi w głowie.” Starzec nie lubił szczególnie Woltera, a ponadto „pomyleńca” Diderota, chociaż nie przeczytał ani jednego wiersza z ich utworów: czytanie przychodziło mu z trudnością. Piotr Andrieicz nie mylił się jednak: istotnie, i Diderot, i Wolter siedzieli w głowie jego syna, i nie tylko oni jedni — i Rousseau, i Raynal, i Helwecjusz, i wielu innych im podobnych pisarzy również siedziało w jego głowie — ale tylko w głowie. Były wychowawca Iwana Pietrowicza, eks-ksiądz i encyklopedysta, poprzestał na tym, że całą mądrość XVIII wieku przelał w swego wychowanka, i ten chodził napełniony nią po czubek głowy; ta mądrość tkwiła w nim, nie zmieszawszy się z jego krwią, nie przeniknąwszy do jego duszy, nie przejawiawszy się w głębo!im przekonaniu... Czy można zresztą wymagać przekonań od młodzieńca pięćdziesiąt lat temu, kiedyśmy jeszcze teraz do nich nie dorośli? Gości w ojcowskim domu Iwan Pietrowicz też kępował; on nimi gardził, oni go się bali — a z siostrą Głafirą, starszą od niego o dwanaście lat, wcale się nie zżył. Ta Głafira była dziwnym stworzeniem: nieładna, garbata, chuda, z szeroko otwartymi, surowymi oczyma i zaciśniętymi, wąskimi ustami — twarzą, głosem, kanciastymi, porywczymi ruchami przypominała swoją babkę, Cyganke, żonę Andrzeja. Uparta i żadna władzy, nawet słyszeć nie chciała o zamążpójściu. Powrót

Iwana Pietrowicza był jej bardzo nie na rękę. Dopóki księżna Kubienska trzymała go u siebie, Głafira miała nadzieję, że otrzyma przynajmniej połowę ojcowskiego majątku — pod względem skąpstwa też się wdała w babkę. Ponadto Głafira zazdrościła bratu: był taki wykształcony, mówił po francusku jak rodowity paryżanin, a ona ledwo umiała powiedzieć: bon žur i komanwu porte w u. Co prawda, jej rodzice nawet tyle nie umieli, po francusku — ale to była dla niej słaba pociecha. Iwan Pietrowicz nie wiedział, gdzie się ma podziąć z nudów i tęsknoty; niecały rok spędził na wsi, a wydało mu się, że siedzi tu już z dziesięć lat. Tylko w rozmowach z matką dawał folę swym uczuciom; całymi godzinami przesiadywał w jej niskich pokojach, słuchając niewyszukanej paplaniny pocziwej kobiety i objadając się konfiturami. Zdarzyło się tak, że w gronie pokojówek Anny Pawłowny znalazła się jedna bardzo ładna, o jasnych, łagodnych oczach i delikatnych rysach, imieniem Małania — roztropna i skromna dziewczyna. Od pierwszego wejrzenia wpadła w oko Iwanowi Pietrowiczowi — pokochał ją: pokochał jej nieśmiałe kroki, wstydlive odpowiedzi, cichy głosik, łagodny uśmiech; z każdym dniem wydawała mu się miłsza. I ona przywiązała się do Iwana Pietrowicza całym sercem, jak tylko umieją się przywiązywać rosyjskie dziewczęta — i oddała mu się. W wiejskim dworku żadna tajemnica nie może się długo utrzymać: wkrótce wszyscy dowiedzieli się o romansie młodego dziedzica z Małanią; wieść o tym dotarła wreszcie do samego Piotra Andrieicza. Kiedy indziej prawdopodobnie nawet nie zwróciłby uwagi na tak mało ważną sprawę: ale już od dawna był zły na syna i ucieszył się z okazji, że może zawstydić petersburskiego mędrka i eleganta. Zrobił się gwałt, krzyk, tumult. Małanię zamknięto w komórce; Iwana Pietrowicza wezwano przed oblicze rodziciela. Anna Pawłowna też przybiegła słysząc hałas. Próbowała nawet ułagodzić męża, ale Piotr Andrieicz już nic nie słuchał. Jak jastrząb rzucił się na syna, wypomniał mu niemoralność, bezbożność i obłudę; zarazem wyładował na nim cały gniew, jaki czuł do księżnej Kubienskiej, obsypał go obelżywymi słowy. Z początku Iwan Pietrowicz milczał i hamował się, ale kiedy ojcu przyszło do głowy zagrozić mu chłostą, nie wytrzymał. „Pomyleniec Diderot znowu w robocie — pomyślał — więc i ja się tu nim posłużę: poczekajcie, będziecie się mieli czemu dziwić.” I od razu równym, spokojnym głosem, chociaż z wewnętrznym drżeniem we wszystkich członkach, Iwan Pietrowicz oznajmił ojcu, że mu niepotrzebnie wypomina niemoralność; że wprawdzie nie zamierza usprawiedliwiać swojej winy, ale gotów ją naprawić i to tym chętniej, że czuje się wyższy ponad wszelkie przesady, a mianowicie — gotów jest ożenić się z Małanią. Wyrzekłszy te słowa Iwan Pietrowicz niewątpliwie osiągnął swój cel: wprawił w takie zdumienie Piotra Andrieicza, że ten aż oczy wybałuszył i oniemiał na chwilę; zaraz jednak oprzytomniał i tak jak był — w popielicowym kożuszk i butach włożonych na bosc nogi — rzucił się z pięściami na Iwana Pietrowicza, który jakby naumyślnie uczesał się tego dnia à la Titus i włożył nowy angielski granatowy frak, trzewiki z pomponami i wytworne, obciste, łosiowe pantalone. Anna Pawłowna krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła twarz rękami, a jej syn popędził przez cały dom, wyskoczył na podwórze, pomknął do ogrodu, stamtąd do sadu, z sadu na drogę i wciąż biegł nie oglądając się, dopóki wreszcie nie przestał słyszeć za sobą ciężkiego tupotu ojcowskich nóg i jego gwałtownych, urywanych okrzyków.: — Stój, łajdaku — wrzeszczał ojciec — stój, bo cię przeknę! — Iwan Pietrowicz ukrył się u sąsiada, a Piotr Andrieicz wrócił do domu na pół żywy, spocony; oświadczył, ledwie łapiąc dech, że pozbawia syna błogosławieństwa i spadku, kazał spalić wszystkie jego głupie książki, pokojówkę zaś Małanię niezwłocznie wysłać do dalekiej wioski. Znaleźli się dobrzy ludzie, którzy odszukali Iwana Pietrowicza i zawiadomili go o wszystkim. Upokorzony, wściekły, Iwan Pietrowicz poprzysiągł ojcu zemstę i tej samej nocy, upilnowawszy chłopski wóz, na którym wieziono Małanię, odbił ją, pojechał z nią co prędzej do najbliższego miasta i tam wziął ślub. W pieniądze zaopatrzył go sąsiad, wiecznie pijany i najpocziwszy w świecie dymisjonowany oficer marynarki, straszny amator wszelkich — jak się wyrażał — szlachetnych historii. Następnego dnia Iwan Pietrowicz napisał grzeczny, ale sarkastyczny, zimny list do Piotra Andrieicza, a sam udał się na wieś, gdzie mieszkał jego daleki kuzyn, Dymitr Piestow, ze swoją siostrą, znaną już czytelnikom Marfą Timofiejewną. Opowiedział im wszystko, oświadczył, że zamierza jechać do Petersburga i starać się o posadę, po czym uprosił ich, aby przynajmniej na pewien czas dali przytułek jego żonie. Przy słowie „żona” zalał się

rzewnymi łzami i mimo swego stołecznego wykształcenia i filozofii, pokornie, jak biedny szaraczek, pokłonił się swym krewnym do nóg, a nawet stuknął czołem o podłogę. Piestowowie, ludzie dobrzy i litościwi, chętnie zgodzili się na jego prośbę; przemieszkał u nich trzy tygodnie, skrycie czekając na odpowiedź ojca; ale odpowiedź nie nadeszła — i nadejść nie mogła. Piotr Andrieicz dowiedziawszy się o ślubie syna rozchorował się i zabronił wymawiać przy sobie imię Iwana Pietrowicza; tylko matka, w sekrecie przed mężem, pożyczyła od popa i posłała synowi pięćset rubli w asygnatach i obrazek dla żony; bała się napisać listu, ale kazała powiadomić Iwana Pietrowicza przez umyślnie wysłanego chuderlawego chłopaka, który potrafił przejść w ciągu doby sześćdziesiąt wiorst, żeby się bardzo nie martwił, że da Bóg, wszystko się jakoś ułoży, a ojciec się udobrucha i przywróci go do swych łask; że ona także wolałaby inną synową, ale taka była widocznie wola Opatrzności i dlatego też zasyła Małanii Siergiejewnie swoje rodzicielskie błogosławieństwo. Chuderlawy chłopak dostał rubla, poprosił o pozwolenie zobaczenia się z nową panią, której był kumem, pocałował ją w rękę i pobiegł z powrotem do domu.

A Iwan Pietrowicz udał się do Petersburga z lekkim sercem. Czekala go niewiadoma przyszłość, być może groziła mu nędza, ale rozstawał się z nienawistnym wiejskim życiem i co najważniejsze — nie zdradził swych nauczycieli, rzeczywiście „wprowadził w życie” i udowodnił czynem słuszność zasad Rousseau, Diderota i La Déclaration des Droits de l'Homme. Uczucie spełnionego obowiązku, triumfu, dumy wypełniało jego duszę. Rozłąka z żoną też go nie przerażała; byłby raczej zakłopotany koniecznością stałego z nią przebywania. Ta sprawa została rozwiązana pomyślnie: trzeba teraz było wziąć się do innych spraw. W Petersburgu, wbrew jego własnym oczekiwaniom, poszczęściło mu się: księżna Kubienska — którą monsieur Courtin zdążył już porzucić, ale która nie zdążyła jeszcze umrzeć, chcąc czymś okupić swą winę wobec kuzyna, zarekomendowała go wszystkim swoim przyjaciółom i podarowała mu pięć tysięcy rubli — ostatnie bodaj pieniądze, które miała — oraz szwajcarski zegarek z jego monogramem otoczonym girlandą amorków. Nie minęły trzy miesiące, gdy już otrzymał posadę w poselstwie rosyjskim w Londynie i na pierwszym wyruszającym w drogę żaglowcu angielskim (o parostatkach wtedy nie było jeszcze nawet mowy) popłynął na morze. W kilka miesięcy później otrzymał list od Piestowa. Poczciwy szlachcic wieszował Iwanowi Pietrowiczowi narodzin syna, który przyszedł na świat we wsi Pokrowskie dnia 20 sierpnia 1807 roku i został ochrzczony imieniem Fiodora, na cześć świętego męczennika Teodora Stratega. Z powodu wielkiej słabości Małania Siergiejewna dopisała tylko parę zdań, ale i to zdumiało Iwana Pietrowicza: nie wiedział, że Marfa Timofiejewna nauczyła jego żonę czytać i pisać. Zresztą Iwan Pietrowicz niedługo się oddawał słodkim wzruszeniom ojcostwa: asystował wtedy jednej ze znanych ówczesnych piękności, jakiejś Fryne czy Lais (klasyczne imiona kwitły jeszcze w owych latach). Pokój w Tylży był dopiero co zawarty i wszyscy śpieszyli użyć rozkoszy życia, wszystko kręciło się w jakimś szalonym wirze; czarne oczy pięknej młodej kobiety i jemu zawróciły w głowie. Pieniądzy miał niedużo, ale grał szczęśliwie w karty, nawiązywał znajomości, brał udział we wszelkich zabawach, słowem — płynął pod pełnymi żaglami.

IX

Stary Ławrecki nie mógł przebaczyć synowi jego małżeństwa. Gdyby po upływie pół roku Iwan Pietrowicz stanął przed nim, przyznał się do winy i rzucił się do nóg, może by mu przebaczył, zwymyślawszy go najpierw porządnie i zdzieliwszy go dla postrachu kosturem; ale Iwan Pietrowicz mieszkał za granicą i najwidoczniej ani mu się to śniło. „Milcz. Nie waż mi się o nim wspominać! — powtarzał Piotr Andrieicz za każdym razem, gdy żona usiłowała go skłonić, by przebaczył synowi. — Ten szczeniak powinien wiecznie Bogu dziękować, że nie rzuciłem na niego klątwy; ojciec nieboszczyk zabiłby niegodziwca własnymi rękami i dobrze by zrobił.” Anna Pawłowna przy takich strasznych słowach tylko się żegnała ukradkiem. Co się zaś tyczy żony Iwana Pietrowicza, to Piotr Andrieicz z początku nawet słyszeć o niej nie chciał, a nawet w

odpowiedzi na list Piestowa, w którym tamten wspominał o jego synowej, kazał mu zakomunikować, że on żadnej jakoby swojej synowej nie zna i że prawo zabrania trzymać w domu zbiegłej dziewczki, o czym uważa za obowiązek go uprzedzić; potem jednak dowiedziawszy się o narodzinach wnuka zmiękł, kazał po kryjomu dowiedzieć się o stanie zdrowia położnicy i posłał jej, też niby nie od siebie, trochę pieniędzy. Fiedi nie minął jeszcze roczek, gdy Anna Pawłowna śmiertelnie zaniemogła. Na kilka dni przed zgonem, już nie wstając z łóżka, ze łzami w gasnących oczach, nieśmiało oznajmiła mężowi w obecności spowiednika, że pragnie się zobaczyć i pożegnać z synową oraz pobłogosławić wnuka. Strapiony starzec uspokoił ją i niezwłocznie posłał swój własny powóz po synową, po raz pierwszy nazywając ją Małanią Siergiejewną. Synowa przyjechała z synem i z Marfą Timofiejewną, która za nic nie chciała puścić jej samej i nie pozwoliłaby jej zrobić najmniejszej przykrości. Na pół żywa ze strachu, Małania Siergiejewna weszła do gabinetu Piotra Andrieicza. Za nią piastunka niosła Fiedię. Piotr Andrieicz w milczeniu przyjrzał się synowej; podeszła, pochylała się do jego ręki; jej drżące wargi ledwie się ułożyły do bezgłośnego pocałunku.

— No, świeżo upieczona szlachcianko — przemówił wreszcie — witaj; chodźmy do jaśnie pani.

Wstał i nachylił się nad Fiedią. Dziecko uśmiechnęło się i wyciągnęło do niego swoje blade rączki. W starcu coś się załamało.

— Och — wyrzekł ze wzruszeniem — sierotko moja! Przebłagałeś mnie za ojca. Nie zostawię cię bez opieki, ptaszyno.

Małania Siergiejewna, gdy tylko weszła do sypialni Anny Pawłowny, zaraz upadła na kolana obok drzwi. Anna Pawłowna przywołała ją do siebie ruchem ręki, uściśnęła ją, pobłogosławiła jej syna; potem zwróciwszy do męża swą wynędzniałą wskutek okrutnej choroby twarz, chciała mu coś powiedzieć...

— Wiem, wiem, o co chcesz mnie prosić — uprzedził ją Piotr Andrieicz — nie martw się; zostanie u nas, a ze względu na nią przebaczę Wańce...

Anna Pawłowna z wysiłkiem ujęła męża za rękę i przywarła do niej ustami. Tego samego wieczora zakończyła życie.

Piotr Andrieicz dotrzymał słowa. Zawiadomił syna, że w godzinie śmierci jego matki, ze względu na dziecko, zwraca mu swoje błogosławieństwo, a Małanię Siergiejewną przyjmuje do siebie do domu. Oddano jej do użytku dwa pokoje na półpiętrze. Gospodarz przedstawił ją swoim najdostojniejszym gościom: jednookiemu brygadierowi Skurechinowi i jego żonie; podarował synowej dwie dziewczki i kozaczka na posyłki. Marfa Timofiejewna wkrótce wyjechała: znenawidziła Głafirę i w ciągu jednego dnia pokłóciła się z nią trzy razy.

Ciężka i kłopotliwa była z początku sytuacja biednej kobiety; ale z biegiem czasu Małania Siergiejewna przywykła do nowego otoczenia i przyzwyczaiła się do swojego teścia. On leż się do niej przyzwyczaił, nawet ją polubił, chociaż prawie nigdy z nią nie rozmawiał i chociaż w jego uprzejmości dla niej dawało się zauważyć jakieś mimowolne lekceważenie. Najwięcej przykrości znosiła Małania Siergiejewna od swojej szwagierki. Głafira jeszcze za życia matki zdołała po trochu wziąć w ręce cały dom; wszyscy jej ulegali, nie wyłączając ojca; bez jej zgody nie wolno było wydać ani kawałka cukru, prędzej zgodziłaby się umrzeć niż podzielić się władzą z drugą — i to jaką, panią domu! Ożenek brata rozdrażnił ją jeszcze bardziej niż Piotra Andrieicza; postanowiła dać nauczkę parweniuszce i Małania Siergiejewna od pierwszej chwili stała się jej niewolnicą. Jakże bo też miała walczyć z samowolną, wyniosłą Głafirą, ona, nieśmiała, wiecznie zakłopotana i

wystraszona, o słabym zdrowiu? Nie było dnia, żeby Głafira nie wypomniała jej poprzedniej sytuacji, w której się tutaj znajdowała, żeby jej nie pochwaliła za to, że o tym nie zapomina. Małania Siergiejewna chętnie by się pogodziła z tymi przypomnieniami i pochwałami, jakkolwiek byłyby gorzkie... ale zabrano jej Fiedię — to ją złamało. Pod pozorem, że nie da sobie rady z wychowaniem dziecka, nie dopuszczano jej prawie do niego; tą sprawą zajęła się sama Głafira; dziecko znalazło się całkowicie w jej władzy. Małania Siergiejewna zaczęła z rozpaczy błagać w swych listach Iwana Pietrowicza, żeby jak najprędzej wrócił; Piotr Andrieicz również pragnął zobaczyć się z synem; ale ten wciąż się wymawiał listownie, dziękował ojcu za przyjęcie żony, za przysyłane pieniądze, obiecywał wkrótce przyjechać — i nie przyjeżdżał. Rok 1812 ściągnął go wreszcie z zagranicy. Zobaczywszy się po raz pierwszy po sześcioletniej rozłące, ojciec i syn uściskali się nawzajem i nawet słówkiem nie wspomnieli o dawnych nieporozumieniach; nie była to pora na takie rzeczy: cała Rosja powstawała przeciwko najeźdźcy, obydwaj poczuli, że w ich żyłach płynie rosyjska krew. Piotr Andrieicz własnym sumptem umundurował cały pułk pospolitego ruszenia. Ale wojna się skończyła, niebezpieczeństwo minęło. Iwan Pietrowicz znowu się zaczął nudzić, znowu ciągnęło go w dal, do tego świata, z którym się zrósł i gdzie się czuł jak w domu. Małania Siergiejewna nie mogła go zatrzymać; zbyt mało dla niego znaczyła. Nawet jej nadzieje się nie ziściły: mąż tak samo doszedł do wniosku, że o wiele właściwiej będzie powierzyć Głafirze wychowanie Fiedi. Nieszczęśliwa żona Iwana Pietrowicza nie zniosła tego ciosu, nie wytrzymała ponownej rozłąki: bez słowa skargi w kilkanaście dni później zgasła. W ciągu całego swego życia nie umiała się niczemu przeciwstawić i z chorobą też nie walczyła. Już nie mogła mówić, już cień śmierci kładł się na jej twarzy, a rysy po dawnym wyrażały cierpliwe zdziwienie i niezmienną, łagodną pokorę. Z tą samą pokorą patrzyła na Głafirę i tak jak Anna Pawłowna na łożu śmierci pocałowała w rękę Piotra Andrieicza, tak samo ona złożyła ostatni pocałunek na ręce Głafiry powierzając jej, Głafirze, opiekę nad swym jedynym synem. Tak zakończyła swoją ziemską wędrówkę ta cicha i dobra istota, Bóg wie na co i po co wyciągnięta z rodzinnej gleby i niezwłocznie porzucona jak wyrwane drzewo, korzeniami do słońca; zwiędła, zginęła bez śladu i nikt po niej nawet nie zapłakał. Żałowały Małanii Siergiejewny jej pokojówki, a także trochę Piotr Andrieicz. Starcowi brakowało jej dobrej twarzy, jej milczącej obecności. „Przebac, żegnaj, biedactwo moje!” — wyszeptał bijąc jej pokłon pożegnalny w cerkwi. Płakał rzucając garść ziemi na jej trumnę.

Sam niedługo już potem żył, około pięciu lat. Zimą 1819 roku po krótkich cierpieniach umarł w Moskwie, dokąd się przeniósł z Głafirą i wnukiem. Ostatnią jego wolą było, aby go pochowano obok Anny Pawłowny i „Małaszy”. Iwan Pietrowicz bawił wtedy w Paryżu dla własnej przyjemności; podał się do dymisji wkrótce po roku 1815. Dowiedziawszy się o śmierci ojca postanowił wrócić do Rosji. Trzeba było pomyśleć o zagospodarowaniu majątku, a przy tym Fiedia, jak pisała Głafira, skończył już dwanaście lat — nadszedł czas, by się poważnie zająć jego wychowaniem.

X

Iwan Pietrowicz wrócił do Rosji jako angłoman. Krótco strzyżone włosy, nakrochmalony żabot, tabaczkowy surdut z długimi połami i mnóstwem nakładanych kołnierzyków, znudzony wyraz twarzy, coś szorstkiego a zarazem obojętnego w obejściu, mówienie przez zęby, raptowne wybuchy drewnianego śmiechu, zupełny brak wesołości, rozmowy na tematy wyłącznie polityczne i polityczno-ekonomiczne, upodobanie do krwistych rostbefów i portwajnu — wszystko to w nim aż tchnęło Wielką Brytanią, cały wydawał się przesiąknięty jej duchem. Ale — dziwna rzecz! — zmieniawszy się w aglomana Iwan Pietrowicz jednocześnie stał się patriotą, a przynajmniej uważał się za patriotę, chociaż Rosję znał słabo, nie przestrzegał ani jednego z rosyjskich zwyczajów i po rosyjsku mówił dość dziwacznie: w zwykłej rozmowie jego zdania, budowane nieporadnie i ciężko, po prostu naszpikowane były galicyzmami; ledwo jednak rozmowa schodziła na poważne tematy, z

ust Iwana Pietrowicza zaczynały się sypać powiedzenia tego rodzaju, jak: „wykazać się nowymi próbami pilności własnej” albo: „to się nie zgadza z samą naturą zjawiska” itd. Iwan Pietrowicz przywiózł ze sobą kilka rękopiśmiennych projektów poprawy ustroju i ulepszenia państwa; był bardzo niezadowolony ze wszystkiego, co widział w kraju — zwłaszcza brak odpowiedniego systemu gospodarowania wywoływał w nim ataki żółci. Zobaczywszy się z siostrą oświadczył jej od razu na wstępie, że zamierza wprowadzić zasadnicze reformy, że odtąd wszystko w jego majątku będzie szło według nowego systemu. Głafira Pietrowna nic nie odpowiedziała Iwanowi Pietrowiczowi, tylko zacisnęła zęby i pomyślała: „A gdzież ja się podzieję?” Zresztą, po przyjeździe na wieś razem z bratem i bratankiem, wkrótce się uspokoiła. W domu istotnie zaszły pewne zmiany: darmozjady i rezydenci zostali wygnani, w ich liczbie ofiarą tych zarządzeń padły dwie staruszki, jedna — ślepa, druga — sparaliżowana, a ponadto pewien zgrzybiały weteran wojny tureckiej z czasów zdobycia Oczakowa, major — którego ze względu na jego rzeczywiście wyjątkową żarłoczność karmiono tylko razowcem i soczewicą. Nakazano również nie przyjmować dotychczasowych gości: wszystkich zastąpił daleki sąsiad, jakiś jasnowłosy skrofuliczny baron, bardzo dobrze wychowany i bardzo głupi. Zjawiły się nowe meble z Moskwy; zjawiły się spluwaczki, dzwonki i umywalnie. Śniadania zaczęto podawać inaczej: zagraniczne wina wzięły górę nad wódkami i nalewkami; służbie uszyto nowe liberie. Do rodowego herbu dodano napis: *In recto virtus*. W istocie jednak władza Głafiry wcale się nie zmniejszyła: wydawanie i zakup wszystkiego po dawnemu zależały od niej. Przywieziony z zagranicy kamerdyner, Alzaczek, próbował jej się przeciwstawić — i stracił posadę, chociaż pan domu go protegował. Co się zaś tyczy gospodarstwa, zarządzania majątkami (Głafira Pietrowna miała wgląd i w te sprawy), to pomimo niejednokrotnie wyrażanych przez Iwana Pietrowicza zamiarów, by tchnąć w ten chaos nowe życie — wszystko zostało po staremu, tylko czynsz gdzieniegdzie podwyższono i pańszczyzna stała się jeszcze cięższa, a chłopom nie wolno było zwracać się ze skargami wprost do Iwana Pietrowicza. Ten patriota bowiem za bardzo gardził swoimi współziomkami System Iwana Pietrowicza w całej rozciągłości został zastosowany tylko do Fiedi: jego wychowanie rzeczywiście uległo „gruntownej reformie”, która polegała na tym, że zajął się nim wyłącznie ojciec.

XI

Przed powrotem Iwana Pietrowicza z zagranicy Fiedia znajdował się, jak już powiedziano, pod opieką Głafiry Pietrowny. Nie miał jeszcze ośmiu lat, kiedy odumarała go matka; widywał ją nie codziennie i bardzo ją pokochał; pamięć o niej, o jej łagodnej i bladej twarzy, o jej żalonych spojrzeniach i nieśmiałych pieszczotach na wieki utkwiała w jego sercu; ale dość niejasno zdawał sobie sprawę z jej sytuacji w domu; czuł, że między nim a nią istniała przegroda, której ona nie śmiała i nie mogła zburzyć. Od ojca stronił, zresztą sam Iwan Pietrowicz nigdy go nie pieścił; dziadek z rzadka głaskał go po główce i pozwalał się całować w rękę, ale nazywał go mrukiem i uważał za głuptaska. Po śmierci Małanii Siergiejewny ciotka ostatecznie wzięła go w swoje ręce. Fiedia bał się jej, bał się jej jasnych i przenikliwych oczu, jej ostrego głosu; nie śmiał przy niej puścić pary z ust; gdy się tylko poruszył na krześle, zaraz rozlegał się jej syk: „Dokąd? Siedz spokojnie!” W niedzielę i święta, po nabożeństwie, pozwalano mu się bawić, to znaczy dawano mu grubą, tajemniczą księgę, dzieło niejakiego Maksymowicza-Ambodika, pod tytułem *Symbole i emblematy*. W tej książce mieściło się przeszło tysiąc rysunków; niektóre z nich były zgoła zagadkowe i zaopatrzone w niemniej zagadkowe objaśnienia w pięciu językach. Nagi i tłusty Kupidyn grał wielką rolę w tych rysunkach. Jeden z nich, pod nazwą *Szafran i Tęcza*, miał u spodu wyjaśnienie: „Działanie powyższego jest wielkie”; obok drugiego, przedstawiającego *Czaplę leącą z kwiatkiem fiołka w dziobie*, widniał napis: „Ty znasz je wszystkie.” Kupidyn i niedźwiedź liżący swoje niedźwiedziątko oznaczali: „Mało — pomału.” Fiedia oglądał te rysunki; wszystkie już znał aż do najdrobniejszych szczegółów; niektóre z nich, zawsze jedne i te same, skłaniały go do zadumy i podniecały jego wyobraźnię; innych rozrywek nie miał. Kiedy nadszedł czas, by go uczyć języków i muzyki, Głafira Pietrowna przyjęła do niego za bezcen starą pannę, Szwedkę o

króliczych oczach, która jako tako umiała mówić po francusku i po niemiecku, kiepsko grała na fortepianie, ale za to świetnie kwasiała ogórki. W towarzystwie tej wychowawczyni, ciotki i starej dziewczki dworskiej, Wasiliewny, spędził Fiedia całe cztery lata. Często bywało tak, że siedzi sobie gdzieś w kąciku ze swoimi Emblematami — siedzi, siedzi, w niskim pokoju pachnie geranium, blade płonie jedna łożowa świeca, świerszczyk trzeszczy jednostajnie, jakby się nudził, mały ścienny zegar pośpiesznie cyka na ścianie, mysz ukradkiem skrobie i gryzie coś za tapetą, a trzy stare panny, niby Parki, w milczeniu szybko poruszają drutami, cienie od ich rąk to skaczą, to dziwnie drgają w półmroku i jakieś niesamowite, mroczne myśli roją się w głowie dziecka. Nikt by Fiedi nie nazwał powabnym chłopcem: był dosyć bladej, ale gruby, niekształtnie zbudowany i niezgrabny — prawdziwy „chłop ze wsi” wedle wyrażenia Głafiry Pietrowny; bladeść szybko by mu zniknęła z twarzy, gdyby go częściej wypuszczano na powietrze. Uczył się wzorowo, chociaż często się lenił; nigdy nie płakał, za to od czasu do czasu wpadał w jakiś dziki upór i wtedy nikt sobie już nie mógł z nim poradzić. Fiedia nie lubił nikogo spośród tych, co go otaczali... Biada sercu, które w młodości nie nauczyło się kochać!

Takim znalazł syna Iwan Pietrowicz i nie tracąc czasu jął do niego stosować swój system. „Chcę z niego zrobić przede wszystkim człowieka, un homme — powiedział do Głafiry Pietrowny — i nie tylko człowieka, ale Spartańczyka.” Wykonanie tego zamiaru Iwan Pietrowicz zaczął od tego, że ubrał syna po szkocku: dwunastoletni chłopak musiał chodzić z obnażonymi łydkami i z kogucim piórem przy miękkiej czapeczce; Szwedkę zastąpił młody Szwajcar, który doskonale opanował gimnastykę; grę na fortepianie, jako zajęcie niegodne mężczyzny, usunięto raz na zawsze z programu wychowania; nauki przyrodnicze, prawo międzynarodowe, matematyka, rzemiosło stolarskie, wedle wskazówek Jean-Jacques'a Rousseau i heraldyka dla podtrzymania rycerskich uczuć — to były przedmioty studiów przyszłego „człowieka”. Budzono go o czwartej rano, niezwłocznie potem oblewano zimną wodą i zmuszano do biegania na powrozie wokół wysokiego słupa. Jadał raz dziennie jedno danie, jeździł konno, strzelał z kuszy; przy każdej nadarzącej się okazji, za przykładem ojca, ćwiczył się w hartowaniu woli i co wieczór wpisywał do specjalnej książki sprawozdanie z minionego dnia oraz swoje uwagi. A Iwan Pietrowicz ze swej strony kreślił mu tam różne pouczenia po francusku, nazywając go mon fils i zwracając się do niego przez vous. Po rosyjsku Fiedia mówił ojcu: „ty”, ale w jego obecności nigdy się nie ośmielił usiąść. „System” ojca zbił chłopca z pantafelki, wniósł zamęt do jego głowy, ścisnął ją jakby kleszczami; ale za to na jego zdrowie nowy tryb życia podziałał dobroczynnie: Fiedia z początku dostał silnej gorączki, szybko jednak odzyskał siły i stał się zuchem. Ojciec był z niego dumny i mawiał o nim w swoim dziwnym języku: „syn natury, dzieło moje”. Kiedy Fiedia skończył szesnaście lat, Iwan Pietrowicz uznał za stosowne zawczasu wpoić w niego pogardę dla kobiet — i młody Spartańczyk, z lękiem w duszy, z pierwszym puchem na wargach, pełen żywotności, sił i krwi, już się starał wydać obojętny, chłodny i szorstki.

Czas upływał. Iwan Pietrowicz większą część roku spędzał w Ławrykach (tak się nazywał jego rodowy majątek), a na zimę przenosił się do Moskwy sam, zatrzymywał się w oberży, systematycznie odwiedzał klub, perorował, rozwijał swoje plany reformatorskie w salonach i bardziej niż kiedykolwiek pozował na Anglika, zrzedę i męża stanu. Ale nadszedł rok 1825 i przyniósł z sobą wiele nieszczęść. Bliscy znajomi i przyjaciele Iwana Pietrowicza zostali wystawieni na ciężkie próby. Iwan Pietrowicz wyjechał czym prędzej na wieś i zamknął się w swoim domu. Minał jeszcze rok, Iwan Pietrowicz nagle zachorzał, podupadł na siłach, zaniedbał się; zdrowie przestało mu dopisywać. Libertyn — zaczął chodzić do cerkwi i zamawiać msze; Europejczyk — jął się parzyć w łaźni, jadać obiady o godzinie drugiej, kłaść się o dziewiątej, zasypiać przy gawędzie starego majordomusa; mąż stanu — spalił wszystkie swoje projekty, całą korespondencję, drżał przed gubernatorem i kręcił się niespokojnie w obecności sprawnika; człowiek z zahartowaną wolą — żalił się i jęczał, kiedy mu wyskoczył czyrak, kiedy mu podano talerz zimnej zupy. Głafira Pietrowna znowu zawładnęła całym domem; znowu zaczęli chodzić

przez kuchenny ganek rządcy, ekonomi i prości chłopci — do „starej trajkotki” — jak ją nazywali dworscy ludzie. Zmiana, która się dokonała w Iwanie Pietrowiczu, wywarła silne wrażenie na Fiedu. Właśnie skończył osiemnaście lat i zaczął rozmyślać i wyzwalać się spod ucisku dławiącej go ojcowskiej ręki. Przedtem również dostrzegał rozbieżność między słowami a czynami ojca, między jego rozległymi liberalnymi teoriami a małostkowym, oschłym despotyzmem, ale nie spodziewał się tak raptownego przełomu. Zastarzały egoista nagle ujawnił się bez obłonek. Młody Ławrecki miał jechać do Moskwy, żeby się przygotować do egzaminów wstępnych na uniwersytet — gdy tymczasem nowa, nieoczekiwana klęska spadła na głowę Iwana Pietrowicza: oślepl, i to oślepl beznadziejnie, w ciągu jednego dnia.

Nie ufając sztuce rosyjskich lekarzy zaczął czynić starania o pozwolenie na wyjazd za granicę. Odmówiono mu. Wtedy wziął z sobą syna i całe trzy lata przewędrował po Rosji, od jednego lekarza do drugiego, bezustannie jeżdżąc z miasta do miasta i doprowadzając do rozpaczony lekarzy, służbę i syna swą małodusznością i niecierpliwością. Jako zupełny niedołęga, mazgajowate i kapryśne dziecko, wrócił do rodzinnego gniazda. Nastąpiły smutne dni, umęczeni przez niego wszyscy. Iwan Pietrowicz przycichał tylko wtedy, gdy jadł obiad; nigdy nie jadł tak chciwie i tak dużo; przez resztę czasu nie dawał spokoju ani sobie, ani innym. Modlił się, sarkał na los, kłął, kłął politykę, kłął swój system, kłął wszystko, czym się pysznił i przechwalał, wszystko, co niegdyś stawiał synowi za wzór; twierdził, że w nic nie wierzy, i znowu się modlił; nie znosił samotności nawet przez jedną chwilę i żądał od domowników, żeby bez ustanku, we dnie i w nocy, siedzieli przy jego fotelu i bawili go opowiadaniem, które raz po raz przerywał krzycząc: „Kłamiecie od początku do końca — co za bzdury!”

Szczególnie miała za swoje Głafira Pietrowna; stanowczo nie mógł się bez niej obejść — i ona aż do końca spełniała wszystkie zachcianki chorego, chociaż chwilami nie od razu mu odpowiadała, żeby dźwiękiem głosu nie zdradzić dławiącej ją złości. W ten sposób przekwękał jeszcze dwa lata i umarł w początkach maja, kiedy wyniesiono go na balkon, na słońce. „Głasza, Głasza! Bulionu, bulionu, ty stara głup...” — wymamrotał martwiejącym językiem i nie domówiwszy ostatniego słowa zamilkł na wieki. Głafira Pietrowna, która właśnie wyrwała filizankę bulionu z rąk starszego lokaja, zatrzymała się, popatrzyła na twarz brata, powoli, szeroko przeżegnała się i odeszła w milczeniu; a syn, znajdujący się tuż obok, również nic nie powiedział, oparł się o poręcz balkonu i długo patrzył w ogród, pełen ożywczych woni i zieloności, cały skąpany w promieniach złotego wiosennego słońca. Miał dwadzieścia trzy lata. Jak szybko, jak strasznie szybko, nie wiadomo kiedy przemknęły te dwadzieścia trzy lata!... Życie otwierało się przed nim.

XII

Pochowawszy ojca i powierzywszy tej samej niezmiennej Głafirze Pietrownie prowadzenie gospodarstwa oraz nadzór nad rządcami, młody Ławrecki udał się do Moskwy, dokąd go ciągnęło niejasne, lecz mocne uczucie. Zdawał sobie sprawę z braków swego wychowania i powziął zamiar nadrobienia ich wedle możliwości. W ciągu ostatnich pięciu lat dużo przeczytał i coś niecoś zobaczył; wiele myśli przefermentowało w jego głowie, niejeden profesor pozazdrościłby mu niektórych wiadomości. Zarazem jednak nie wiedział takich rzeczy, o których doskonale wie pierwszy lepszy gimnazjalista. Ławrecki zdawał sobie sprawę, że nie czuje się swobodnie między ludźmi; w głębi duszy miał sam siebie za dziwaka. Brzydkiego figla spletał angloman swemu synowi; cudaczne wychowanie wydało owoce. Długie lata bez słowa protestu Fiedia korzył się przed swoim ojcem; kiedy jednak go przeniknął, było już poniewczasie; przyzwyczajenia zakorzeniły się głęboko. Nie umiał zbliżyć się do ludzi: mając dwadzieścia trzy lata, pełen niepohamowanego pragnienia miłości we wstydlwym sercu, nie poważył się spojrzeć w oczy jeszcze ani jednej kobiecie. Przy jego umyśle, jasnym i zdrowym, ale nieco ciężkim, przy jego skłonności do uporu, kontemplacyjnym usposobieniu i lenistwie, powinien był raczej wcześniej

dostać się w wir życia, a tymczasem trzymano go tak długo w sztucznym odosobnieniu... Aż wreszcie pękło zaczarowane koło, a on wciąż stał na jednym miejscu, skrupowany i zamknięty w sobie. Śmieszną było rzeczą w jego wieku paradować w studenckim mundurze; ale on nie bał się drwinek — jego spartańskie wychowanie chociaż na to się przydało, że rozwinęło w nim lekceważenie cudzych sądów — przywdział więc mundur studencki bez zakłopotania. Wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny. Zdrowy, małomówny, rumiany; z twarzą, którą okalała już broda, wywierał dziwne wrażenie na swoich towarzyszy; nawet nie podejrzewali, że w tym surowym mężczyźnie, który regularnie przyjeżdżał na wykłady szerokimi wiejskimi saniami, zaprzężonymi w parę cugantów, kryło się niemal dziecko. Wydawał im się jakiś przemądrzały, nie potrzebowali i nie szukali jego towarzystwa; on zaś wyraźnie ich unikał. W ciągu pierwszych dwóch lat spędzonych na uniwersytecie zaprzyjaźnił się tylko z jednym studentem, u którego brał lekcje łaciny. Student ów, nazwiskiem Michalewicz, entuzjasta i rymopis, szczerze polubił Ławreckiego i całkiem przypadkowo stał się sprawcą ważnej zmiany w jego życiu.

Pewnego razu w teatrze (Moczałow znajdował się wtedy u szczytu sławy, toteż Ławrecki nie opuszczał ani jednego przedstawienia) ujrzał w łoży nad parterem dziewczynę — i chociaż ani jedna kobieta nie przeszła obok jego posępnej postaci nie wywołując drżenia w jego sercu — nigdy jeszcze to serce nie zabiło mu tak mocno jak teraz. Oparłszy się łokciami na aksamicie poręczy dziewczyna siedziała bez ruchu; wrażliwe, młode życie grało w każdym rysie jej śniadej, okrągłej, urodziwej twarzyczki; wytworność i inteligencję można było dostrzec w pięknych oczach, uważnie i łagodnie patrzących spod delikatnych brwi, w szybkim uśmiechu wyrazistych ust, w układzie rąk, głowy, szyi, ubrana była prześlicznie. Obok niej siedziała pomarszczona i żółta kobieta lat czterdziestu pięciu, wydekoltowana, w czarnym toczku, z bezzębnym uśmiechem na zatroskanej i bezmyślnej twarzy. W głębi łoży widać było mężczyznę w podeszłym wieku, ubranego w luźny surdut i wysoki halsztuk; policzki miał zapadłe, czoło niezbyt wypukłe, ale duże; wąsy i bokobrody uczernione; w jego maleńkich oczach tlił się wyraz tępego majestatu i jakiejś przymilnej podejrzliwości — wedle tych oznak można było w nim z łatwością poznać dymisjonowanego generała. Ławrecki nie spuszczał oczu z dziewczyny, która go tak olśniła. Nagle drzwi łoży otworzyły się i wszedł Michalewicz. Ukazanie się tego człowieka, prawie jedyne jego znajomego w całej Moskwie, ukazanie się w towarzystwie jedynej dziewczyny, która pochłonęła całą jego uwagę, wydało się Ławreckiemu wiele znaczące i dziwne. Obserwując w dalszym ciągu łożę zauważył, że wszyscy znajdujący się tam traktowali Michalewicza jak starego przyjaciela. Ławreckiego przestało interesować przedstawienie. Sam Moczałow, chociaż był tego wieczora w „doskonałej formie”, nie wywarł na nim zwykłego wrażenia. W pewnym nader patetycznym miejscu Ławrecki mimo woli spojrzął na swoją piękność: aż się pochyliła naprzód; policzki jej pałały; pod wpływem jego uporczywego wzroku oczy jej, skierowane na scenę, powoli się odwróciły i zatrzymały na nim... Całą noc majaczyły mu się te oczy. Pękła nareszcie sztucznie zbudowana tama: Ławrecki drżał, płonął i następnego dnia od razu poszedł do Michalewicza. Dowiedział się od niego, że piękna dziewczyna nazywała się Warwara Pawłowna Korobin, że starsi państwo, siedzący z nią w łoży, byli jej rodzicami i że on, Michalewicz, poznał się z nimi rok temu w czasie swego pobytu w okolicach Moskwy na kondycji u hrabiego N. Entuzjasta wyrażał się z najwyższymi pochwałami o Warwarze Pawłownie.

— To jest, uważasz, bracie — wołał z właściwą sobie porywistą śpiewnością w głosie — dziewczyna o złotym sercu, przy tym artystka w prawdziwym tego słowa znaczeniu i w ogóle zdumiewająca, genialna istota. — Zorientowawszy się z pytań Ławreckiego, jakie wrażenie zrobiła na nim Warwara Pawłowna, sam mu zaproponował, że go z nią pozna, dodając, że czuje się u nich jak u siebie w domu, że generał wcale nie jest wyniosły, a matka jest tak głupia, że się nie liczy. Ławrecki zaczerwienił się, wymamrotał coś niezrozumiałego i uciekł. Pięć dni walczył ze swoją nieśmiałością, szóstego dnia młody Spartańczyk włożył nowiutki mundur i oddał się do dyspozycji

Michalewicz, który jako przyjaciel domu, poprzestał na tym, że uczesał włosy — i obaj udali się do Korobinów.

XIII

Ojciec Warwary Pawłowny, Paweł Pietrowicz Korobin, dymisjonowany generał-major, całe życie spędził w Petersburgu na służbie; za młodu słynął jako tęgi oficer liniowy i dobry tancerz; ze względu na ubóstwo pełnił kolejno funkcje adiutanta przy dwóch czy trzech mniej wybitnych generałach, ożenił się z córką jednego z nich, wziął w posagu około dwudziestu pięciu tysięcy, na wskroś poznał i przyswoił sobie całą mądrość wojskowych ćwiczeń i przeglądów; klepał, klepał biedę, aż wreszcie po jakichś dwudziestu latach dochrapał się generalskiego stopnia i został dowódcą pułku. Tu już mógł być odpocząć i ugruntować bez pośpiechu swój dobrobyt; na to właśnie liczył, ale nie dość ostrożnie pokierował sprawą: wymyślił nowy sposób włączenia skarbowych pieniędzy do prywatnego obrotu — sposób był doskonały, ale generał w pewnej chwili zapomniał posmarować komuś łapę; złożono na niego donos; zrobiła się z tego więcej niż nieprzyjemna, po prostu brzydka historia. Generał jakoś się z niej wykręcił, ale kariera jego została zwichnięta; poradzono mu podać się do dymisji. Jeszcze ze dwa lata przemieszkał w Petersburgu w nadziei, że trafi mu się jakaś ciepła cywilna posadka, ale posadka nie trafiała się; córka skończyła pensję, wydatki rosły z każdym dniem... Z bólem serca postanowił przenieść się do Moskwy, gdzie utrzymanie było tańsze, wynajął na Starej Koniusznej malutki, niziutki domek z olbrzymim herbem na dachu i zaczął pędzić żywot moskiewskiego emeryta wydając dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt rubli rocznie. Moskwa jest miastem gościnnym, chętnie przyjmie każdego, tym bardziej generała; ciężka, ale marsowa postać Pawła Pietrowicza zaczęła się wkrótce ukazywać w co lepszych moskiewskich salonach. Jego gołe ciemię z kosmykami farbowanych włosów i zatuszczona wstęga orderu św. Anny na halsztuku czarnym jak skrzydło kruka stały się dobrze znane wszystkim bladym i znudzonym młodzieńcom, ponuro wałęsającym się w czasie tańców dokoła karcianych stolików. Paweł Pietrowicz umiał się znaleźć w towarzystwie: mówił mało, ale starym zwyczajem przez nos — oczywiście, nie z osobami wyższych rang; w karty grał ostrożnie, w domu jadał umiarkowanie, a na wizytach — za szczęściu. O żonie jego niewiele jest do powiedzenia; nazywała się Kaliopa Karłowna; z jej lewego oka sączyła się łezka, wobec czego Kaliopa Karłowna (a trzeba dodać, że pochodziła z niemieckiej rodziny) sama uważała się za kobietę uczuciową: zawsze się czegoś lękała, jakby jej co groziło; nosiła obcisłe aksamitne suknie, tok i matowe dęte bransolety. Jedyne córka Pawła Pietrowicza i Kaliopy Karłowny — Warwara Pawłowna — skończyła dopiero siedemnasty rok, kiedy opuściła mury ***skiej pensji, gdzie uważana była jeśli nie za największą piękność, to za najzdolniejszą uczennicę i najlepszą pianistkę i gdzie otrzymała chiffre. Nie miała jeszcze dziewiętnastu lat, kiedy Ławrecki ujrzał ją po raz pierwszy.

XIV

Nogi się ugiwały pod Spartańczykiem, gdy Michalewicz wprowadził go do lichy umeblowanego salonu Korobinów i przedstawił gospodarzom. Ale wkrótce opuściło go uczucie nieśmiałości: u generała właściwa wszystkim Rosjanom dobroduszność spotęgowana była jeszcze wskutek owej szczególnej uprzejmości, tak charakterystycznej dla ludzi o nadszarpniętej opinii; generałowa jakoś od razu znikła; co się zaś tyczy Warwary Pawłowny, to była tak spokojna, pewna siebie i uprzejma, że każdy w jej obecności od razu czuł się jak w domu. A przy tym cała jej czarująca postać, uśmiechające się oczy, dziewczęco pochyłe ramiona i bladoróżowe ręce, lekki a zarazem jakby zmęczony chód, nawet dźwięk jej głosu, powolnego i pełnego słodyczy — wszystko to tchnęło nieuchwytnym, jak subtelny zapach, zniewalającym urokiem, kuszącą, na razie jeszcze wstydliwą obietnicą rozkoszy, czymś takim, co trudno wyrazić w słowach, ale co wzruszało i podniecało — i oczywiście nie onieśmielało. Ławrecki skierował rozmowę na teatr, na wczorajsze przedstawienie;

ona sama od razu zaczęła mówić o Moczalowie i nie ograniczyła się tylko do westchnień i okrzyków, lecz wygłosiła kilka trafnych i po kobiecemu wnikliwych uwag o jego grze. Michalewicz wspomniał o muzyce; nie dając się długo prosić, siadła do fortepianu i bardzo starannie zagrała kilka mazurków Chopina, które właśnie wtedy wchodziły w modę. Nadeszła pora obiadu, Ławrecki chciał się pożegnać, ale go zatrzymano. Przy stole generał częstował lafitem, po który lokaj generała wysłany został do sklepu pana Depré. Ławrecki wrócił do domu późnym wieczorem i długo siedział nie rozbierając się, zasłoniwszy oczy ręką, zdrętwiały z oczarowania. Zdawało mu się, że dopiero teraz rozumiał, dlaczego warto żyć; wszystkie jego projekty, zamiar, wszystkie te nedorzeczności i głupstwa znikły, jakby je kto zdmuchnął; cała jego dusza wypełniała się jednym uczuciem, jednym pragnieniem: pragnieniem szczęścia, posiadania, miłości, słodkiej kobiecej miłości. Od tego dnia bywał u Korobinów coraz częściej. W pół roku później wyznał Warwarze Pawłownie swoją miłość i oświadczył się o jej rękę. Jego oświadczenia zostały przyjęte; generał już dawno, bodaj czy nie w przeddzień pierwszej wizyty Ławreckiego, spytał Michalewicza, ile Ławrecki ma dusz; Warwara Pawłowna, która przez cały czas konkurów, a nawet w chwili oświadczenia zachowała zwykłą równowagę ducha i przytomność umysłu, też dobrze wiedziała, że jej narzeczony jest bogaty; Kaliopa Karłowna zaś pomyślała: „Meine Tochter macht eine schöne Partie” — i kupiła sobie nowy tok.

XV

Tak więc oświadczenia jego zostały przyjęte, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, Ławrecki miał od razu wystąpić z uniwersytetu, bo któż wychodzi za mąż za studenta i cóż to za dziwaczny pomysł, żeby bogaty obywatel ziemski w dwudziestym szóstym roku życia chodził na lekcje jak uczeń? Po drugie, Warwara Pawłowna wzięła na siebie kłopoty związane z zamówieniem i kupnem całej wyprawy ślubnej, łącznie z prezentami od oblubieńca. Miała dużo zmysłu praktycznego, dużo dobrego smaku i wiele zamięłowania do komfortu, jako też umiejętności zapewniania go sobie. Owa umiejętność szczególnie zdumiała Ławreckiego, kiedy bezpośrednio po ślubie razem z żoną udał się nabytą przez nią wygodną kareta do Ławryków. Jakże wszystko, co go otaczało, było z góry obmyślane, wyczone, przewidziane przez Warwarę Pawłownę! Jakie śliczne podrózne nesesery zjawiały się w różnych przytulnych kąciakach, jakie zachwycające puzderka z przyborami toaletowymi oraz imbryczki do kawy — i z jakim wdziękiem Warwara Pawłowna sama co rano parzyła kawę. Zresztą Ławrecki nie był wtedy usposobiony do czynienia jakichkolwiek spostrzeżeń; był szczęśliwy, upajał się szczęściem, tonął w nim z bezpośredniością dziecka... Ten miody Alcyda był rzeczywiście niewinny jak dziecko.

Nie na próżno tchnęła urokiem cała istota jego młodej żony; nie na próżno obiecywała uczuciu tajemną słodycz niepojętych rozkoszy — dotrzymała więcej, niż obiecywała. Przyjechawszy na wieś w pełni lata znalazła dom brudny i ciemny, służbę śmieszłą i staroświecką, ale nie uważała za konieczne nawet napomknąć o tym mężowi. Gdyby miała zamiar osiąść w Ławrykach na stałe, wszystko by w nich przerobiła poczynając, rzecz prosta, od domu; ale myśl o pozostaniu w tym zapadłym kącie stepowym nie przychodziła jej do głowy ani na chwilę; mieszkała tu jak w namiocie, znosząc cierpliwie wszelkie niewygodności i pociesznie sobie z nich żartując. Marfa Timofiejewna przyjechała odwiedzić swego wychowanka. Bardzo się spodobała Warwarze Pawłownie, ale jej Warwara Pawłowna się nie spodobała. Z Głafirą Pietroną nowa pani domu też nie mogła dojść do porozumienia; dałaby jej może spokój, ale staremu Korobinowi zachciało się wziąć w ręce interesy zięcia; mówił, że zarządzanie majątkiem tak bliskiego członka rodziny nie może przynieść wstydu nawet generałowi. Należy przypuszczać, że Paweł Pietrowicz nie wstydziłby się zarządzać majątkiem nawet całkiem obcego człowieka. Warwara Pawłowna poprowadziła nader pomysłowo atak; nie zdradzając się naprzód z niczym, cała niby pochłonięta rozkoszą miodowych miesięcy, urokami cichego sielskiego życia, muzyką i czytaniem, po trochu doprowadziła Głafirę do tego, że ta pewnego ranka wbiegła jak szalona do gabinetu Ławreckiego i

rzuciwszy pęk kluczy na stół oświadczyła, że nie ma siły dłużej prowadzić gospodarstwa i nie chce pozostać na wsi. Odpowiednio zawczasu urobiony Ławrecki od razu się zgodził na jej wyjazd. Tego Głafira się nie spodziewała. „Dobrze — powiedziała i oczy jej pociemniały z gniewu — widzę, że jestem tutaj niepotrzebna! Wiem, kto mię stąd wygania, z mojego rodzinnego gniazda. Zapamiętaj jednak, bratanku, moje słowa: i ty także nigdzie nie uwijesz sobie gniazda, będziesz wiecznym tułaczem. To ci przepowiadam.” Tego samego dnia przeniosła się do swojej wioski, a po upływie tygodnia przybył Korobin i z przyjemną melancholią w gestach i w spojrzeniu przejął w swoje ręce zarząd całego majątku.

We wrześniu Warwara Pawłowna zawiozła swojego męża do Petersburga. Spędzili tam dwie zimy (na lato wyjeżdżali do Carskiego Sioła) w pięknym, jasnym, wytwornie umeblowanym mieszkaniu; porobili dużo znajomości w średnich, a nawet wyższych sferach towarzyskich, dużo składali wizyt i sami często przyjmowali gości, urządzali przemiłe wieczorki muzyczno-taneczne. Warwara Pawłowna przyciągała ludzi jak płomień ółmy. Fiodorowi Iwanyczowi nie bardzo odpowiadał taki tryb życia. Żona radziła mu, żeby wstąpił na służbę państwową; on z uwagi na pamięć ojca i ze względu na własne przekonania nie chciał zostać urzędnikiem, ale dla dogodzenia Warwarze Pawłownie mieszkał nadal w Petersburgu. Zresztą wkrótce domyślił się, że nikt mu nie przeszkadza w samotności, że nie na próżno ma najspokojniejszy i najprzytulniejszy gabinet w całym Petersburgu; że troskliwa żona gotowa jest mu nawet pomóc się odosobnić — i od tego czasu wszystko się ułożyło doskonale. Ławrecki wziął się znowu do uzupełniania braków swego wykształcenia, które, jak sam mniemał, było niewystarczające; znowu zaczął czytać, poduczył się nawet angielskiego. Dziwny był widok jego krzepkiej, barczystej postaci, wiecznie schylonej nad biurkiem, jego pełnej rumianej, zarośniętej twarzy do połowy zasłoniętej kartkami zeszytu lub słownika. Każde przedpołudnie spędzał przy pracy, obiad zjadał z apetytem (Warwara Pawłowna była świetną gospodynią), a wieczorami wstępował w czarujący, pachnący, promienny świat zaludniony młodymi, wesołymi twarzami — ośrodkiem tego świata była ta sama zapobiegliwa pani domu, jego żona. Ucieszył się, gdy mu powiła synka, ale biedne dziecko niedługo żyło; umarło wiosną, a w lecie, za poradą lekarzy, Ławrecki wywiózł żonę za granicę, do wód. Rozrywka była dla niej konieczna po takim nieszczęściu, a i zdrowie jej wymagało ciepłego klimatu. Lato i jesień spędzili w Niemczech i Szwajcarii, na zimę, jak się tego należało spodziewać, pojechali do Paryża. W Paryżu Warwara Pawłowna rozkwitła jak róża i potrafiła sobie uwić gniazdko tak samo szybko i zrećnie jak w Petersburgu. Znalazła niezwykle miłe mieszkanie przy jednej z bocznych, ale modnych ulic Paryża; mężowi uszyła taki szlafrok, jakiego nigdy w życiu nie nosił; przyjęła elegancką subretkę, doskonałą kucharkę, obrotnego lokaja; kupiła śliczne pianino i piękną karetkę. Nie minął tydzień, gdy już przechodziła przez ulicę, zawiązywała szal, otwierała parasolkę i naciągała rękawiczki jak najczystszej krwi paryżanka. Wkrótce zawarła wiele znajomości. Najpierw bywali u niej Rosjanie, potem zaczęli się zjawiać Francuzi, bardzo uprzejmi, grzeczni, kawalerowie o świetnych manie rach i ładnie brzmiących nazwiskach; wszyscy mówili szybko i dużo, nonszalancko się kłaniali, przyjemnie mrużyli oczy; wszystkim spod różowych warg połyskiwały bielutkie zęby — a jak się umieli uśmiechać! Każdy z nich przyprowadzał swoich przyjaciół i la belle madame de Lavretzki wkrótce stała się znana od Chaussée d'Antin do rue de Lilie. W owych czasach (rzecz się działa w 1836 roku) jeszcze się nie zdążyło rozmnożyć plemię felietonistów i kronikarzy, których teraz pełno jest wszędzie jak mrówek w rozkopanym mrowisku; ale już wtedy pokazywał się w salonie Warwary Pawłowny niejaki monsieur Jules, jegomość o niezbyt pociągającej powierzchowności, o skandalicznej reputacji, bezczelny i niczemny, jak wszyscy pojedykowicze i ludzie, którzy już byli policzkowani. Ów monsieur Jules budził obrzydzenie w Warwarze Pawłownie, ale go przyjmowała dlatego, że pisywał w różnych gazetach i stale zamieszczał o niej wzmianki nazywając ją to m-me de L...tzki, to znów m-me de***, cette grande dame russe si distinguée, qui demeure rue de P. Podawał do wiadomości całemu światu, to znaczy kilkuset prenumeratorom, których m-me de L...tzki nie obchodziła ani trochę, że owa dama, prawdziwa Francuzka pod względem umysłowości (une vraie Francaise par l'esprit) — większej

pochwały Francuzi nie znają — jest niezwykle miła i uprzejma, że niezwykle pięknie gra na fortepianie i zachwycająco tańczy walca (Warwara Pawłowna rzeczywiście tak świetnie tańczyła walca, że porywała wszystkie serca rąbkami swej lekkiej, powiewnej sukni)... słowem — rozślawiał ją wśród ludzi, a przecież każdemu — co tu mówić — sprawia to wielką przyjemność. Panna Mars już zeszła była wtedy ze sceny, a panna Rachel jeszcze się na niej nie ukazała, mimo to Warwara Pawłowna pilnie odwiedzała teatry. Wpadała w zachwyty słysząc włoską muzykę i śmiała się z aktorskiej ruiny Audry, dyskretnie ziewała w Komedii Francuskiej i płakała widząc grę pani Dorval w jakimś ultraromantycznym melodramacie. Co najważniejsze — Liszt koncertował u niej dwa razy i był tak ujmujący, tak prosty, że wszyscy za nim szaleli! Wśród takich przyjemnych wrażeń zeszła zima, pod koniec której Warwara Pawłowna została nawet przedstawiona na dworze królewskim. Fiodor Iwanycz ze swej strony też się nie nudził, chociaż niekiedy życie zaczynało mu ciążyć — bo było puste i nie miało celu. Czytał gazety, słuchał wykładów w Sorbonie i College de France, śledził debaty w parlamencie, wziął się do tłumaczenia znanego dzieła naukowego o sztucznych nawodnieniach. „Nie tracę czasu — myślał— wszystko to jest pożyteczne, ale na przyszłą zimę trzeba koniecznie wrócić do Rosji i wziąć się do pracy.” Trudno orzec, czy zdawał sobie jasno sprawę, na czym ta praca miała polegać, i Bóg wie, czyby mu się udało wrócić przed zimą do kraju — na razie miał pojechać z żoną do Baden-Baden... Nieoczekiwany wypadek zburzył wszystkie jego plany.

XVI

Wszedłszy pewnego razu w czasie nieobecności Warwary Pawłowny do jej gabinetu Ławrecki ujrzał na podłodze malutką, starannie złożoną kartkę. Odruchowo ją podniósł, odruchowo rozwinął i przeczytał, co następuje, po francusku:

„Drogi aniele, Betsy! (Nie mogę się ani rusz zdecydować, żeby cię nazwać Barbare lub Varvara.) Próżno czekałem na Ciebie na bulwarze; przyjedź jutro o wpół do drugiej do naszego mieszkanka. Twój poczciwy grubas (ton gros bonhomme de mari) o tej porze zazwyczaj pochłonięty jest czytaniem książek. Zaśpiewamy sobie znowu tę piosenkę waszego poety P u s k i n a (de votre poète Pouskine), której mnie nauczyłaś: «Stary mąż, groźny mąż!» Całują tysiącrotnie Twoje rączki i nóżki. Czekam.

Ernest"

Ławrecki nie mógł zrazu pojąć tego, co przeczytał. Przeczytał po raz drugi — i zakręciło mu się w głowie, podłoga zakołysała mu się pod nogami jak pokład okrętu w czasie burzy. Krzyknął, stracił oddech i rozplakał się w jednym mgnieniu oka.

Oszalał. Tak ślepo ufał żonie; możliwość zdrady nigdy mu nawet przez myśl nie przeszła. Ów Ernest, ów kochanek jego żony, jasnowłosy, lalkowaty, dwudziestotrzyletni młodzieniaszek, z zadartym nosem i drobnymi wąsikami, był chyba najlichszym, najnędniejszym typem ze wszystkich jej znajomych. Minęło kilka minut, minęło pół godziny; Ławrecki wciąż stał trzymając fatalną kartkę w ręku i bezmyślnie wpatrując się w podłogę; majaczyły mu się blade twarze unoszone przez jakiś złowrogi wicher; boleśnie kołatało i zamierało serce; doznawał wrażenia, że gdzieś spada, spada, spada... bez końca. Znajomy, lekki szelest jedwabnej sukni wyrwał go z odrętwienia. Warwara Pawłowna, w kapeluszu i szalu, pośpiesznie wracała ze spaceru. Ławrecki zadrżał i rzucił się do wyjścia; czuł, że w tej chwili gotów byłby ją rozszarpać, zbić na śmierć, po chłopsku, udusić własnymi rękami. Zdumiona Warwara Pawłowna chciała go zatrzymać; ledwo zdołał wyszeptać: „Betsy”, i wybiegł z domu.

Ławrecki wziął karetę i kazał się wieźć za miasto. Resztę dnia i całą noc do rana wałęsał się przystając co chwila i załamując dłonie: to odchodził od zmysłów, to znowu robiło mu się jakby śmiesznie, nawet wesoło. Rano zziął i wstąpił do nędznej zamiejskiej traktierni, zażądał osobnego pokoju i siadł na krześle przy oknie. Napadło go spazmatyczne ziewanie. Ledwie się trzymał na nogach, bolały go wszystkie mięśnie — mimo to nie odczuwał nawet zmęczenia, ale zmęczenie powoli robiło swoje: siedział, patrzył i nic nie rozumiał; nie rozumiał, co się z nim stało, dlaczego znalazł się sam, z odrętwiałymi członkami, z goryczą w ustach, z ciężarem na piersi, w pustym, nieznanym pokoju; nie rozumiał, co skłoniło Warwarę do nawiązania romansu z tym Francuzikiem i jak mogła, zdając sobie sprawę ze swej niewierności, być po dawnemu spokojna, po dawnemu życzliwa i otwarta w stosunku do niego. „Nic nie rozumiem! — szeptały jego wyschłe wargi. — Któż mi teraz może zaręczyć, że i w Petersburgu...” — nie kończył pytania i znowu ziewał, kurcząc się i drżąc na całym ciele. Jasne i mroczne wspomnienia jednakowo go dręczyły; przyszło mu nagle do głowy, że przed paroma dniami ona przy nim i przy Erneście zagrała na fortepianie i zaśpiewała: „Stary mąż, groźny mąż!” Przypomniał sobie wyraz jej twarzy, dziwny blask oczu i rumieniec na policzkach — podniósł się z krzesła, chciał pójść, powiedzieć im: „Niepotrzebnieście sobie ze mnie zakpili; mój pradziad wieszał chłopów za żebra, a dziad mój sam był chłopem” — i zabić ich oboje. Albo znowu mu się wydawało, że wszystko, co się z nim dzieje, to tylko sen, a nawet nie sen, lecz po prostu jakaś bzdura: że wystarczy tylko otrząsnąć się, rozejrzeć dokoła... Rozglądał się, a zgryzota coraz głębiej wżerała mu się w serce — tak jak jastrząb wpija się szponami w schwytanego ptaka. Na dobitkę Ławrecki spodziewał się, że za kilka miesięcy zostanie ojcem... Przeszłość, przyszłość, całe życie było zatrute. Wrócił na koniec do Paryża, zatrzymał się w hotelu i posłał Warwarze Pawłownie kartkę monsieur Ernesta z następującym listem:

„Załączona karteczka wyjaśni Pani wszystko. Nawiasem mówiąc, nie poznaję Pani w tych okolicznościach: Pani, taka zawsze staranna, gubi tak ważne papiery. (To zdanie nieszczęśliwy Ławrecki układał i pieścił dobre kilka godzin.) Nie mogę Pani więcej widzieć; przypuszczam, że i Pani nie powinna pragnąć widzenia się ze mną. Wyznaczam Pani piętnaście tysięcy franków rocznie, więcej dać nie mogę. Proszę nadsyłać swoje adresy do kancelarii majątku. Niech Pani robi, co się Jej żywnie podoba; niech Pani mieszka, gdzie chce. Życzę szczęścia. Odpowiedzi nie trzeba.”

Ławrecki napisał żonie, że odpowiedzi nie trzeba... ale czekał na odpowiedź, pragnął odpowiedzi, wyjaśnienia tej niepojętej, niewytłumaczonej sprawy. Warwara Pawłowna tego samego dnia przysłała mu długi list po francusku. Ten list go dobił. Jego ostatnie wątpliwości znikły — i zrobiło mu się wstyd, że mógł mieć jeszcze jakieś wątpliwości. Warwara Pawłowna nie usprawiedliwiała się: chciała go tylko zobaczyć, błagała, żeby jej nie potępiał nieodwołalnie. List był chłodny i powściągliwy, chociaż gdzieś tam widać było na nim ślady łez. Ławrecki gorzko się uśmiechnął i kazał powiedzieć przez posłańca, że wszystko w porządku. W trzy dni później już go nie było w Paryżu, pojechał jednak nie do Rosji, lecz do Włoch. Sam nie wiedział, dlaczego właśnie wybrał Włochy; w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, dokąd pojechać — byle nie do domu. Wysłał polecenie swemu rządcy co do pensji żony, a jednocześnie kazał mu niezwłocznie przejąć od generała Korobina cały zarząd majątku, nie czekając na sprawozdanie rachunkowe, i dopilnować, aby ekscelencja natychmiast opuścił Ławryki; żywo sobie wyobraził zakłopotanie, daremne silenie się na dostojność wypędzanego generała i przy całym swoim nieszczęściu poczuł pewną złośliwą radość. Napisał również list do Głafiry Pietrowny, załączył plenipotencję na jej nazwisko i prosił ją, aby wróciła do Ławryków; ale Głafira Pietrowna do Ławryków nie wróciła i sama wydrukowała w gazetach ogłoszenie o zniszczeniu plenipotencji, co było zupełnie zbyteczne. Ukryty w niedużym włoskim miasteczku, Ławrecki długo jeszcze nie mógł się powstrzymać od tego, żeby nie śledzić żony. Z gazet dowiedział się, że z Paryża pojechała zgodnie z dawniejszym swoim projektem do Baden-Baden; jej nazwisko ukazało się wkrótce w artykuliku, podpisanym przez tegoż monsieur Jules'a. W owym artykuliku poprzez zwykłą filuterność przebijało jakieś przyjazne współczucie; po

prze czytaniu wzmianki Fiodor Iwanycz doznał uczucia wielkiego obrzydzenia. Potem dowiedział się, że mu się urodziła córka. W dwa miesiące później otrzymał wiadomość od rządcy, że Warwara Pawłowna zażądała pierwszej raty swej pensji. Potem zaczęły krążyć pogłoski coraz szkaradniejsze. Wreszcie cała prasa roztrąbiła tragicomiczną historię, w której jego żona odegrała rolę nie do pozazdroszczenia. Wszystko było skończone: Warwara Pawłowna stała się „głośna”.

Ławrecki przestał się nią interesować; ale nie od razu mógł się uspokoić. Niekiedy ogarniała go taka tęsknota za żoną, że gotów był wszystko poświęcić, nawet... przebaczyć, byleby znów usłyszeć jej miły głos, poczuć znowu jej rękę w swojej ręce. Czas jednak płynął nie na darmo. Ławrecki nie urodził się na cierpieniku; jego zdrowa natura upomniwała się o swoje prawa. Rozjaśniło mu się wiele spraw; sam cios, który go poraził, nie wydawał mu się już niespodziewany; zrozumiał swoją żonę — bliskiego człowieka dopiero wtedy się całkiem rozumie, gdy się go straci. Znowu mógł pracować, uczyć się, choć już bez dawnego zapału; sceptycyzm, wynikający z doświadczeń życia, a przedtem jeszcze wpojony przez wychowanie, opanował do reszty jego duszę. Stał się na wszystko obojętny. Minęły cztery lata i znowu poczuł się na siłach, by wrócić do ojczyzny, zobaczyć się z rodziną. Nie zatrzymując się ani w Petersburgu, ani w Moskwie przyjechał do O***, gdzieśmy się z nim rozstali i dokąd teraz prosimy łaskawego czytelnika, by znowu nam towarzyszył.

XVII

Następnego dnia po opisanych wyżej wypadkach, około godziny dziesiątej, Ławrecki wchodził na ganek domu Kalitinów. Na jego spotkanie wyszła Liza w kapeluszu i rękawiczkach.

— Dokąd się pani wybiera? — spytał.

— Na mszę do cerkwi. Dziś niedziela.

— To pani chodzi do cerkwi?

Liza w milczeniu, ze zdumieniem popatrzyła na niego.

— Przepraszam panią — rzekł Ławrecki — nie to... nie to chciałem powiedzieć; przyszedłem się pożegnać z panią; za godzinę wyjeżdżam na wieś.

— Przecież to niedaleko stąd? — spytała Liza.

— Dwadzieścia pięć wiorst.

Na progu domu ukazała się Lena w towarzystwie pokojówki.

— Proszę o nas pamiętać — rzekła Liza i zeszła z ganku.

— I pani też niech o mnie pamięta. Proszę panią — dodał — pani idzie do cerkwi; niech się pani przy okazji pomodli i za mnie.

Liza zatrzymała się i zwróciła do niego:

— Dobrze — powiedziała patrząc mu prosto w oczy — pomodłę się i za pana. Chodźmy, Lenka.

W salonie Ławrecki zastał Marię Dmitriewnę samą. Pachniała wodą kolońską i miętą. Wedle jej słów. bolała ją głowa i noc spędziła niespokojnie. Przyjęła go jak zwykle uprzejmie, trochę roztargniona, i powoli się rozgadała.

— Prawda — spytała — że Włodzimierz Nikołaicz jest bardzo sympatycznym młodzieńcem?

— Jaki Włodzimierz Nikołaicz?

— Panszyn. Ten, co był tu wczoraj. Pan mu się strasznie podobał. Powiem panu w sekrecie, mon cher cousin, że on po prostu szaleje za moją Lizą. No, cóż! Pochodzi z dobrej rodziny, zajmuje ładne stanowisko, jest mądry, ma tytuł kamerjunkra, więc jeżeli już taka wola boska... ja ze swej strony, jako matka, będę bardzo szczęśliwa. Odpowiedzialność, oczywiście, duża; niewątpliwie od rodziców zależy szczęście dzieci, a przecież trzeba jedno stwierdzić: dotychczas, źle czy dobrze, wszędzie i wszystko ja sama załatwiałam, bez niczyjej rady ani pomocy; i wychowywałam dzieci, i uczyłam je, wszystko sama... Teraz też kazałam przysłać mademoiselle od pani Bolus... Maria Dmitriewna jęła się rozwodzić nad swoimi kłopotami, staraniami, swoimi uczuciami macierzyńskimi. Ławrecki słuchał ją w milczeniu i obracał w rękach kapelusz. Jego zimne, ciężkie spojrzenie zmieszało rozgadaną damę.

— A Liza jak się panu podoba? — spytała.

— Lizawieta Michajłowna jest uroczą osobą — odparł Ławrecki, wstał, ukłonił się i poszedł do Marfy Timofiejewny. Maria Dmitriewna popatrzyła za nim niechętnie i pomyślała: „Ale niezgrabiasz z niego, chłop. Teraz rozumiem, dlaczego żona nie mogła mu dochować wiary.”

Marfa Timofiejewna siedziała u siebie w pokoju, otoczona swoim „dworem”. Składał się on z pięciu istot, niemal jednakowo bliskich jej sercu: uczonego gila o grubej gardzieli, którego polubiła za to, że przestał gwizdać i nosić w dzióbku wodę, malutkiej, bardzo lękliwej i spokojnej psiny Roski, złego kota Matrosa, ruchliwej dziewięcioletniej dziewczynki o smągłej cerze, dużych oczach i spiczastym nosku, zwanej Szuroczką, oraz starszej już kobiety lat pięćdziesięciu pięciu, w białym czepku i krótkiej, brązowej kacabajce na ciemnej sukni. Kobieta owa nazywała się Nastasja Karpowna Ogarkow. Szuroczka była mieszczańską, zupełną sierotą. Marfa Timofiejewna wzięła ją do siebie z litości, tak jak i Roskę. Zarówno pieska, jak i dziewczynkę znalazła na ulicy: oboje byli chudzi i głodni, oboje mokli na jesiennym deszczu; o Roskę nikt się nie upomniał, a Szuroczkę nawet chętnie odstąpił Marfie Timofiejewnie jej stryj, wiecznie pijany szewc, który sam nie dojadł i nie dawał jeść bratanicy, tylko ją walił po głowie kopytem. Z Nastasją Karpowną Marfa Timofiejewna zawarła znajomość podczas pielgrzymki, w klasztorze; sama podeszła do niej w cerkwi (spodobała się Marfie Timofiejewnie dlatego, że — wedle jej słów — tak się „smakowicie” modliła), sama do niej przemówiła i zaprosiła ją do siebie na filiżankę herbaty. Od tej chwili już się z nią nie rozstawała. Nastasja Karpowna była kobietą niezwykle wesołą i łagodną, bezdzietną wdową z ubogiej szlacheckiej rodziny; głowę miała okrągłą, siwą, ręce białe i pulchne, ujmującą twarz o grubych, poczciwych rysach i nieco śmieszny, zadarty nos; uwielbiała Marfę Timofiejewnę, która też ją bardzo lubiła, chociaż sobie żartowała z jej kochliwego serca: Nastasja Karpowna czuła słabość do wszystkich młodych ludzi i mimo woli czerwieniła się jak dziewczynka słysząc najniewinniejszy żart. Cały jej kapitał wynosił tysiąc dwieście rubli w asygnatach; żyła na koszt Marfy Timofiejewny, ale na równej z nią stopie: Marfa Timofiejewna nie zniosłaby żadnej służalczości.

— O, Fiedia! — zawołała, gdy tylko zobaczyła Ławreckiego. — Wczoraj wieczorem nie widziałeś mojej rodziny; przypatrz się, podziwiał. Zebraliśmy się wszyscy na herbatę; pijemy dzisiaj

dotatkową, świąteczną herbatę. Wszystkich możesz pogłaskać, tylko Szuroczka nie pozwoli się dotknąć, a kot. cię podrapie. Dzisiaj odjeżdżasz?

— Dzisiaj — Ławrecki usiadł na niskim krzeselku. — Już się pożegnałem z Marią Dmitriewną. Widziałem również Lizawietę Michajłownę.

— Nazywaj ją Liza, kochaneczku. Jakaż to znowu dla ciebie Michajłowna! I siedź spokojnie, bo połamiesz krzeselko Szuroczki.

— Szła do cerkwi — ciągnął dalej Ławrecki. — Czy rzeczywiście jest pobożna?

— Tak, Fiedia, bardzo pobożna. Bardziej niż my oboje.

— A czy pani nie jest pobożna? — wtrąciła sepleniąc z lekka Nastasja Karpowna. — Dzisiaj na ranną mszę pani me poszła, ale później pani pójdzie.

— Właśnie że nie — sama pójdiesz; rozleniwiłam się, kochaneczko — odparła Marfa Timofiejewna — za bardzo sobie dogadzam herbatą. — Mówiła Nastasji Karpownie „ty”, chociaż traktowała ją jak równą sobie, bo przecie nie na darmo nosiła nazwisko Piestow: trzech Piestowów figuruje w synodyku Iwana Groźnego. Marfa Timofiejewna wiedziała o tym.

— Niech mi pani z łaski swojej powie — zaczął znowu Ławrecki — bo Maria Dmitriewna przed chwilą mówiła o tym... Jakże go tam zwą?... Panszynie. Co to za jegomość?

— Ależ z niej papla, żal się Boże! — mruknęła Marfa Timofiejewna — na pewno ci powiedziała pod sekretem, że się taki konkurent nawinał? Mogłaby sobie na ten temat poszeptać ze swoim popowiczem; ale nie, jej to widocznie nie wystarcza. Jeszcze się na nic, chwała Bogu, nie zanosi, a ona już miele językiem.

— Dlaczego „chwała Bogu”?

— A dlatego, że mi się ten zuch nie podoba; zresztą, z czego się tu cieszyć?

— Nie podoba się cioci?

— Przecie wszystkich nie może oczarować. Wystarczy, że na przykład Nastasja Karpowna jest w nim zakochana.

Biedna wdowa aż podskoczyła na krześle.

— Co też pani mówi, Marfo Timofiejewno, Boga się pani nie boi! — zawołała, a gwałtowny rumieniec oblał jej twarz i szyję.

— I wie, szelma — przerwała jej Marfa Timofiejewna — wie, czym ją sobie pozyskać: podarował jej tabakierkę. Fiedia, poproś Nastasję Karpownę o trochę tabaki; zobaczysz, jaka piękna tabakierka: na pokrywce jest huzar na koniu. Już się lepiej nie tłumacz, kochaneczko. Nastasja Karpowna tylko się odmachiwała rękami.

— No, a Liza — spytał Ławrecki — nie jest względem niego obojętna?

— Zdaje się, że on jej się podoba... a zresztą, Bóg ją tam wie! Cudza dusza, jak ci wiadomo, to ciemny bór, a panińska — tym bardziej. Spróbuj się na przykład połapać, co się dzieje w duszy takiej Szuroczki. Dlaczego się chowa, a nie wychodzi od czasu, kiedyś ty tu przyszedł?

Szuroczka parsknęła przytłumionym śmiechem i wybiegła z pokoju, a Ławrecki podniósł się ze swego miejsca.

— Tak — powiedział powoli — niełatwo odgadnąć duszę dziewczyny.

Zaczął się żegnać.

— Kiedyż cię znowu zobaczymy? — spytała Marfa Timofiejewna.

— Jak się zdarzy, ciotuniu; przecież to niedaleko.

— Prawda, przecież jedziesz do Wasiliewskiego. Nie chcesz mieszkać w Ławrykach — ano, twoja rzecz; ale musisz tam pojechać i odwiedzić grób matki, a przy okazji również grób babki. Tyś tam za granicą nałykał się różnej mądrości; a kto wie, może one poczują w swoich mogiłkach, że przyszedłeś do nich. Nie zapomnij też, Fiedia, zamówić mszy żałobnej za spokój duszy Głafiry Pietrowny; masz tu rubla. Weź, weź, to ja chcę noszę zamówić. Za życia jej nie lubiłam, a trzeba przyznać, że miała charakter dziewczucha. Mądra była; no, i tobie krzywdy nie zrobiła. A teraz idź z Bogiem, bo ci się sprzykrzę.

I Marfa Timofiejewna objęła swojego bratanka.

— A Liza nie wyjdzie za Panszyna, nie martw się; warta jest lepszego męża.

— Ależ ja się wcale nie martwię — odpowiedział Ławrecki i wyszedł.

XVIII

W cztery godziny później jechał do domu. Jego tarantas toczył się szybko po miękkiej polnej drodze. Już od dwóch tygodni panowała susza; w powietrzu przelewała się gęsta jak mleko szejoga i przesłaniała oddalone lasy; pachniało od niej spalenizną. Mnóstwo ciemnowych chmur o niewyraźnie zarysowanych brzegach rozpełzało się po bladobłękitnym niebie; dał suchy, dość silny wiatr, ale nie łagodził skwaru. Oparłszy głowę o poduszki i skrzyżowawszy na piersi ręce Ławrecki patrzył na rozwijające się przed nim niby wachlarz zagony pól, na powoli przemykające obok powozu wierzby, na głupie gapy i wrony zezujące z tępą podejrzliwością w stronę przejeżdżającego ekwipażu, na długie miedze zarośnięte bylicą, piołunem i dziką jarzębiną; patrzył... i ta świeża, urodzajna stepowa pustka i głusza, ta zieleń, te długie pasma wzgórz, wąwozy pełne karłowatych dębczaków, szare wioski, wątle brzoźki — ten cały dawno nie widziany krajobraz ojczysty nawiewał do jego duszy słodkie, a zarazem smutne uczucia, przygniatał piersi jakimś przyjemnym ciężarem. Myśli jego błądziły powoli; ich zarysy były tak samo mgliste i niewyraźne jak kontury owych wysokich, też jakby błądzących chmur. Przypomniawszy sobie dzieciństwo, matkę, przypomniał sobie, jak umierała, jak przyprowadzono go do niej i jak ona, przyciskając jego głowę do swojej piersi, zaczęła słabiutkim głosem lamentować nad nim, ale spojrzawszy na Głafirę Pietrowną — i umilkła. Przypomniawszy sobie ojca, najpierw rześkiego, ciągle niezadowolonego, mówiącego donośnie i rozkazująco — potem ślepego, płacznego, z niechlujnie utrzymaną siwą brodą; przypomniał sobie, jak raz pewnego przy stole ojciec, podchmieliwszy sobie i zalawszy serwetkę sosem, nagle roześmiał się i mrugając niewidzącymi oczyma, czerwieniejąc, zaczął opowiadać o swoich tryumfach; przypomniał sobie Warwarę Pawłownę — i

mimo woli przymknął powieki, jak to czyni człowiek, gdy dozna raptownego bólu, i potrząsnął głową. Potem myśli jego zatrzymały się na Lizie.

„Oto — pomyślał — nowa istota dopiero wstępuje w życie. Wspaniała dziewczyna, ale co z niej będzie? Jest bardzo ładna. Błada, świeża twarzyczka, usta i oczy takie poważne, a spojrzenie uczciwe i niewinne. Szkoda tylko, że jak się zdaje, ma w sobie za dużo egzaltacji. Pięknego wzrostu, a tak lekko stąpa i tak cicho mówi. Bardzo lubię, kiedy się nagle zatrzymuje, słucha z uwagą, bez uśmiechu, potem się namyśla i odrzuca włosy w tył. Rzeczywiście, Panszyn nie jest jej wart, ja też tak sądzę. Cóż mu jednak można zarzucić? A zresztą, dlaczego ja się tak rozmarzyłem? I ona pobiegnie tą samą ścieżką, którą biegają wszyscy. Lepiej zrobię, gdy się prześpię." I Ławrecki zamknął oczy.

Zasnąć nie mógł, ale pogrążył się w odrętwiającą podrózną drzemkę. Obrazy przeszłości po dawnemu, bez pośpiechu ukazywały się w myślach, napływały mieszając się i płacząc z innymi wyobrażeniami. Ławrecki, Bóg wie dlaczego, zaczął rozmyślać o Robercie Peelu... o dziejach Francji... o tym, jakby wygrał bitwę, gdyby był generałem; majaczyły mu się krzyki i wystrzały... Głowa ześlizgiwała się na bok, otwierał oczy... Te same pola, ten sam stepowy krajobraz; starte podkowy przyprzężnych koni migają na zmianę w kłębiącym się pyłe; koszula woźnicy, żółta, z czerwonymi ćwikłami, wydyma się od wiatru... „Piękny powrót do miejsc rodzinnych" — błysnęło Ławreckiemu w głowie; krzyknął — Jazda! — zawiął się w płaszcz i mocniej przycisnął głowę do poduszki. Tarantaszem szarpnęło: Ławrecki wyprostował się i szeroko otworzył oczy. Przed nim na wzgórkach leżała niewielka wioska; nieco dalej na prawo widać było stary szlachecki dworek z zamkniętymi okiennicami i krzywym ganeczkiem; na obszernym dziedzińcu od samej bramy rosły pokrzywy, zielone i gęste jak konopie; tuż obok dworku stał dębowy, jeszcze dość mocny spichlerz. Było to Wasiliewskie.

Woźnica skręcił ku bramie i zatrzymał konie; lokaj Ławreckiego podniósł się na koźle i jakby chcąc wyskoczyć, zawołał: hej! Rozległo się ochryple, przytłumione szczekanie, ale nie ukazał się nawet pies. Lokaj znowu chciał zeskoczyć i znowu zawołał: hej! Powtórzyło się słabe szczekanie i po chwili na dziedzińcu nie wiadomo skąd wybiegł człowiek w nankinowej bluzie, z białą jak śnieg głową; popatrzył na tarantas zasłaniając oczy od słońca, uderzył się nagle obydwoma rękami po udach, najpierw zakręcił się w miejscu, potem rzucił się, by otworzyć bramę. Tarantas wjechał na dziedzińcu szeleszcząc kołami po pokrzywach i stanął przed gankiem. Siwowłosa człowiek, widocznie nader żwawy, stał już na najniższym stopniu, szeroko i pałakowato rozstawiwszy nogi; odpiął i odrzucił pośpiesznie na bok skórzany fartuch i pomagając wysiąść dziedzicowi, pocałował go w rękę.

— Witaj, bracie, witaj — powiedział Ławrecki — zdaje się, że ci na imię Anton? Żyjesz jeszcze?

Starzec pokłonił się w milczeniu i pobiegł po klucze. Aż do jego powrotu woźnica siedział nieruchomo, pochyliwszy się na bok i spoglądając na zamknięte drzwi; a lokaj Ławreckiego jak zeskoczył, tak pozostał w malowniczej pozie, oparty jedną ręką o kozioł. Starzec przyniósł klucze i bez wszelkiej potrzeby wyginając się jak wąż, wysoko podnosząc łokcie, otworzył drzwi, odsunął się i znowu pokłonił się w pas.

„No, więc jestem w domu, wróciłem" — pomyślał Ławrecki wchodząc do malutkiej sionki, gdy tymczasem skrzypiąc i stukając jedna po drugiej otwierały się okiennice i światło dnia przenikało do opustoszałych pokojów.

Niewielki dworek, do którego przyjechał Ławrecki i gdzie dwa lata temu umarła Głafira Pietrowna, został zbudowany w ubiegłym stuleciu z mocnego sosnowego drzewa; wyglądał staro, ale mógł stać jeszcze pięćdziesiąt lat albo i więcej. Ławrecki obszedł wszystkie pokoje i ku wielkiemu przerażeniu starych, apatycznych much, pobielałych od kurzu i nieruchomo siedzących pod futrynami, kazał wszędzie pootwierać okna: od śmierci Głafiry Pietrowny nikt ich nie otwierał. Wszystko w domu zostało, jak było: w salonie białe kanapy na cienkich nóżkach, obite połyskliwą szarą tkaniną, poprzecierane i powygniatane, żywo przypominały czasy Katarzyny II; stał tam także ulubiony fotel pani domu, z wysokim i prostym oparciem, o które nie opierała się nigdy, nawet w starości. Na głównej ścianie wisiał portret pradziada, Andrzeja Ławreckiego; ciemna, o zgrzytliwym wyrazie twarz była ledwie widoczna na poczerńiałym i pomarszczonym tle; małe, złe oczy patrzyły ponuro spod obwisłych, jakby spuchniętych powiek; czarne włosy, nie pudrowane, wznosiły się jak szczotka nad wielkim, pooranym zmarszczkami czołem. Na rogu portretu wisiał wianek zakurzonych nieśmiertelników. — Sama pani, Głafira Pietrowna, raczyła upleść — zameldował Anton. W sypialni stało wąskie łóżko, osłonięte kotarą ze staroświeckiego, bardzo solidnego pasiastego materiału; stos wypłowiałych poduszek i cienka pikowana kołdra leżały na łóżku, a nad wezłowiem wisiał obraz przedstawiający wejście Matki Boskiej do świątyni, ten sam obraz, który stara panna, umierając samotnie, opuszczona przez wszystkich, ucałowała po raz ostatni, stygnącymi już wargami. Pod oknem stała toaletka, z intarsją, miedzianymi okuciami, krzywym lustrem i szerniałą pozłotą. Obok sypialni znajdowała się kapliczka domowa — małeńki pokój z gołymi ścianami i ciężkim ołtarzykiem w rogu; na podłodze leżał wytarty, zakapany woskiem dywanik; Głafira Pietrowna klęczała na nim w czasie modlitwy i biła pokłony do ziemi. Anton poszedł z lokajem Ławreckiego, by otworzyć stajnię i wozownię; zamiast niego zjawiała się staruszka, chyba w tym samym co i on wieku, opatulona chustką aż po brwi; głowa jej się trzęsła, oczy patrzyły tępo, ale wyrażały gorliwość, dawny nawyk do pokornego wypełniania obowiązków, a zarazem jakieś pełne szacunku współczucie. Podeszła, by ucałować rękę Ławreckiego, i cofnęła się ku drzwiom oczekując poleceń. Ławrecki zupełnie nie pamiętał, jak się nazywała, nie pamiętał nawet, czy ją kiedykolwiek widział; okazało się, że miała na imię Apraksja; czterdzieści lat temu Głafira Pietrowna kazała jej się wynieść ze dworu i doglądać domowego ptactwa. Staruszka mówiła niewiele — była jakby niespełna rozumu — i tylko patrzyła przypoehlebie. Oprócz tych dwojga starych ludzi i trzech pucołowatych chłopaczków w długich lnianych koszulach, prawnuków Antona, we dworku mieszkał jeszcze jednoręki chłop, wolny od obowiązków pańszczyźnianych; ten mamrotał jak cietrzew i nie był zdolny do niczego. Niewiele pożyteczniejszy był stary pies, który witał szczekaniem powrót Ławreckiego: siedział już dziesięć lat na ciężkim łańcuchu, kupionym z polecenia Głafiry Pietrowny; ledwie mógł się ruszać i dźwigać to brzemie. Obejrząwszy dom Ławrecki wyszedł do ogrodu i odczuł zadowolenie na jego widok. Ogród całkiem zarósł burzanem, łośpuchem, agrestem i malinami, ale było w nim dużo cienia, dużo starych lip, które zdumiewały swą wielkością i dziwnym układem gałęzi; były zbyt gęsto posadzone i niegdyś — chyba przed stu laty — strzyżone. Ogród kończył się niewielkim, jasnym stawem obramowanym wysoką, czerwonawą trzcina. Ślady ludzkiego życia znikają bardzo prędko; posiadłość Głafiry Pietrowny nie zdążyła zdziczeć, ale już się zdawała pogrążona w owej spokojnej drzemce, którą drzemie wszystko na ziemi, gdzie tylko nie ma ludzkiego zaraźliwego niepokoju. Fiodor Iwanycz przeszedł się też po wsi; baby patrzyły na niego z progu swoich chat, podpierając policzek na rękę; chłopci kłaniali się z daleka, dzieci kryły się, gdzie które mogło, psy czekały obojętnie. Wreszcie poczuł głód, a przybycia swojej służby i kucharza spodziewał się dopiero wieczorem; wozy z prowiantami z Ławryków jeszcze nie przyjechały — musiał się więc zwrócić do Antona. Anton zaraz się zakrzępnął około posiłku: złapał, zarznął i oskubał starą kure; Apraksja długo ją tarła i płukała, prała jak bieliznę, zanim włożyła do rondla. Kiedy w końcu kura się ugotowała, Anton nakrył do stołu, postawił przed talerzem poczerńiałą srebrną solniczkę o trzech nóżkach oraz szlifowaną karafkę z okrągłym szklanym korkiem i wąską szyjką; potem śpiewnym głosem zaanonsował, że podano do stołu, a sam stanął za krzesłem Ławreckiego, owinąwszy prawą pięść serwetką. Zalatywał od niego jakiś mocny, staroświecki zapach, podobny

do zapachu drzewa cyprysowego. Ławrecki spróbował rosołu i wyjął kurę; skóra jej była cała pokryta dużymi pęcherzykami; wzdłuż każdej nogi biegła gruba żyła, mięso czuć było drewnem i ługiem. Zjadłszy obiad Ławrecki powiedział, że napiłby się herbaty, jeżeli... — W tej chwili podam, proszę łaski pana — przerwał mu starzec i dotrzymał obietnicy. Znalazła się szczypta herbaty zawinięta w kawałek czerwonego papieru; znalazł się nieduży, ale bardzo ochoczy i hałaśliwy samowarek; znalazł się też cukier w malutkich, jakby stopniałych kostkach. Ławrecki pił herbatę z dużej filiżanki; pamiętał tę filiżankę jeszcze z lat dziecińczych: były na niej wymalowane karty do gry, pili z niej tylko goście — on też z niej pił niby gość. Przed wieczorem przybyła służba; Ławrecki nie miał ochoty spać na łóżku ciotki; kazał sobie zrobić posłanie w stołowym pokoju. Zgasiwszy świeczkę długo patrzył wokół i rozmyślał niewesoło. Doświadczał uczucia dobrze znanego każdemu, kto pierwszy raz nocuje w dawno nie zamieszkałym miejscu; zdawało mu się, że ciemność, która go otoczyła ze wszystkich stron, nie mogła się przyzwyczaić do nowego lokatora, że nawet ściany domu są zdziwione. Wreszcie westchnął, naciągnął na siebie kołdrę i zasnął. Anton czuwał dłużej niż wszyscy; przez pewien czas jeszcze szeptał z Apraksją, wdychał półgłosem, że dwa razy się przeżegnał; ani on, ani ona nie spodziewali się, że dziedzic zamieszka w Wasiliewskim, kiedy ma pod bokiem taki wspaniały majątek z doskonale urządzonego domu; nie podejrzewali nawet, że właśnie ten dom był wstrętny dla Ławreckiego, ponieważ budził w nim przykre wspomnienia. Naszeptawszy się do woli Anton wziął kij, uderzył nim parę razy w wiszącą koło spichlerza, dawno nie wydającą odgłosu deskę i tu też zaraz ułożył się do snu, niczym nie nakrywając swojej białej głowy. Noc majowa była pogodna i ciepła — więc się słodko spało staruszkowi.

XX

Następnego dnia Ławrecki wstał dość wcześnie, pogadał ze starostą, zajrzał do stodoły, kazał spuścić z łańcucha psa podwórzowego, który tylko trochę poszczeakał, ale nawet nie odszedł od swojej budy. Wróciwszy do domu Ławrecki pogrążył się w jakieś łagodne odrętwienie i trwał w nim aż do końca dnia. „Teraz dopiero znalazłem się na samym dnie rzeki” — powtórzył sobie kilka razy. Siedział przy oknie, nie ruszał się i jakby się przysłuchiwał nurtowi spokojnego życia, które go otaczało, i rzadkim dźwiękom wiejskiego odludzia. Gdzieś tam za gęstwą pokrzyw ktoś sobie śpiewa cienkim głosem, a komar jakby mu wtóruje; ów ktoś przestał śpiewać, a komar ciągle piszczy; skroś zgodne, natrętnie żalosne brzęczenie much rozlega się buczenie grubego trzmiela, który raz po raz uderza łebkiem o sufit; na drodze zapał kogut, ochryple wyciągając ostatnią nutę; zaturkotał wóz; daleko we wsi skrzypnęły wrota. „Czego?” — ozwał się nagle głos baby. „Och, mój ty skarbie” — mówi Anton do dwuletniej dziewczynki, którą niańczy na rękach. „Przynieś kwasu!” — powtarza znowu ten sam głos baby — i nagle robi się śmiertelna cisza; nic nie stuknie, nic się nie poruszy, wiatr nie zaszeleści listkiem; jaskółki śmigają cicho, jedna za drugą, tuż nad ziemią — i nieme ich przeloty budzą w duszy smutek. „Teraz dopiero jestem na dnie rzeki — myśli znowu Ławrecki. — A tutaj zawsze, o każdej porze życie jest spokojne i płynie powoli. Kto wchodzi w jego krąg, musi się poddać temu nurtowi; tu nie ma czym się wzruszać, nie ma się czego burzyć; tu tylko ten coś osiąga, kto sobie toruje ścieżkę bez pośpiechu, tak jak oracz orze bruzdę pługiem. I jaka moc kryje się w tym wszystkim, jakie zdrowie w tej nieruchomej ciszy! O, tu pod oknem, krępy łopuch wyłazi z gęstej trawy; nad nim lubystka wznosi soczystą łądygę; macierzanka jeszcze wyżej wyrzuca różowe kędziory; a tam dalej, na polach, połyskuje żyto i owies puszcza już kielki, i każdy listek na każdym drzewie, każda trawka na swej łądyżce pręży się swobodnie. Miłość do kobiety pochłonęła moje najlepsze lata — myśli w dalszym ciągu Ławrecki — niechże mnie tutaj otrzeźwi nuda, niech mnie uspokoi, przysposobi do tego, żebym umiał nie śpiesząc się czynić, co do mnie należy.” I znowu zaczyna się wsłuchiwać w ciszę, na nic nie czeka, a jednocześnie jakby wciąż się czegoś spodziewa; cisza otula go ze wszystkich stron, słońce toczy się zwolna po spokojnym, błękitnym niebie, obłoki płyną po nim, jakby wiedziały, dokąd i po co płyną. W tym samym czasie w innych miejscach na ziemi życie wrzało, tętniło, kłębiło się, a tu to

samo życie sączyło się bezgłośnie jak woda przez błotne chaszczce. Aż do wieczora Ławrecki nie mógł się oderwać od kontemplowania tego przemijającego, upływającego życia; żal za przeszłością topniał w jego duszy jak wiosenny śnieg — i dziwna rzecz: nigdy tak mocno i głęboko nie czuł w sobie miłości do ojczystego kraju.

XXI

W ciągu dwóch tygodni Fiodor Iwanycz doprowadził domek Głafiry Pietrowny do porządku, oczyścił ogród i dziedziniec. Z Ławryków przywieziono mu wygodne meble, z miasta wino, książki, czasopisma; w stajni zjawily się konie; słowem, Fiodor Iwanycz zaopatrzył się we wszystko, co mu było potrzebne, i zaczął żyć — trochę jak ziemianin, trochę jak pustelnik. Dni mijały mu jednostajnie, ale nie nudził się, chociaż nie widywał nikogo. Pilnie i uważnie zajmował się gospodarstwem, jeździł konno po okolicy, czytał. Zresztą, czytał niewiele: wolał słuchać opowiadań starego Antona, Zazwyczaj Ławrecki siadał z nabitą fajką i filizanką zimnej herbaty przy oknie, Anton zaś stawał przy drzwiach z rękami założonymi w tył — i zaczynał swoje powolne gawędy o dawnych czasach, o tych bajecznych czasach, kiedy owies i żyto sprzedawano nie na miarki, ale na duże wory, po dwie lub trzy kopiejki za wór; kiedy wszędzie, nawet pod miastem, ciągnęły się nieprzebyte lasy, dziewicze stopy. — A teraz — biadał starzec, któremu już na dziewiąty krzyżyk szło — tak wszystko wyrąbane, tak rozorane, że nie ma którejdy przejechać. — Dużo też opowiadał Anton o swojej pani, Głafirze Pietrownie: jaka była rozważna i o wszystko dbająca; jak jeden młody sąsiad smalił do niej cholewki, często ją odwiedzał — i jak ona raczyła dla niego przywdziewać swój odświętny czepek ze wstążkami masaka i żółtą suknię z lewantyny, ale jak potem, rozgniewawszy się na pana sąsiada za nieprzystojne pytanie: „Czy łaskawa pani ma odłożony jakiś kapitalik?” — kazała nie wpuszczać go do domu i jak od razu wtedy zarządziła, żeby po jej śmierci wszystko, aż do ostatniej szmatki, zostało przekazane Fiodorowi Iwanyczowi. I rzeczywiście Ławrecki znalazł cały ciotczyny skarb w najzupełniejszym porządku, nie wyłączając odświętnego czepka ze wstążkami koloru masaka i żółtej sukni z lewantyny. Starych papierów i ciekawych dokumentów, na które Ławrecki liczył, nie było, prócz jednej rozlatującej się książki, do której jego dziadek, Piotr Andrieicz, wpisywał najrozmaitsze rzeczy. Na przykład: „Świętowanie w mieście Sankt-Petersburgu pokoju zawartego z Imperium Tureckim przez Jaśnie Oświeconego księcia Aleksandra Aleksandrowicza Prozorowskiego”; albo receptę na d e k o c h t przeciwko cierpieniom płuc z następującą uwagą: „Niniejszy przepis otrzymała generałowa Praskowia Fiodorowna Sałtykowa od protoprezbitera cerkwi Św. Trójcy, Fiodora Awksientiewicza”; albo nowinę polityczną tego rodzaju: „O francuskich tygrysach jakoś wieści ucichły” — i tuż obok: „W «Gazecie Moskiewskiej podano, że umarł premier-major Michał Pietrowicz Kołyczow. Czy to aby nie syn Piotra Wasiliewicza?” Ławrecki znalazł także kilka starych kalendarzy i senników oraz tajemnicze dzieło pana Ambodika; wiele wspomnień obudziły w nim dawno zapomniane, ale znajome Symbole i emblematy. W toaletce Głafiry Pietrowny Ławrecki znalazł niewielki pakiet, związany czarną wstążeczką, zapieczętowany czarnym lakiem i wsunięty na samo dno szufladki. W pakiecie znajdował się pastelowy portret jego ojca w młodości, z miękkimi kędziorami rozsypanymi na czole, z dużymi, marzącymi oczyma i na pół rozchylonymi ustami — i prawie zatarty wizerunek bladej kobiety w białej sukni, z białą różą w ręku — jego matki. Własnego portretu Głafira Pietrowna nigdy nie pozwalała zrobić. — Ja, proszę jaśnie pana — mawiał do Ławreckiego Anton — choć nie miał pomieszkania w pańskim domu, czyli we dworze, ale pańskiego pradziadunia Andrzeja Afanasicza pamiętam — a jakże: kiedy umarł, akurat mi się zaczął osiemnasty roczek. Raz się na niego napatoczyłem w ogrodzie — aż mi się kolana zatrzęsły ze strachu; ale on nic, tylko się spytał, jak się nazywam, i posłał mnie na pokoje po chustkę do nosa. Pan był — co tu gadać — i nikogo nad sobą nie uznawał. Bo trzeba jaśnie panu wiedzieć, że pana pradziad miał taki cudowny szkaplerz, który mu podarował jeden mnich z góry Atos. I ten mnich tak mu powiedział: „Daruję ci to, bojarzynie, za twoją gościnność; trzymaj zawsze przy sobie — i nie bój się żadnego sądu.” A przecie wtedy, proszę jaśnie pana, wiadomo,

jakie były czasy... co się panu zachciało, to robił. Jeśli się nawet zdarzyło, że ktoś ze szlachty umyślił mu się przeciwieć, to Andrzej Afanasicz tylko popatrzy na niego i powie: „Za krótkie masz ręce” — takie już miał ulubione powiedzenie. I świętej pamięci pradziadek jaśnie pana mieszkał w niedużym drewnianym domku — a jaki majątek po sobie zostawił, ile srebra, ile różności! Wszystkie piwnice były pozapychane aż do sufitu. Dobry był z niego gospodarz. Ta karafka, co się tak panu spodobała — jego była; z niej zawsze pił wódkę. A na przykład dziadunio pański, Piotr Andreicz, dwór wybudował sobie murowany, a majątku się nie dorobił. Wszystko, co miał — zmarnował; żył gorzej od swojego ojca, na żadne przyjemności sobie nie pozwalał — a pieniądze wszystkie roztrwonil i nie ma go za co wspomnieć dobrym słowem. Nawet jednej łyżki srebrnej po nim nie zostało. Dobrze jeszcze, że Głafira Pietrowna poratowała nas tym i owym.

— A czy to prawda — przerwał mu Ławrecki — że ją nazywano „starą trajkotką”?

— Ale kto tak nazywał! — kręcił głową z niezadowoleniem Anton.

— A jak tam, proszę jaśnie pana — odważył się spytać pewnego razu starzec — jak nasza pani młoda, gdzie teraz raczy przebywać?

— Rozwiodłem się z żoną — wyrzekł z trudem Ławrecki — proszę cię, żebyś mnie o nią nie pytał.

— Słucham jaśnie pana — odparł smutnym głosem starzec.

Po upływie trzech tygodni Ławrecki pojechał konno do O***, do Kalitinów i spędził u nich cały wieczór. Był tam również Lemm, który od razu przypadł do serca Ławreckiemu. Chociaż Ławrecki z łaski swego ojca nie grał na żadnym instrumencie, jednak pasjami lubił muzykę poważną, klasyczną. Panszyna tego wieczoru nie było u Kalitinów. Gubernator wysłał go gdzieś za miasto. Liza grała sama i bardzo udatnie. Lemm się ożywił, rozruszał, zwinął kawałek papieru w rurkę i dyrygował. Maria Dmitriewna śmiała się najpierw, patrząc na niego, a potem poszła spać; twierdziła, że Beethoven zanadto rozstraja jej nerwy. O północy Ławrecki odprowadził Lemma do jego mieszkania i przesiedział u niego do trzeciej rano. Lemm dużo mówił; zgarbione zazwyczaj plecy wyprostowały mu się, a oczy rozszerzyły i zabłysły; nawet włosy się podniosły nad czołem. Już tak dawno nikt mu nie współczuł, a Ławrecki wyraźnie się nim interesował, troskliwie i uważnie go wypytywał. Wzruszyło to starca; pokazał gościowi swoje kompozycje, zagrał i nawet odśpiewał martwym głosem niektóre ich fragmenty, między innymi całą balladę Schillera: Fridolin, do której dorobił muzykę. Ławrecki pochwalił go, prosił o powtórzenie pewnych partii i odjeżdżając zaprosił go do siebie na kilka dni. Lemm, który odprowadzał gościa do furtki, od razu się zgodził i mocno uścisnął mu rękę, ale gdy został sam na chłodnym, wilgotnym powietrzu, przy słabym świetle dopiero co zapalającej się zorzy, spojrzął za siebie, zmrużył oczy, skurczył się i z miną winowajcy podreptał do swego pokoiku. — Ich bin wohl nicht klug (straciłem rozum) — wymamrotał kładąc się do krótkiego i twardego łóżka. Kiedy w parę dni później Ławrecki przyjechał po niego kolaską, próbował udać chorego; ale Fiodor Iwanycz wszedł do niego do pokoju i zdołał go namówić. Najsilniej podziałała na Lemma ta okoliczność, że Ławrecki specjalnie dla niego kazał z miasta przywieźć do siebie na wieś fortepian. Udali się obydwaj do Kalitinów i spędzili u nich wieczór, ale już nie tak przyjemnie jak ostatnim razem. Był tam Panszyn, który dużo opowiadał o swojej podróży, bardzo zabawnie naśladował i przedrzeźniał znajomych obywateli ziemskich. Ławrecki śmiał się, Lemm jednak nie wychodził ze swego kąta, milczał, poruszał się cicho jak pajak, patrzył jakimś tępy, ponurym wzrokiem i ożywił się dopiero wtedy, kiedy Ławrecki zaczął się żegnać. Nawet siedząc już w kolasce starzec wciąż kurczył się i boczył; ale ciepłe, spokojne powietrze, lekki wiaterek, delikatne cienie, zapach trawy i brzozowych pączków, łagodna poświata spływająca z rozgwieżdżonego, bezksiężycowego nieba, zgodny tętent

i parskanie koni, słowem — wszystkie uroki podróży, wiosny, nocy przeniknęły do duszy nieszczęśliwego Niemca i wreszcie sam pierwszy odezwał się do Ławreckiego.

XXII

Zaczął mówić o muzyce, o Lizie, potem znów o muzyce. Kiedy mówił o Lizie, wymawiał słowa jak gdyby wolniej. Ławrecki sprowadził rozmowę na jego utwory i pół żartem zaproponował, że mu napisze libretto.

— Hm, libretto! — odparł Lemm. — Nie, to nie dla mnie; już nie stać mnie na taką żywą grę wyobraźni, która jest konieczna do skomponowania opery; straciłem już siły... Gdybym jednak mógł jeszcze coś zrobić — zadowolniłbym się romanssem. Oczywiście, żeby słowa były piękne...

Zamilkł i dłuższą chwilę siedział nieruchomo, z oczyma wzniesionymi ku niebu.

— Na przykład — wyrzekł wreszcie — coś w tym rodzaju: Wy, gwiazdy, o wy, jasne gwiazdy!...

Ławrecki z lekka odwrócił się do niego i zaczął mu się przypatrywać.

— Wy, gwiazdy, jasne gwiazdy — powtórzył Lemm. — Spoglądacie jednak na ludzi sprawiedliwych i na grzeszników... ale tylko ci, co mają niewinne serca — lub coś w tym rodzaju... rozumieją was, a raczej — nie: kochają was. Właściwie nie jestem poetą — gdzie mi tam do poezji! Wyobrażam sobie jednak coś w tym rodzaju, coś takiego wzniosłego.

Lemm zsunął kapelusz na tył głowy; w przejrzystym zmroku jasnej nocy twarz jego wydawała się bledsza niż zazwyczaj i młodszą.

— Pan również — ciągnął dalej coraz cichszym głosem — pan również wie, kto kocha, kto umie kochać, bo pan ma czystą duszę, dlatego może pan pocieszać innych... Nie, źle się wyrażam! Nie jestem poetą — dodał po chwili — ale czuję właśnie coś w tym rodzaju...

— Żałuję bardzo, że i ja nie jestem poetą — zauważył Ławrecki.

— Bezpłodne marzenia — odparł Lemm i wcisnął się w kąć kolaski. Przymknął oczy, jakby miał zamiar zasnąć.

Minęło kilka sekund... Ławrecki zaczął nasłuchiwać...

— Gwiazdy, jasne gwiazdy, miłość — szeptał starzec. „Miłość” — powtórzył w duchu Ławrecki i zamyślił się; ogarnął go wielki smutek.

— Ułożył pan piękną muzykę do Fridolina, Krzysztofie Fiodoryczu — powiedział głośno. — A jak pan sądzi, czy Fridolin, kiedy hrabia przyprowadził go do swojej żony, zaraz się stał jej kochankiem, co?

— Pan tak przypuszcza — odparł Lemm — dlatego że... zapewne, doświadczenie... — urwał nagle i odwrócił się, zakłopotany. Ławrecki roześmiał się z przymusem, też się odwrócił i zaczął patrzeć na drogę.

Gwiazdy już zaczynały blednąć i niebo szarzało, kiedy bryczka zajęchała przed ganek dworku w Wasiliewskim. Ławrecki zaprowadził gościa do wyznaczonego dla niego pokoju, wrócił do

gabinetu i usiadł przy oknie. W ogrodzie słowik śpiewał swą ostatnią, przedranną pieśń. Ławrecki przypomniał sobie, że u Kalitinów też śpiewał słowik, przypomniał sobie również, jak na pierwszy dźwięk słowiczej pieśni Liza zwróciła oczy w stronę ciemnego okna. Zaczął myśleć o niej i wszystko się w nim uciszyło. „Jasna dziewczęca dusza” rzekł sam do siebie półgłosem. „Jasne gwiazdy” — dodał z uśmiechem i spokojnie położył się spać.

A Lemm długo jeszcze siedział na łóżku z zeszytem do nut na kolanach. Zdawało mu się, że go zaraz nawiedzi jakaś niezwykła, cudowna melodia; już płonął wzruszeniem, czuł słodką omdłałość, jakby słyszał zbliżającą się muzykę... ale się jej nie doczekał...

— Nie jestem ani poetą, ani muzykiem! — wyszeptał wreszcie...

I jego zmęczona głowa ciężko opadła na poduszkę.

XXIII

Następnego dnia gospodarz i gość pili herbatę w ogrodzie pod starą lipą.

— Maestro! — powiedział w trakcie rozmowy Ławrecki — będzie pan musiał niedługo skomponować uroczystą kantatę.

— Z jakiej okazji?

— Z okazji ślubu pana Panszyna z Lizą. Czy pan zauważył, jak jej wczoraj asystował? Zdaje się, że doszli już ze sobą do porozumienia.

— To się nie stanie! — zawołał Lemm.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to jest niemożliwe. Zresztą — dodał po chwili — na świecie wszystko jest możliwe. Zwłaszcza tutaj, w Rosji.

— O Rosji na razie nie mówmy; cóż złego jednak widzi pan w tym małżeństwie?

— Wszystko złe, wszystko. Lizawieta Michajłowna jest osobą prawą, poważnie myślącą, o wzniosłej duszy — a on... on jest dy-le-tan-tem i niczym więcej.

— Ale przecież ona go kocha? Lemm podniósł się z ławki.

— Nie, ona go nie kocha, bo ma tak niewinne serce, że sama nie wie, co to znaczy kochać. Madame von Kalitin mówi jej, że on jest dobrym młodym człowiekiem, a ona słucha madame von Kalitin, dlatego że sama jest jeszcze zupełnym dzieckiem, chociaż ma dziewiętnaście lat: rano się modli, wieczorem się modli — i pod tym względem zasługuje na pochwałę; ale ona go nie kocha. Ona może kochać tylko to, co piękne, a on wcale nie jest piękny, bo nie ma pięknej duszy.

Lemm wygłosił swoją przemowę płynnie i z zapałem, chodząc małymi krokami tam i z powrotem koło stolika i wodząc wzrokiem po ziemi.

— Najdroższy maestro! — zawołał nagle Ławrecki — zdaje mi się, że pan sam jest zakochany w mojej kuzynce.

Lemm zatrzymał się raptownie.

— Bardzo pana proszę — zaczął mówić niepewnym głosem — niech pan tak nie żartuje ze mnie. Nie jestem szaleńcem: patrzę w ciemną mogiłę, a nie w różową przyszłość.

Ławreckiemu zrobiło się żal starca; przeprosił go. Po herbacie Lemm zagrał mu swoją kantatę, a przy obiedzie, zachęcony przez Ławreckiego, znów się rozgadał o Lizie. Ławrecki słuchał go z uwagą i ciekawością.

— Jak pan myśli, Krzysztofie Fiodoryczu — powiedział wreszcie — ponieważ doprowadziliśmy tu wszystko do porządku, a cały ogród w pełnym rozkwicie, czy nie należałoby zaprosić Lizy razem z jej matką i moją starą ciotką — co? Czy panu by to sprawiło przyjemność?

Lemm schylił głowę nad talerzem.

— Niech pan zaprosi — wyrzekł ledwo dosłyszalnie.

— A Panszyna nie trzeba zapraszać?

— Nie trzeba — odparł starzec z prawie dzieciennym uśmiechem.

W dwa dni później Fiodor Iwanycz pojechał do miasta do Kalitinów.

XXIV

Zastał wszystkich w domu, ale nie od razu wyjawiał im swój zamiar; chciał najpierw porozmawiać sam na sam z Lizą. Pomógł mu przypadek: zostawiono ich we dwoje w salonie. Rozmawiali z ożywieniem; Liza zdążyła się już do niego przyzwyczaić — zresztą w ogóle nie stroniła od nikogo. On słuchał jej, patrzył na nią, w duchu powtarzał słowa Lemma i przyznawał mu rację. Bywa tak niekiedy, że dwoje ludzi, którzy już się znają, ale nie są bliscy sobie, zbliża się do siebie nagle i szybko w ciągu kilku chwil, a świadomość tego zbliżenia natychmiast wyraża się w ich spojrzeniach, w ich przyjaznych, łagodnych uśmiechach, nawet w ich gestach. To właśnie wydarzyło się z Ławreckim i Lizą. „A więc on jest taki” — pomyślała Liza patrząc życzliwie na Ławreckiego. „A więc ona jest taka” — pomyślał Ławrecki. I dlatego nie bardzo się zdziwił, kiedy Liza, co prawda z pewnym wahaniem, oznajmiła mu, że dawno jej leży na sercu pewna sprawa, ale boi mu się o niej powiedzieć, żeby go nie rozgniewać.

— Niech pani mówi bez obawy — powiedział i zatrzymał się przed nią.

Liza podniosła na niego swoje jasne oczy.

— Pan jest taki dobry — zaczęła i w tej samej chwili pomyślała: „Tak, on rzeczywiście jest dobry...” — niech pan mi wybaczy, nie powinnam się ośmielić mówić o tym z panem... ale jak pan mógł... dlaczego rozszedł się pan ze swoją żoną?

Ławrecki drgnął, popatrzył na Lizę i usiadł koło niej.

Moje dziecko — odrzekł — proszą nie dotykać tej rany. Pani ma ręce delikatne, a mimo to będzie mnie bolało.

— Wiem — ciągnęła dalej Liza jakby nie dosłyszawszy jego słów — że pańska żona zawiniła wobec pana; nie chcę jej usprawiedliwiać, ale jak można rozłączać to, co Bóg złączył?

— Mamy pod tym względem różne zapatrywania, Lizawieto Michajłowno — oświadczył Ławrecki dość szorstko — nie rozumiemy się wzajemnie.

Liza zbladła; zadrżała na całym ciele, ale nie przestała mówić.

— Pan powinien przebaczyć — wyrzekła cicho — jeśli pan chce, żeby i panu przebaczone.

— Przebaczyć! — podchwycił Ławrecki. — Musi pani najpierw wiedzieć, za kim się pani ujmuje! Przebaczyć tej kobiecie, przyjąć ją znowu do swojego domu, to stworzenie bez duszy i bez serca! A kto pani powiedział, że ona chce do mnie wrócić? Ależ ona jest całkiem zadowolona ze swojej sytuacji... O czym tu zresztą mówić! Pani nie powinna nawet wymawiać jej imienia. Pani jest zbyt czysta, pani nawet nie może zrozumieć takiej istoty.

— Po co ją obrażać? — powiedziała z wysiłkiem Liza. Drżenie jej rąk stawało się coraz widoczniejsze. — Pan sam ją porzucił, Fiodorze Iwanyczu.

— Ale przecież pani tłumaczę — odparł z mimowolnym wybuchem zniecierpliwienia Ławrecki — że pani nawet nie wie, co to za osoba!

— Więc dlaczego się pan z nią ożenił? — wyszeptała Liza i spuściła oczy.

Ławrecki szybko wstał z krzesła.

— Dlaczego się ożeniłem? Byłem wtedy młody i niedoświadczony; oszukałem się, dałem się wziąć na lep uroczej powierzchowności. Nie znałem kobiet, nic nie znałem. Niech Bóg pozwoli pani zawrzeć bardziej szczęśliwy związek małżeński! Ale niech mi pani wierzy: za nic nie można ręczyć.

— Ja mogę być tak samo nieszczęśliwa — rzekła Liza (głos jej zaczął się łamać) — ale wtedy trzeba będzie się poddać losowi... Nie umiem tego wypowiedzieć, ale jeśli się nie będziemy poddawali...

Ławrecki zacisnął pięści i tupnął nogą.

— Przepraszam pana, niech pan się nie gniewa — odezwała się pośpiesznie Liza.

W tej samej chwili weszła Maria Dmitriewna. Liza wstała i chciała odejść.

— Proszę, zostać jeszcze chwilkę — zawołał Ławrecki. — Mam do obydwóch pań wielką prośbę: żeby panie zechciały mnie odwiedzić w mojej nowej siedzibie. Sprowadziłem fortepian; Lemm jest obecnie moim gościem; bzy teraz kwitną; orzeźwią się panie wiejskim powietrzem i będą mogły wrócić tego samego dnia. Czy panie się zgadzają?

Liza spojrzała na matkę, a Maria Dmitriewna przybrała zboląły wyraz twarzy. Ale Ławrecki nie dał jej otworzyć ust i od razu ucałował jej ręce. Maria Dmitriewna, zawsze czuła na wszelkie hołdy, nie spodziewając się podobnej uprzejmości ze strony „niezgrabiasza”, rozczuliła się i wyraziła zgodę. Podczas gdy się zastanawiała, jaki wybrać termin podróży, Ławrecki podszedł do Lizy i wciąż jeszcze wzburzony, szepnął jej ukradkiem:

— Dziękuję, pani jest bardzo dobra, to ja zawiniłem...

Błada twarzyczka Lizy zarumieniła się radosnym i wstydliwym uśmiechem; jej oczy też się uśmiechnęły — aż do tej chwili miała wyrzuty sumienia, że go uraziła swoimi pytaniami.

— Czy Włodzimierz Nikołaicz może z nami pojechać? — spytała Maria Dmitriewna.

— Oczywiście — odparł Ławrecki. — Może jednak byłoby lepiej pozostać wyłącznie w kółku rodzinnym?

— Przecież, zdaje się... — zaczęła Maria Dmitriewna... — Zresztą, jak pan woli — dodała.

Postanowiono zabrać Lenę i Szuroczkę. Marfa Timofiejewna odmówiła udziału w przejażdżce.

— Za trudno mi już, mój drogi — powiedziała — tłuc stare kości po świecie; nocować u ciebie też pewno nie ma gdzie, a w dodatku nie mogę zasnąć w cudzym łóżku. Niech młodzież jedzie.

Ławreckiemu nie udało się więcej porozmawiać z Lizą na osobności; ale tak spoglądał na nią, że było jej i przyjemnie, i trochę wstyd, i trochę żal. Żegnając się z nią, uściśnął mocno jej rękę. Zostawszy sama Liza głęboko się zamyśliła.

XXV

Kiedy Ławrecki wrócił do domu, na progu salonu przywitał go człowiek wysokiego wzrostu i nader szczupły, w znoszonym niebieskim surducie, o pełnej zmarszczek, ale żywej twarzy, z rozwichrzonymi siwymi bokobrodami, z długim, prostym nosem i niedużymi, zaczerwienionymi oczyma. Był to Michalewicz, jego dawny kolega z uniwersytetu. Ławrecki nie poznał go z początku, ale serdecznie uściśnął, gdy tylko tamten wymienił swoje nazwisko. Nie widzieli się od czasów studenckich. Rozległy się okrzyki, zapytania; wypłynęły na świat boży dawno zamarłe wspomnienia. Pałac jedną fajkę po drugiej, popijając herbatę i wymachując długimi rękami Michalewicz opowiedział Ławreckiemu swoje przygody; nie było w nich nic wesołego, sukcesami w swoich przedsięwzięciach nie mógł się pochwalić; opowiadając śmiał się bez ustanku ochryplym, nerwowym śmiechem. Miesiąc temu dostał posadę w prywatnym kantorze bogatego dzierżawcy podatków państwowych, w miejscowości oddalonej o trzysta wiorst od miasta O***, i dowiedziawszy się o powrocie Ławreckiego z zagranicy, skrzył z drogi, żeby się zobaczyć ze starym przyjacielem. Michalewicz mówił tak samo porywczo jak w młodości, hałasował i unosił się po dawnemu. Ławrecki wspomniął coś o swoich sprawach osobistych, ale Michalewicz przerwał mu wymamrotawszy pośpiesznie: — Słyszałem, bracie, słyszałem — kto się tego mógł spodziewać? — i od razu skierował rozmowę na tematy ogólne. — Jutro, mój kochany — powiedział — powinienem jechać dalej; wybacz więc, jeśli dzisiaj zagadamy się do późnej nocy. Chciałbym się koniecznie dowiedzieć, jakie masz poglądy, przekonania, kim się stałeś, czego cię nauczyło życie? (Michalewicz używał jeszcze frazeologii lat trzydziestych.) Co się tyczy mnie, zmieniłem się pod wieloma względami, bracie: „fale żywota spadły na moją pierś” — nie pamiętam, czyje to są słowa — chociaż w zasadzie, w rzeczach najistotniejszych, pozostałem taki sam, jak byłem. Po dawnemu cenię najwięcej dobro i prawdę; nie tylko cenię, wierzę w te ideały — tak, wierzę, wierzę. Słuchaj, wiesz przecież, że pisuję wiersze; nie ma w nich poezji, ale jest prawda. Posłuchaj mojego ostatniego utworu; wyraziłem w nim najgłębszą treść mojej duszy. Posłuchaj. — Michalewicz zaczął recytować wiersz, który był dość długi i kończył się następującą zwrotką:

Nową wiarą serce napełniłem I znów duszą jak dziecko się stałem: I spaliłem wszystko, co wielbiłem, Uwielbiłem wszystko, co spalałem.

Wymawiając ostatnie słowa wiersza Michalewicz o mało nie zapłakał; lekki skurcz — oznaka silnego wzruszenia — przebiegi po jego szerokich wargach; jego nieładna twarz rozjaśniła się. Ławrecki słuchał go, słuchał... obudził się w nim duch przekory: drażnił go wybuchowy, nieustannie wrzący entuzjazm moskiewskiego studenta. Nie upłynęło pół godziny, a już wywiązała się między nimi zacięta dyskusja, jedna z tych nieskończonych dyskusji, do których zdolni są tylko Rosjanie. Od razu, po wieloletniej rozłące spędzonej w dwóch różnych środowiskach, nie rozumiejąc dokładnie ani cudzych, ani nawet własnych myśli, przyczepiając się do słów i replikując tylko słowami, wszczęli dyskusję o rzeczach najbardziej oderwanych — i spierali się tak, jakby chodziło o życie lub śmierć; darli się i pieklili tak, że wszystkich w domu postawili na nogi. a biedny Lemm, który zaraz po przyjeździe Michalewicza zamknął się w swoim pokoju, nie mógł wyjść ze zdumienia i zaczął się nawet czegoś niejasno obawiać.

— A więc cóż to znaczy? Jesteś rozczarowany? — krzyczał Michalewicz o pierwszej w nocy.

— Czy tacy bywają ludzie rozczarowani? — replikował Ławrecki. — Tamci są zazwyczaj bladzi i chorzy, a ja, jeśli chcesz, mogę cię podnieść jedną ręką.

— No, to w takim razie jesteś skeptyk, a to jeszcze gorzej (wymowa Michalewicza zatracąca jego ojczyznę, Małorosją). A z jakiego tytułu masz być sceptykiem? Dajmy na to, że ci się nie poszczęściło w życiu; nic w tym wypadku nie zawiniłeś, urodziłeś się z duszą wrażliwą, łaknącą miłości, a tymczasem wbrew twojej woli zniechęcano cię do kobiet; nic dziwnego, że pierwsza kobieta, z którą się zetknąłeś, oszukała cię haniebnie.

— Ta sama kobieta oszukała również ciebie — zauważył ponuro Ławrecki.

— Dajmy na to, dajmy na to; byłem tylko narzędziem losu — tfu, co ja plotę — o żadnym losie nie może być mowy; stare przyzwyczajenie do używania wytartych frazesów. I czegoż to wszystko dowodzi?

— Dowodzi tego, że mi już w dzieciństwie wypaczono charakter.

— Więc go sobie wyprostuj! Przecie jesteś człowiekiem, jesteś mężczyzną; energii ci nie brakuje! Ale jakkolwiekby było, czy można, czy się godzi — osobiste, że tak powiem, fakty uogólniać i czynić z nich powszechnie obowiązujące prawo, niewzruszoną regułę?

— Jaką regułę? — przerwał mu Ławrecki. — Nie uznaję żadnych...

— Nieprawda, sam sobie przeczysz, sam wymyśliłeś taką regułę — przerwał mu z kolei Michalewicz.

— Jesteś egoistą, tyle ci powiem! — wołał grzmiącym głosem w godzinę później — zawsze dążyłeś tylko do zaspokojenia własnych przyjemności, chciałeś osiągnąć szczęście w życiu, chciałeś żyć tylko dla siebie.

— Jakież to sobie chciałem zapewnić przyjemności?

— I wszystko cię zawiodło; wszystko runęło pod twoimi nogami.

— Pytam, o jakich mówisz przyjemnościach?

— I musiało runąć. Albowiem szukałeś oparcia tam, gdzie go nie można znaleźć; albowiem swój dom budowałeś na lotnym piasku...

— Mów jaśniej, bez alegorii, albowiem wcale cię nie rozumiem.

— Albowiem — proszę bardzo, możesz się śmiać — albowiem nie masz wiary, nie masz ciepła serdecznego; posiadasz tylko rozum, i to lichy rozum... jesteś po prostu nędznym, zacofanym wolterianinem — nic więcej!

— Kto, ja jestem wolterianinem?

— Tak, takim samym jak twój ojciec, i sam tego nawet nie podejrzewasz.

— Po tym wszystkim — zawołał Ławrecki — mam prawo powiedzieć, że jesteś fanatykiem!

— Niestety! — odparł ze skruchą Michalewicz. — Na nieszczęście niczym sobie nie zasłużyłem na tak zaszczytne miano...

— Teraz już wiem, jak cię nazwać — krzyczał tenże sam Michalewicz o trzeciej w nocy — nie jesteś człowiekiem rozczarowanym, nie jesteś sceptykiem, nie jesteś wolterianinem, jesteś — próżniakiem, i to złośliwym próżniakiem, próżniakiem świadomym, nie naiwnym. Naiwni próżniacy leżą sobie na piecu i nic nie robią, dlatego że nie umieją nic robić; tamci nawet nie są zdolni do myślenia, a ty jesteś człowiekiem myślącym — i leżysz; mógłbyś coś robić — a nic nie robisz; leżysz do góry brzuchem i mówisz: tak powinno być, będę się wylegiwał, bo wszystko, cokolwiek ludzie robią — wszystko jest jedną wielką bzdurą i do niczego nie prowadzi.

— Skąd ci to strześliło do głowy, że ja się wyleguję? — pytał Ławrecki. — I dlaczego posądzasz mię o takie myśli?

— A w dodatku, zarówno ty, jak i wszyscy tobie podobni — ciągnął dalej niezmiernie Michalewicz — jesteście próżniakami odczytanymi. Znacie słabe miejsca Niemców, wiecie, co jest złego u Anglików i u Francuzów — i tą ubożuchną wiedzą wspieracie wasze istnienia, usprawiedliwiacie wasze haniebne lenistwo, waszą sromotną bezczynność. Niejeden z was nawet się chwali tym, że jest taki mądry, że sobie leży, kiedy różni głupcy krzątają się i pracują. Ba! Są nawet tacy panowie — zresztą, nie mam w tym wypadku ciebie na myśli — którzy całe życie spędzają w jakichś oparach nudy, przywykają do niej, tkwią w niej... jak grzyb w śmietanie — podchwycił Michalewicz i sam się roześmiał ze swego porównania. — O, te opary nudy — to zguba Rosjan! Taki obrzydliwy leniuch przez całe życie tylko się nosi z zamiarem pracowania...

— Czemu tak, do licha, pomstujesz? — ryczał z kolei Ławrecki. — Pracować... działać... Powiedz lepiej, co robić, a nie pomstuj, Demostenesie z Połtawy!

— Patrzcie no, co za wymagania! Tego ci, bratku, nie powiem; to każdy sam powinien wiedzieć — odparł z ironią Demostenes. — Ziemianin! Szlachcic! I nie wie, co ma robić! Nie masz w sobie ani krzty wiary, inaczej wiedziałbyś; a tam gdzie nie ma wiary, nie ma i objawienia.

— Dajże mi przynajmniej odpocząć, do diabła! Dajże mi się rozejrzeć — błagał Ławrecki.

— Ani minuty odpoczynku, ani sekundy! — wołał z rozkazującym gestem Michalewicz. — Ani jednej sekundy! Śmierć nie czeka i życie też nie powinno czekać.

— Kiedy i gdzie ludzie się tak rozwałkonili? — krzyczał w dalszym ciągu o czwartej rano, ale już nieco zachrypniętym głosem. — Właśnie teraz! U nas! W Rosji! Kiedy na każdej poszczególnej jednostce ciąży obowiązek, ciąży wielka odpowiedzialność wobec Boga, wobec narodu, wobec siebie samego! My śpimy, a czas ucieka; my śpimy...

— Pozwól, że zrobię małe sprostowanie — przerwał mu Ławrecki — obecnie wcale nie śpimy: raczej nie dajemy spać innym. Drzemy gardła jak koguty. Posłuchaj, zdaje mi się, że już pieją po raz trzeci.

Ten dowcip rozśmieszył i ułagodził Michalewicza. — Do jutra — powiedział z uśmiechem i wsunął fajkę do kapciucha. — Do jutra — powtórzył Ławrecki. Przyjaciele rozmawiali jednak jeszcze przeszło godzinę... Zresztą głosy ich brzmiały już całkiem spokojnie, a słowa były ciche, smutne i pełne serdeczności.

Michalewicz wyjechał następnego dnia, chociaż Ławrecki usilnie go zatrzymywał. Nie mógł go namówić, żeby został, ale się z nim nagadał do syta. Okazało się, że Michalewicz nie miał grosza przy duszy. Ławrecki już poprzedniego dnia z ubolewaniem zauważył w nim wszelkie cechy i nawyki zastarzałej biedy: buty miał zniszczone, z tyłu na surducie brakowało jednego guzika, jego ręce nie wiedziały, co to rękawiczki, we włosach tkwiły ździebełka puchu; po przyjeździe nawet nie pomyślał o tym, żeby się umyć, a podczas kolacji jadł jak rekin, rozrywając rękami mięso i z trzaskiem gryząc kości mocnymi, czarnymi zębami. Okazało się także, że dotychczasową pracą niczego się nie dorobił, że całą nadzieję pokłada w dzierżawcy, który go przyjął wyłącznie po to, by mieć w swoim kantorze „człowieka wykształconego”. Przy tym wszystkim jednak Michalewicz nie tracił otuchy, żył sobie jak poeta, cynik, idealista, szczerze się martwiąc o losy ludzkości, o własne powołanie — i mało troszcząc się o to, żeby nie umrzeć z głodu. Michalewicz nie był żonaty, ale kochał się raz po raz i pisał wiersze do wszystkich swoich bogdanek; ze szczególnym zapalem opiewał wdzięki pewnej tajemniczej, czarnowłosej dziewczycy... Stugębna fama co prawda głosiła, że tą „dziewicą” była zwyczajna Żydówka, dobrze skądinąd znana wielu oficerom kawalerii... ale gdy się tak głębiej zastanowić — czyż to nie wszystko jedno?

Z Lemmem Michalewicz się nie zaprzyjaźnił: lubiącego spokój, łagodnego Niemca napełniała lękiem jego hałaśliwość i gadatliwość, jego rubaszne maniery... Nieborak z daleka już poznaje innego nieboraka, ale na starość rzadko się do niego zbliża — i nic w tym dziwnego: cóż mu może ofiarować, jeśli sam stracił wszystko — nawet nadzieję?

Przed odjazdem Michalewicz długo jeszcze rozmawiał z Ławreckim; przepowiadał mu katastrofę życiową, jeśli się nie ocknie, błagał go, żeby się na serio zajął sprawami bytu swoich chłopów; stawiał siebie za przykład mówiąc, że sam się oczyścił w ogniu nieszczęść — i zaraz potem kilkakrotnie nazwał się człowiekiem szczęśliwym, porównał siebie do ptaka w niebiosach, do lilii w dolinie...

— Do czarnej lilii, w każdym razie — zauważył Ławrecki.

— Nie rób z siebie, bracie, arystokraty — odparł dobrodusznie Michalewicz — lepiej dziękuj Bogu, że w twoich żyłach płynie uczciwa plebejska krew. Ale widzę, że ci teraz potrzebna jakaś szlachetna, nieziemska istota, która by cię wyrwała z tej apatii.

— Dziękuję ci, mój drogi — powiedział Ławrecki — mam już dosyć tych nieziemskich istot.

— Ach, ty cynyku! — zawołał Michalewicz.

— Cyniku — poprawił go Ławrecki.

— Właśnie: cynyku — powtórzył niezmiészany bynajmniej Michalewicz.

Nawet siedząc w tarantasie, dokąd zanesiono jego płaski, żółty, zdumiewająco lekki kuferek, jeszcze ciągnął dalej swoje wywody; opatulony w jakiś hiszpański płaszcz z wyrudziałym kołnierzem i zapinkami w kształcie lwich łap — jeszcze rozwijał swoje poglądy na losy Rosji i śniadą ręką wymachiwał w powietrzu, jakby rzucając posiew przyszłej szczęśliwości. Konie ruszyły wreszcie... — Pamiętaj moje trzy ostatnie słowa — zawołał wysunawszy się z tarantasu i ledwo utrzymując równowagę — religia, postęp, ludzkość!... Bądź zdrow! — Jego głowa, z naciśniętym na czoło kaszkietem, znikła. Ławrecki został na ganku sam — i uporczywie patrzył w dal na drogę, dopóki nie stracił z oczu tarantasu. „Kto wie, czy on nie ma racji — myślał wracając do domu — może istotnie jestem próżniakiem?” Wiele ze słów Michalewicza zapadło mu głęboko w duszę, chociaż się z nim kłócił i nie zgadzał. Człowiek z gruntu dobry zawsze potrafi wyrzucić wpływ na innych.

XXVI

W dwa dni później Maria Dmitriewna, zgodnie z przyrzeczeniem, przyjechała z całą swoją młodzieżą. Dziewczynki pobiegły zaraz do ogrodu, a Maria Dmitriewna melancholijnie przeszła się po pokojach i melancholijnie wszystko pochwaliła. Swoją wizytę u Ławreckiego uważała za oznakę wielkiej łaskawości, nieomal za dobry uczynek. Uśmiechnęła się życzliwie, kiedy Anton i Apraksja starym zwyczajem służby pańszczyźnianej podeszli, żeby ją pocałować w rękę — i omdlewającym głosem, przez nos, poprosiła o filiżankę herbaty. Ku wielkiemu niezadowoleniu Antona, który włożył białe, dziane rękawiczki, herbatę gościowi podał nie on, lecz nowoprzyjęty przez Ławreckiego kamerdyner, „nie rozumiejący się — jak twierdził starzec — na żadnych porządkach”. Za to przy obiedzie Anton postawił na swoim: twardo stanął za fotelem Marii Dmitriewny — i już nikomu nie ustąpił miejsca. Przyjazd gości — co od dawna już się nie zdarzało — zaniepokoił i ucieszył starca; sprawiało mu to przyjemność, gdy widział, że jego pan utrzymuje stosunki towarzyskie z tak czcigodnym państwem. Zresztą, nie on jeden denerwował się tego dnia; Lemm był również bardzo podniecony. Włożył kusy, tabaczkowy fraczek ze spiczastymi połami, mocno zacisnął na szyi fularową chustkę, ciągle pokaszliwał i kłaniał się wszystkim z przyjaznym i uprzejmym wyrazem twarzy. Ławrecki stwierdził z zadowoleniem, że sympatia, jaka się wytworzyła między nim i Lizą, trwała nadal; Liza, gdy tylko weszła, od razu z całą serdecznością wyciągnęła do niego rękę. Po obiedzie Lemm wyjął z tylnej kieszeni fraka, dokąd raz po raz wkładał rękę, niewielki zwitek papieru nutowego i zacisnąwszy usta, w milczeniu położył go na fortepianie. Był to romans, który skomponował poprzedniego dnia do słów starej piosenki niemieckiej o gwiazdach. Liza natychmiast siadła przy fortepianie i odegrała utwór... Niestety! Muzyka okazała się zagmatwana i nieprzyjemnie patetyczna; widać było, że kompozytor silił się na wyrażenie czegoś pasjonującego, głębokiego, ale mu się to nie udało: wysiłek został tylko wysiłkiem. Ławrecki i Liza poczuli to oboje — Lemm również to zrozumiał; nie rzekłszy ani słowa włożył nuty z powrotem do kieszeni i w odpowiedzi na propozycję Lizy, która chciała zagrać romans jeszcze raz, pokiwał tylko głową, powiedział znacząco: — Teraz już basta! — zgarbił się, skurczył i wyszedł.

Pod wieczór całe towarzystwo wybrało się na ryby. W stawie za ogrodem było mnóstwo karasi i kielbi. Marię Dmitriewną posadzono w fotelu tuż nad brzegiem stawu, w cieniu, rozesłano jej dywanik pod nogi, dano najlepszą wędkę; Anton jako stary, doświadczony rybak zaofiarował swoje

usługi. Gorliwie nakładał robaki, ugniatał je palcami, pluł na nie i nawet sam zarzucał wędkę z gracją pochylając się naprzód całym tułowiem. Maria Dmitriewna tego samego dnia rozmawiając z Fiodorem Iwanyczem tak się wyraziła o nim w swojej pensjonarskiej francuszczyźnie: Il n'y a plus maintenant de ces gens comme ça comme autrefois. Lemm z obydwoma dziewczynkami poszedł nieco dalej, ku samej grobli. Ławrecki usiadł obok Lizy. Ryby brały bez przerwy; wyciągane z wody karasie raz wraz połyskiwały w powietrzu swoimi to złotymi, to srebrnymi bokami; radosne okrzyki dziewczynek nie milkły; nawet Maria Dmitriewna pisnęła kilka razy omdlewającym głosem. Najmniejsze sukcesy odnosili Ławrecki i Liza, prawdopodobnie dlatego, że mało zwracali uwagi na łowienie ryb i pozwolili swoim pławikom podpłynąć aż do brzegu. Wysokie, czerwone trzciny szeleściły cicho dokoła, przed nimi łagodnym blaskiem lśniła tafla nieruchomej wody i oni też rozmawiali prawie szeptem. Liza stała na malutkim drewnianym pomoście; Ławrecki siedział na pochylonym pniu starej wierzby; Liza była w białej sukience, przepasanej szeroką, również białą wstążką; słomiany kapelusz wisiał na jednej ręce — drugą z pewnym wysiłkiem podtrzymywała giętkie wędzisko. Ławrecki patrzył na jej nieskazitelny, chociaż nieco surowy profil, na włosy założone za uszy, na delikatne policzki, które zarumieniły się jak u dziecka — i myślał: „O, jakże jesteś urocza, gdy tak stoisz nad moim stawem!” Liza nie odwracała się do niego, tylko miała wzrok skierowany na wodę — i z lekka się uśmiechała lub też mrużyła oczy. Cień pobliskiej lipy padał na nich oboje.

— A wie pani — zaczął Ławrecki — dużo się zastanawiałem nad naszą ostatnią rozmową i doszedłem do wniosku, że pani jest niezwykle dobra.

— Wcale nie mówiłam po to... — odpowiedziała Liza i urwała nagle, zawstydzona.

— Pani jest dobra — powtórzył Ławrecki. — Jestem grubo ciosany, taki już mam charakter, ale czuję, że wszyscy powinni panią kochać. Na przykład Lemm: jest po prostu w pani zakochany.

Brwi Lizy wprawdzie się nie zmarszczyły, ale drgnęły; zdarzało się jej to zawsze wtedy, kiedy słyszała coś nieprzyjemnego.

— Bardzo mi go było dzisiaj żal — mówił dalej Ławrecki — z tym jego nieudanym romansiem. Być młodym i nie umieć to rzecz dość łatwa do zniesienia, ale zestarzyć się i nie być zdolnym do niczego to tragiczne. A najdotkliwsze dla człowieka jest to, że nie czuje, kiedy go opuszczają siły. Staremu trudno wytrzymać taki cios! Niech pani uważa, ryba zaczyna brać u pani... Podobno — dodał po chwili milczenia — Włodzimierz Nikołaicz skomponował bardzo ładny romans.

— Tak — odrzekła Liza — taki sobie drobiazg, ale niebrzydki.

— A jak pani sądzi — spytał Ławrecki — czy on jest dobrym muzykiem?

— Zdaje mi się, że ma duże zdolności do muzyki, ale dotychczas nie zajmował się nią jak należy.

— Tak. A czy to dobry człowiek?

Liza roześmiała się i szybko spojrzała na Fiodora Iwanycza.

— Co za dziwne pytanie! — zawołała, wyciągnęła wędkę i znowu zarzuciła ją daleko od brzegu.

— Dlaczego dziwne? Pytam panią o niego jak ktoś, co niedawno tutaj przyjechał, jak krewny.

— Jak krewny?

— Tak. Przecież jestem, zdaje się, pani wujem?

— Włodzimierz Nikołaicz ma dobre serce — powiedziała Liza — jest mądry; maman bardzo go lubi.

— A pani go lubi?

— To dobry człowiek, dlaczegoż miałabym go nie lubić?

— A! — bąknął Ławrecki i zamilkł. Na pół smutny, na pół drwiący wyraz przemknął po jego twarzy. Jego uporczywe spojrzenie przyprawiło Lizę o zmieszanie, ale uśmiechała się w dalszym ciągu. — Ano, daj im, Boże, szczęście! — mruknął wreszcie jakby do siebie i odwrócił głowę.

Liza zaczerwieniła się.

— Pan jest w błędzie, Fiodorze Iwanyczu — powiedziała — źle pan przypuszcza... A czy Włodzimierz Nikołaicz nie podoba się panu? — spytała nagle.

— Nie podoba mi się.

— Dlaczegoż to?

— Wydaje mi się, że jest człowiekiem bez serca. Uśmiech zgasł na jej twarzy.

— Pan ma zwyczaj surowo sądzić ludzi — wyrzekła po długim milczeniu.

— Chyba nie. Jakież sobie mogę usurpować prawo do surowego sądzenia innych, kiedy sam potrzebuję pobłażliwości? Czy pani zapomniała, że ze mnie się już każdy śmieje... A jak tam — dodał — z pani obietnicą?

— Jaka?

— Pomodliła się pani za mnie?

— Tak, modliłam się za pana i modłę się codziennie. Ale proszę, żeby pan nie mówił o tym w tak żartobliwy sposób.

Ławrecki zaczął upewniać Lizę, że mu to nawet nie przyszło do głowy, że głęboko szanuje wszelkie przekonania; potem jął się rozwodzić na temat religii, na temat jej znaczenia dla ludzkości, na temat roli chrześcijaństwa...

— Chrześcijaninem trzeba być — przerwała mu z pewnym wysiłkiem Liza — nie dlatego, żeby poznawać rzeczy wiekuiste albo... doczesne, ale dlatego, że każdy człowiek musi umrzeć.

Ławrecki z mimowolnym zdziwieniem podniósł oczy na Lizę i spotkał jej wzrok.

— Jakież to pani wymówiła słowo! — powiedział.

— To nie jest moje słowo — odrzekła.

— Nie pani... A dlaczego pani zaczęła mówić o śmierci?

— Nie wiem. Często o niej myślę.

— Często?

— Tak.

— Tego nie można by powiedzieć patrząc teraz na panią: ma pani taką wesołą, rozjaśnioną twarz, uśmiecha się pani...

— Tak, teraz jest mi bardzo wesoło — odparła naiwnie Liza.

Ławrecki odczuł nagle chęć, by ją chwycić za obydwie ręce i mocno je ścisnąć...

— Liza, Liza — zawołała Maria Dmitriewna — chodź tu, zobacz, jakiego złapałam karasia!

— Zaraz, maman — odpowiedziała Liza i poszła do niej, a Ławrecki został na swojej wierzbie. „Rozmawiam z nią tak, jakbym miał jeszcze przed sobą całe życie” — myślał. Odchodząc Liza powiesiła swój kapelusz na gałęzi. Z dziwnym, niemal tkliwym uczuciem Ławrecki popatrzył na ten kapelusz, na jego długie, trochę pogniecione wstążki. Liza wkrótce wróciła i znowu stanęła na pomoście.

— Dlaczego pan sądzi, że Włodzimierz Nikołaicz jest człowiekiem bez serca? — spytała po upływie kilku chwil.

— Powiedziałem już pani, że mogłem się omylić; a zresztą czas wszystko pokaże.

Liza zamyśliła się. Ławrecki zaczął opowiadać o swoim trybie życia na wsi, o Michalewiczu, o Antonie, czuł, że musi rozmawiać z Liza, że' musi powiedzieć jej wszystko, co nosi w sercu; Liza tak mile, tak uważnie go słuchała; jej niezbyt częste uwagi i zaprzeczenia wydawały mu się tak proste i rozsądne. Nawet jej to powiedział.

Liza zdziwiła się.

— Naprawdę? — rzekła. — A ja sądziłam, że tak samo jak moja pokojówka Nastia, nie mam żadnych własnych słów. Nastia pewnego razu powiedziała swojemu narzeczonemu: „Pewno się nudzisz ze mną, bo mówisz mi tyle przyjemnych różności, a ja nie mam żadnych własnych słów.”

„Dzięki Bogu!” — pomyślał Ławrecki.

XXVII

Tymczasem wieczór się zbliżał i Maria Dmitriewna wyraziła chęć powrotu do domu. Dziewczynki z trudem dały się oderwać od stawu i skłonić do włożenia podróżnych strojów. Ławrecki oświadczył, że odprowadzi gości do połowy drogi, i kazał sobie osiodłać konia. Usadawiając Marię Dmitriewną w karecie, spostrzegł, że brakuje Lemma, ale starca nigdzie nie można było znaleźć. Zniknął zaraz, gdy tylko skończyło się łowienie ryb. Anton z wyjątkową na jego lata siłą zatrzasnął drzwiczki i groźnie krzyknął: „jazda!” Kareta ruszyła. Na tylnych miejscach ulokowały się Maria Dmitriewna i Liza; na przednich — dziewczynki i pokojówka. Wieczór był pogodny i ciepły; okna

z obydwóch stron były spuszczone. Ławrecki jechał klusem koło karety z tej strony, gdzie siedziała Liza. Położywszy rękę na drzwiczkach rzucił cugle na szyję rytmicznie biegnącego konia i od czasu do czasu zamieniał dwa-trzy słowa z młodą dziewczyną. Zorza zgasła; nadeszła noc, ale powietrze zrobiło się nawet cieplejsze. Maria Dmitriewna wkrótce zaczęła drzemać; dziewczynki i pokojówka również pozasypiały. Kareta toczyła się szybko i równo. Liza pochyliła się naprzód; księżyc, który niedawno wzeszedł, oświetlał jej twarz; pachnący, mocny wiaterek dmuchał w oczy i policzki. Było jej dobrze. Oparła rękę na drzwiczkach karety obok ręki Ławreckiego. I jemu było dobrze: płynął w ciepłe pogodnej nocy, nie spuszczając z oczu dobrej, młodej twarzyczki, słuchając młodego, dźwięcznego nawet w szepcie głosu, mówiącego o rzeczach prostych i dobrych; nawet nie zauważył, jak ujechał połowę drogi. Nie chciał budzić Marii Dmitriewny, uściśnął więc lekko rękę Lizy i powiedział: — Jesteśmy już teraz przyjaciółmi, prawda? — Ona kiwnęła głową, on zatrzymał konia. Kareta potoczyła się dalej, miarowo kołysząc się i bujając. Ławrecki pojechał stępa do domu. Ogarnął go niewysłowny czar letniej nocy; wszystko dokoła wydawało się tak niespodziewanie dziwne, a jednocześnie od tak dawna i tak słodko znajome; w pobliżu i w dali — a było widać daleko, chociaż oko wiele nie rozróżniało z tego, co widziało — wszystko było pogrążone we śnie; młode, rozkwitające życie dawało znać o sobie właśnie w tym spoczynku. Koń Ławreckiego stapał rażno, miarowo przebierając nogami; jego duży, czarny cień sunął za nim; było coś tajemniczego i przyjemnego w tupocie jego kopyt, coś wesołego i zachwycającego w donośnym kwileniu przepiórek. Gwiazdy nikły w jakiejś przejrzystej mgiełce; niepełny księżyc błyszczał metalicznym blaskiem; jego światło rozlewało się błękitnym potokiem po niebie i padało plamami przyćmionego złota na blisko płynące delikatne chmurki; w świeżym powietrzu wilgotniały z lekka oczy, chłód pieszczotliwie ogarniał wszystkie członki i wpadał wonną strugą do płuc. Ławrecki upajał się i cieszył swoim upojeniem. „No, jeszcze sobie pożyję — myślał — jeszcze mnie całkiem nie zagryzła...” Nie dokończył: kto czy co... Potem zaczął myśleć o Lizie, o tym, że ona chyba nie żywi żadnego głębszego uczucia dla Panszyna; że gdyby się z nią spotkał w innych okolicznościach, to Bóg wie, co by z tego mogło wyniknąć; że rozumie Lemma, chociaż ona nie ma „żadnych własnych słów”. Ale to nieprawda: ona ma własne słowa... „Niech pan o tym nie mówi tak żartobliwie” — przypomniał sobie Ławrecki. Długo jechał ze zwieszoną głową, potem się wyprostował, wyrzekł powoli:

I spaliłem wszystko, co wielbiłem, Uwielbiłem wszystko, co spalałem...

ale natychmiast uderzył konia szpicrutą i pocwałował aż do samego domu.

Zsiadając z konia, po raz ostatni obejrzał się z mimowolnym, dziękczynnym uśmiechem. Noc, milcząca, dobrotliwa noc leżała na wzgórzach i w dolinach; z daleka, z jej wonnej głębi, Bóg wie skąd — z nieba czy z ziemi — zaciągało przyjemnym, łagodnym ciepłem. Ławrecki posłał w myśli ostatnie pozdrowienie Lizie i wbiegł na ganek.

Następny dzień minął dość ospale. Od rana padał deszcz. Lemm patrzył spode łba i coraz mocniej zaciskał usta, jakby się zawziął, że ich nigdy nie otworzy. Kładąc się spać Ławrecki wziął z sobą do łóżka cały stos francuskich dzienników, które już z górą dwa tygodnie leżały na jego biurku nie rozpieczętowane. Zaczął obojętnie rozrywać opaski i przebiegać oczyma kolumny gazet, w których zresztą nie było nic nowego. Już je chciał odrzucić, gdy nagle zerwał się z łóżka jak oparzony. W felietonie jednej z gazet, znany nam już monsieur Jules podawał swoim czytelnikom „smutną nowinę”: piękna, czarująca Rosjanka — pisał — jedna z królowych mody, ozdoba paryskich salonów, madame de Lawretzki, umarła nagle i wiadomość o tym, niestety, aż nazbyt prawdziwa, dopiero co dotarła do niego, monsieur Jules'a. „Byłem — pisał dalej sławetny kronikarz — niejako przyjacielem nieboszczki...”

Ławrecki ubrał się, wyszedł do ogrodu i aż do rana chodził tam i z powrotem, wciąż po tej samej alejce.

XXVIII

Następnego dnia, przy śniadaniu, Lemm poprosił Ławreckiego o konie, gdyż chciał wrócić do miasta. — Muszę wziąć się do roboty, to znaczy do lekcji — oświadczył -bo tutaj tylko na próżno tracę czas. Ławrecki nie od razu mu odpowiedział: zdawał się mieć głowę czymś mocno zaprzątniętą. — Dobrze — odrzekł wreszcie — ja też z panem pojedę. — Bez pomocy sługi, złoścąc się i stękając, Lemm zapakował swój niewielki kuferek, podarł i spalił kilka arkuszy papieru nutowego. Zajechały konie. Wychodząc z gabinetu Ławrecki włożył do kieszeni wczorajszy numer dziennika. Przez całą drogę Lemm i Ławrecki niewiele z sobą rozmawiali; każdy z nich był zajęty własnymi myślami i każdy był rad, że drugi mu w tym nie przeszkadza. Rozstali się dość oziębło, co się zresztą często zdarza przyjaciółom w Rosji. Ławrecki podwiózł starca do jego domku. Lemm wysiadł, wziął kuferek i nie podając przyjacielowi ręki (trzymał kuferek oburącz przed sobą), nie patrząc nawet na niego, powiedział po rosyjsku: — Żegnam pana! — Żegnam — powtórzył Ławrecki i kazał stangetowi jechać do domu. Na wszelki wypadek wynajął mieszkanie w mieście. Napisawszy kilka listów i zjadłszy pośpiesznie obiad Ławrecki udał się do Kalitinów. W bawialni zastał tylko Panszyna, który mu oznajmił, że Maria Dmitriewna zaraz nadejdzie, i natychmiast zaczął z nim jak najuprzejmiej, jak najserdeczniej gawędzić. Dotychczas Panszyn odnosił się do Ławreckiego może nie lekceważąco, ale protekcyjnie; Liza jednak, opowiadając Panszynowi o wczorajszej przejażdżce, wyraziła się o Ławreckim jako o wspaniałym i mądrym człowieku. To wystarczyło Panszynowi: należało zjednać sobie tego „wspaniałego” człowieka. Rozpoczął od komplementów pod adresem Ławreckiego, od opisanego zachwyty, z jakim cała rodzina Marii Dmitriewny mówiła o Wasiliewskim, a potem, swoim zwyczajem, zręcznie skierowawszy rozmowę na siebie jął się rozwodzić o swojej pracy, o swoich poglądach na życie, na świat i na służbę państwową; wygłosił parę zdań o przyszłości Rosji, o tym, jak należy trzymać w rękę gubernatorów; przy okazji zakpił wesoło z własnej osoby i dodał, że między innymi polecono mu w Petersburgu — de populariser l'idée du cadastre. Mówił dość długo, z niedbałą pewnością siebie rozstrzygając wszystkie zawile kwestie i jak żongler kulami operując najdonioślejszymi zagadnieniami politycznymi i administracyjnymi. Takie zwroty, jak: „właśnie to bym zrobił na miejscu rządu” albo „pan, jako człowiek mądry, niewątpliwie podzieli moją opinię” — nie schodziły mu z ust. Ławrecki powściągliwie słuchał gadaniny Panszyna; nie podobał mu się ten przystojny, wykształcony i niedbale elegancki młodzieniec z jego promiennym uśmiechem, uprzejmym tonem i przenikliwymi oczyma. Panszyn z właściwym sobie darem szybkiego odczuwania cudzych myśli i nastrojów spostrzegł niebawem, że nie sprawia szczególnej przyjemności swojemu rozmówcy, i pod pierwszym lepszym pozorem ulotnił się, doszedłszy do wniosku, że Ławrecki może istotnie jest wspaniałym człowiekiem, ale niesympatycznym, aigri i en somme trochę śmiesznym. Maria Dmitriewna zjawiła się w towarzystwie Gedeonowskiego; potem nadeszła Marfa Timofiejewna z Lizą, a za nimi reszta domowników; wreszcie przyjechała pani Bielenicyn, również amatorka muzyki, malutka, szczuplutka dama, z dziecięcą niemal, znużoną i ładną twarzyczką, w szeleszczącej czarnej sukni, z kolorowym wachlarzem i grubymi, złotymi bransoletami; przyjechał też jej mąż, otyły jegomość z czerwonymi policzkami, wielkimi nogami i rękami, białymi rzęsami i nieruchomym uśmiechem na grubych wargach; w czasie wizyt u znajomych żona nigdy z nim nie rozmawiała, w domu zaś, w przystępach czułości, nazywała go swoim prosiaczkiem. Panszyn wrócił i w pokojach zrobiło się ludno i gwarno. Ławreckiemu nie bardzo się podobał taki tłok; szczególnie drażniła go pani Bielenicyn, która co chwila spoglądała na niego przez lornetkę. Wyszedłby zaraz, gdyby nie Liza; chciał koniecznie powiedzieć jej parę słów na osobności, ale przez długi czas nie mógł upatrzeć odpowiedniej chwili i zadowalał się tym, że z tajoną radością śledził ją oczyma; nigdy jej twarzyczka nie wydawała mu się szlachetniejsza i miłsza. Liza dużo zyskiwała w zestawieniu z panią Bielenicyn. Tamta bez przerwy kręciła się na

krześle, wzruszała swoimi wąskimi ramionkami, zanosila się pieśczożliwym śmiechem i albo całkiem mrużyła, albo szeroko otwierała oczy. Liza siedziała spokojnie, patrzyła prosto przed siebie i wcale się nie śmiała. Pani domu zasiadła do gry w karty z Marfą Timofiejewną, Bielenicyńm i Gedeonowskim, który grał bardzo wolno, nieustannie się mylił, mrugał oczyma i wycierał twarz chusteczką. Panszyn przybrał melancholijną minę, wyrażał się krótko, znacząco i smutno — niczym artysta, któremu nie dano możności wypowiedzieć się — ale mimo nalegań pani Bielenicyń, która ogromnie go kokietowała, nie chciał zaśpiewać swego romansu: krępowała go obecność Ławreckiego. Fiodor Iwanycz też mówił mało; szczególnie wyraz jego twarzy zdumiał Lizę, gdy tylko zobaczyła go wchodzącego do pokoju; od razu poczuła, że chce jej coś powiedzieć, ale sama nie wiedząc dlaczego, bała się go pytać. Wreszcie, przechodząc do salonu, żeby nalać herbatę, mimo woli odwróciła głowę w jego stronę. Ławrecki natychmiast podążył za nią.

— Co panu jest? — spytała stawiając imbryczek na samowarze.

— A czy pani coś zauważyła? — odparł pytaniem na pytanie.

— Pan dzisiaj jest inny niż dotychczas. Ławrecki nachylił się nad stołem.

— Chciałem — zaczął — zakomunikować pani pewną wiadomość, ale teraz nie można. Zresztą, niech pani przeczyta urywek tego felietonu zakreślony ołówkiem — dodał podając jej numer dziennika przywiezionego z domu. — Proszę zatrzymać to w tajemnicy; wstąpię do państwa jutro rano.

Liza była zdumiona... W drzwiach ukazał się Panszyn. Liza schowała gazetę do kieszeni.

— Czy pani czytała Obermanna, Lizawieto Michajłowno? — spytał ją w zamyśleniu Panszyn.

Liza odpowiedziała mu mimochodem i poszła na górę. Ławrecki wrócił do salonu i zbliżył się do stolika, przy którym grano w karty. Marfa Timofiejewna, rozwiązawszy wstążki czepka, zarumieniona z przejęcia, zaczęła mu się skarżyć na swego partnera, Gedeonowskiego, który wedle jej słów nie miał pojęcia o grze.

— Widocznie gra w karty — mówiła — jest trudniejsza od wymyślania różnych historyjek.

Gedeonowski wciąż mrugał oczyma i wycierał chustką twarz. Liza wróciła do salonu i usiadła w kącie; Ławrecki popatrzył na nią, ona popatrzyła na niego — i obydwójce odczuli jakby strach. On wyczytał z jej oczu zdumienie i jakiś tajemny wyrzut. Porozmawiać z nią tak, jakby chciał, nie mógł; przebywać z nią w pokoju, w roli jednego z wielu gości — było ponad jego siły. Postanowił odejść. Żegnając się z nią zdążył powtórzyć, że przyjdzie jutro, i dodał, że liczy na jej przyjaźń.

— Proszę, niech pan przyjdzie — odpowiedziała z tym samym zdumieniem w oczach.

Panszyn ożywił się po wyjściu Ławreckiego; zaczął dawać rady Gedeonowskiemu, ironicznie nadszkiewać pani Bielenicyń i wreszcie odśpiewał swój romans. Ale z Lizą mówił i spoglądał na nią po dawnemu: znacząco i trochę melancholijnie.

A Ławrecki znowu nie spał całą noc. Nie było mu smutno, nie był podniecony, po prostu wszystko w nim ucichło; spać jednak nie mógł. Nawet nie wspominał minionych lat, po prostu wpatrywał się w swoje życie: serce biło mu ciężko i miarowo, godziny upływały, a on nie myślał o tym, żeby zasnąć. Chwilami tylko przychodziła mu do głowy refleksja: „Ależ to wszystko nieprawda, to niedorzeczność” — zatrzymywał się, schylał głowę — i znowu wpatrywał się w swoje życie.

XXIX

Maria Dmitriewna niezbyt życzliwie przyjęła Ławreckiego, kiedy ten zjawił się u niej nazajutrz. „Widzicie go, jak to się znowu” — pomyślała. Ławrecki nie bardzo jej się podobał, a w dodatku Panszyn, którego wpływom ulegała, dość podstępnie i lekceważąco pochwalił go poprzedniego dnia. Ponieważ nie uważała go za gościa i nie czuła się obowiązana do poświęcania czasu kuzynowi, który był prawie domownikiem, więc nie minęło nawet pół godziny, gdy Ławrecki przechadzał się już w towarzystwie Lizy po jednej z alejek ogrodu. Lena i Szuroczka biegały niedaleko od nich między klombami.

Liza była jak zwykle spokojna, ale bledsza niż zazwyczaj. Wyjęła z kieszeni i podała Ławreckiemu złożony w kilkoro arkusz gazety.

— To okropne — rzekła. Ławrecki nic nie odpowiedział.

— Może to zresztą fałszywa wiadomość — dodała Liza.'

— Dlatego właśnie prosiłem, żeby pani o tym nikomu nie mówiła.

Liza postąpiła naprzód kilka kroków.

— Niech pan powie — zaczęła — czy pan nie jest zmartwiony? Nic a nic?

— Sam nie wiem, co czuję — odpowiedział Ławrecki.

— Ale przecież pan ją kochał dawniej?

— Kochałem.

— Bardzo?

— Bardzo.

— I nie zasmuciła pana jej śmierć?

— Ona już wcześniej dla mnie umarła.

— To grzech, co pan mówi... Niech pan się nie gniewa na mnie. Pan mnie nazywa swoim przyjacielem, a przyjaciel może mówić wszystko. Doprawdy, strach mnie ogarnia... Wczoraj miał pan taki niedobry wyraz twarzy...

Pamięta pan, jak niedawno uskarżał się pan na nią? A jej wtedy może już nie było na świecie. To jest straszne. To jakby kara zesłana na pana.

Ławrecki gorzko się uśmiechnął.

— Tak pani sądzi? Przynajmniej jestem teraz wolny. Liza z lekka drgnęła.

— Naprawdę, niech pan tak nie mówi. Cóż panu przyjdzie z tej wolności? Nie o tym powinien pan teraz myśleć, ale o przebaczeniu...

— Dawno jej przebaczyłem — przerwał Ławrecki i machnął ręką.

— Nie to miałam na myśli — odparła Liza i zaczerwieniła się. — Pan mnie źle zrozumiał. Pan powinien zatroszczyć się o to, żeby panu przebaczone...

— Któż mi ma przebaczyć?

— Kto? Bóg. On jeden tylko może nam przebaczyć. Ławrecki chwycił ją za rękę.

— Ach, Lizawieto Michajłowno, proszę mi wierzyć! — zawołał — dostatecznie już zostałem ukarany. Odkupiłem wszystkie swoje winy, niech mi pani wierzy.

— O tym pan nie może wiedzieć — rzekła Liza półgłosem. — Pan zapomniał, że jeszcze niedawno, tutaj, kiedy pan ze mną rozmawiał, nie chciał pan jej przebaczyć...

Oboje szli przez pewien czas w milczeniu.

— A co się stanie z pana córką? — spytała nagle Liza i zatrzymała się.

Ławrecki jakby się ocknął ze snu.

— O, może pani być spokojna! Rozesłałem już listy na wszystkie strony. Przyszłość mojej córki, jak pani ją... jak pani mówi... jest zabezpieczona. Proszę mi wierzyć.

Liza uśmiechnęła się smutno.

— Ale pani ma rację — ciągnął dalej Ławrecki — cóż mi przyjdzie z mojej wolności? Na co mi potrzebna?

— Kiedy pan otrzymał tę gazetę? — rzekła Liza nie odpowiadając na jego pytanie.

— Nazajutrz po pani bytności w Wasiliewskim.

— I czy podobna... czy podobna, żeby pan nawet jednej łzy nie uronił?

— Nie. Byłem wstrząśnięty. Ale jakież mogłem mieć powód do wylewania łez? Czyż miałem opłakiwać przeszłość, która się w mojej pamięci wypaliła do szczętu? Przewinienie żony nie zburzyło mojego szczęścia, dowiodło tylko, że to szczęście nigdy nie istniało. Po czym miałem płakać? Zresztą, kto wie — może byłbym zasmucony, gdybym tę wiadomość otrzymał o dwa tygodnie wcześniej...

— O dwa tygodnie wcześniej? — zdziwiła się Liza. — A cóż takiego zaszło w ciągu tych dwóch tygodni?

Ławrecki nic nie odpowiedział, a Liza nagle zarumieniła się jeszcze bardziej niż przedtem.

— Tak, tak, zgadła pani — podchwycił raptownie Ławrecki — w ciągu tych dwóch tygodni dowiedziałem się, co znaczy czysta dusza kobieca, i moja przeszłość jeszcze dalej odsunęła się ode mnie.

Liza się zmieszała i wolniutko poszła w stronę klombów do Leny i Szuroczki.

— A ja jestem zadowolony, że pokazałem pani tę gazetę — mówił Ławrecki podążając za Liza — przyzwyczailem się już, by niczego przed panią nie ukrywać, i mam nadzieję, że pani mi odpłaci takim samym zaufaniem.

— Tak pan przypuszcza? — powiedziała Liza i znowu się zatrzymała. W takim razie powinnam była... Ale nie! To niemożliwe.

— Co takiego? Niech pani powie, niech pani powie.

— Naprawdę, zdaje mi się, że nie powinnam... A zresztą — dodała Liza i z uśmiechem odwróciła się do Ławreckiego — szczerść za szczerść. Wie pan, dostałam dzisiaj list.

— Od Panszyna?

— Tak, od niego... Skąd pan wie?

— Prosi o pani rękę?

— Tak — odrzekła Liza i śmiało, poważnie spojrzała Ławreckiemu prosto w oczy.

Ławrecki z kolei spojrzał poważnie na Lizę.

— I cóż mu pani odpowiedziała? — spytał po chwili.

— Nie wiem, co odpowiedzieć — odparła Liza i opuściła złożone ręce.

— Jak to? Przecież pani go kocha?

— Tak, on mi się podoba; zdaje się, że jest dobrym człowiekiem.

— To samo i w ten sam sposób powiedziała mi pani onegdaj. Chcę wiedzieć, czy pani go kocha owym mocnym, gorącym uczuciem, które zazwyczaj nazywamy miłością?

— Tak jak pan to rozumie — nie.

— Pani w nim nie jest zakochana?

— Nie. A czy to konieczne?

— Jak to?

— Mamusi się podoba — ciągnęła dalej Liza — ma dobry charakter; nie mogę mu nic zarzucić.

— Jednak się pani waha?

— Tak... i może właśnie pan, a raczej pana słowa stanowią przyczynę mojego wahania. Pamięta pan, co pan mówił onegdaj? Ale to jest słabość...

— O, moje dziecko! — wykrzyknął nagle Ławrecki i głos mu dziwnie zadrżał. — Niech pani sama sobie nie zadaje kłamu; niech pani nie nazywa słabością krzyku swego serca, które nie chce się poświęcić bez miłości. Niech pani nie bierze na siebie takiej strasznej odpowiedzialności wobec człowieka, którego pani nie kocha i do którego pani zgadza się należeć...

— Jestem tylko posłuszna, nie biorę nic na siebie... — zaczęła mówić Liza.

— Niech pani słucha swego serca; tylko ono powie pani prawdę — przerwał jej Ławrecki. — Doświadczenie, rozsądek — to rzeczy bez wartości i znaczenia! Niech pani sama siebie nie pozbawia największego, jedynego na ziemi szczęścia.

— I pan to mówi, Fiodorze Iwanyczu? Pan sam się ożenił z miłości — a czy był pan szczęśliwy?

Ławrecki klasnął w dłonie.

— Ach, proszę nie mówić o mnie! Pani sobie nawet wyobrazić nie może tego, co młody, niedoświadczony, okropnie wychowany chłopak gotów jest wziąć za miłość!... A wreszcie, po co spotwarzać siebie? Mówiłem pani teraz, że nie znałem szczęścia... Nie! Byłem szczęśliwy!

— Zdaje mi się, Fiodorze Iwanyczu — powiedziała zniżonym głosem Liza (kiedy się nie zgadzała ze swoim rozmówcą, zawsze zniżala głos, a przy tym ogromnie była wzruszona) — że szczęście na ziemi nie zależy od nas...

— Od nas, od nas, niech mi pani wierzy — Ławrecki chwycił ją za obie ręce; Liza zbladła i niemal ze strachem, ale uważnie patrzyła na niego — byleśmy sami sobie nie psuli życia. Dla innych małżeństwo z miłości może być nieszczęściem, ale nie dla pani, bo pani ma duszę tak jasną, charakter tak łagodny!... Błagam panią, niech pani nie wychodzi za mąż bez miłości, z poczucia obowiązku, gwoli wyrzeczenia czy jak tam jeszcze... To jest ta sama niewiara, to samo wyrachowanie — jeszcze nawet gorsze. Niech mi pani wierzy — mam prawo tak mówić, bo drogo za to prawo zapłaciłem. I jeżeli pani Bóg...

W tym momencie Ławrecki zauważył, że Lena i Szuroczka stoją obok Lizy wpatrując się w niego z niemym zdumieniem. Puścił ręce Lizy, rzekł pośpiesznie: — Przepraszam panią — i skierował się w stronę domu.

— O jedno tylko panią proszę — dodał wracając do Lizy — niech pani się nie decyduje od razu, niech pani poczeka, pomyśli o tym, co pani powiedziałem. Gdyby pani nawet mi nie wierzyła, gdyby pani postanowiła wyjść za mąż z rozsądku, to i w takim razie nie powinna pani brać w rachubę propozycji pana Panszyna: on nie może być pani mężem... Więc dobrze, obiecuje mi pani, że się nie będzie śpieszyć?

Liza chciała odpowiedzieć Ławreckiemu i nie wyrzekła ani jednego słowa — nie dlatego, że postanowiła się „śpieszyć”, ale dlatego, że serce biło jej zbyt mocno i uczucie podobne do strachu zatamowało jej oddech.

XXX

Wychodząc od Kalitinów Ławrecki minął się z Panszynem. Obydwaj wymienili zimne ukłony.

Ławrecki przyszedł do siebie do mieszkania i zamknął się w gabinecie. Miotaly nim różne uczucia, których przedtem chyba nigdy nie doświadczał. Jakże niedawno znajdował się w stanie „łagodnego

odrętwienia? Jakże niedawno czuł się, jak to określał, na samym dnie rzeki? Cóż wpłynęło na zmianę jego sytuacji? Co go wyniosło na zewnątrz, na powierzchnię? Najzwyczajniejsza, nieuchronna, chociaż zawsze nieoczekiwana okoliczność: śmierć? Tak, ale on nie tyle myślał o śmierci żony, o swojej wolności, ile o tym, jaką odpowiedź da Panszynowi Liza. Czuł, że w ciągu trzech ostatnich dni zaczął patrzeć na nią innymi oczyma; przypomniał sobie, jak wracając do domu i myśląc o niej wśród ciszy nocnej rozważał w duchu, co by było, gdyby... To „gdyby”, odnoszące się do przeszłości, do rzeczy niemożliwych, spełniło się, chociaż w inny sposób, niż przypuszczał — ale samo odzyskanie wolności nie stanowiło o niczym. „Posłucha matki — myślał — wyjdzie za Panszyna, ale nawet jeśli mu odmówi — czy to nie wszystko jedno dla mnie?” Przechodząc przed lustrem spojrzął przelotnie na swoją twarz i wzruszył ramionami.

Dzień upłynął szybko wśród tych rozmyślań; nadszedł wieczór. Ławrecki udał się do Kalitinów. Szedł pośpiesznie, ale gdy zbliżył się do ich domu, zwolnił kroku. Przed gankiem stał faetonik Panszyna. „No — pomyślał Ławrecki — nie będę egoistą” — i wszedł do domu. W domu nie spotkał nikogo; w salonie też było cicho. Otworzył drzwi i zobaczył Marię Dmitriewnę grającą w pikietę z Panszynem. Panszyn uklonił mu się w milczeniu, a pani domu zawołała: — A to niespodzianka! — i z lekka zmarszczyła brwi. Ławrecki usiadł koło niej i zaczął jej patrzeć w karty.

— A czy pan umie grać w pikietę? — spytała go z jakąś tajoną złością i zaraz potem oświadczyła, że się „przerzuciła”.

Panszyn policzył dziewięćdziesiąt i zaczął grzecznie, z zimną krwią zbierać lewy, zachowując przy tym surowy i dostoyny wyraz twarzy. Tak zapewne grają dyplomaci; prawdopodobnie tak właśnie grał w Petersburgu z jakimś wpływowym dygnitarzem, którego chciał przekonać o swojej stateczności i dojrzałości umysłowej. „Sto jeden, sto dwa, czerwień, sto trzy” — rozlegał się jego miarowy głos, i Ławrecki nie mógł się zorientować, jaka nuta dźwięczała w tym głosie: żalu czy zarozumiałstwa.

— Czy mógłbym się zobaczyć z Marfą Timofiejewną? — spytał widząc, że Panszyn z jeszcze większym namaszczeniem zabrał się do tasowania kart. Nie można już w nim było dostrzec nawet cienia artysty.

— Sądzę, że tak. Jest u siebie, na górze — odpowiedziała Maria Dmitriewna — niech pan się dowie.

Ławrecki poszedł na górę. Marfę Timofiejewnę zastał też przy kartach: grała w durnia z Nastasją Karpowną. Roska zaszczekała na niego, ale obie staruszki przyjęły go życzliwie; zwłaszcza Marfa Timofiejewna była w dobrym humorze.

— A, Fiedia! Prosimy bardzo — wykrzyknęła — siadaj, kochaneczku. Zaraz kończymy grę. Chcesz konfitur?

Szuroczka, wyjmij słoik z truskawkami. Nie chcesz? No, to siedź sobie tak. Ale ci palić nie dam, bo nie mogę znieść tego waszego tytoniu, a w dodatku Matros kicha od dymu. Ławrecki pośpiesznie zapewnił ją, że wcale nie ma ochoty palić.

— Byłeś na dole? — ciągnęła dalej staruszka. — Kogoś tam widział? Panszyn wciąż tam sterczy? A Lizę widziałeś? Nie? Bo chciała tutaj przyjść... O, właśnie jest. O wilku mowa...

Liza weszła do pokoju i ujrawszy Ławreckiego zaczerwieniła się.

— Wpadłam tu na chwilę... — zaczęła.

— Dlaczego na chwilę? — odparła staruszka. — Czemuż to wy, dziewczęta, jesteście wszystkie takie, że nie możecie usiedzieć na miejscu? Widzisz, że mam gościa: pogawędz z nim, zabaw go.

Liza usiadła na brzeżku krzesła, podniosła oczy na Ławreckiego — i poczuła, że nie może mu nie powiedzieć, czym się skończyło jej spotkanie z Panszynem. Ale jak to zrobić? Wstydziła się i była mocno zakłopotana. Przecież dopiero niedawno poznała tego człowieka, który i do cerkwi chodzi tak rzadko, i tak obojętnie znosi śmierć żony — a już mu chce zwierzać swoje tajemnice... Wprawdzie on jej współczuje, a ona wierzy mu, coś ją do niego ciągnie; ale wstydzi się czemuś tak, jakby ktoś obcy wszedł do jej czystego dziewiczego pokoju.

Marfa Timofiejewna przysła Lizie z pomocą.

— Przecież jeśli ty go nie zabawisz — zaczęła — to któż go, biedaka, zabawi? Ja jestem dla niego za stara, on jest dla mnie za mądry, a dla Nastasji Karpowny za stary: ją obchodzą tylko młodzi chłopcy.

— Czymże mogę zabawić Fiodora Iwanycza? — rzekła Liza. — Jeśli sobie życzy, zagram mu lepiej coś na fortepianie — dodała z wahaniem.

— Doskonale! Bardzo dobry masz pomysł, moje dziecko — pochwaliła ją Marfa Timofiejewna. — Idźcie, moi kochani, na dół, a kiedy skończycie, przyjdźcie jeszcze tutaj. Ja, niestety, zostałam durniem, czuję się pokrzywdzona i chcę się odegrać.

Liza wstała, Ławrecki udał się za nią. Schodząc ze schodów Liza zatrzymała się.

— Mają rację — zaczęła — ci, co mówią, że serce ludzkie pełne jest sprzeczności. Pana przykład powinien być mnie nastraszyć, wpoić mi nieufność do małżeństw z miłości, a ja...

— Pani mu odmówiła? — przerwał Ławrecki.

— Nie; ale się też nie zgodziłam. Wszystko mu powiedziałam, wszystko, co czułam, i poprosiłam, żeby poczekał. Czy pan jest zadowolony? — dodała z szybkim uśmiechem i z lekka dotykając dłonią poręczy zbiegła ze schodów.

— Co panu zagrać? — spytała podnosząc wieko fortepianu.

— Co pani chce — odpowiedział Ławrecki i usiadł tak, żeby móc patrzeć na nią.

Liza zaczęła grać i długo nie odrywała wzroku od swoich palców. Wreszcie spojrzała na Ławreckiego i zatrzymała się: twarz jego wydała się jej dziwna i jakby zmieniona.

— Co panu jest? — spytała.

— Nic — odparł — jest mi bardzo dobrze; cieszę się, że pani tak postąpiła, cieszę się, że panią widzę — niech pani gra dalej.

— Wydaje mi się — mówiła Liza w parę chwil potem — że gdyby on mnie naprawdę kochał, to nie napisałby tego listu; odczułby, że nie mogę mu teraz odpowiedzieć.

— To nie jest rzecz istotna — zauważył Ławrecki — istotne jest to, że pani go nie kocha.

— Niech pan tak nie rozmawia ze mną, doprawdy! Ciągłe mi się roi, że widzę pana zmarłą żonę, i pan się dla mnie staje straszny.

— Prawda, monsieur Woldemar, jak ładnie gra moja Lisette? — mówiła w tym samym czasie Maria Dmitriewna do Panszyna.

— Tak — potwierdził Panszyn — bardzo ładnie.

Maria Dmitriewna czule popatrzyła na swojego młodego partnera, ale ten przybrał jeszcze bardziej poważną i zatroskaną minę i ogłosił czternaście „króli”.

XXXI

Ławrecki nie był młodzieniaszkiem; nie mógł się długo łudzić co do rodzaju uczucia, które w nim obudziła Liza. Tego dnia ostatecznie przekonał się o tym, że ją pokochał. Nie bardzo go owo przekonanie ucieszyło. „Czyż nie mam — pomyślał — nic innego do zrobienia w trzydziestym piątym roku życia jak tylko to, żeby znowu oddać swą duszę i serce kobiecie? Ale nie ma żadnego porównania między Lizą a tamtą: Liza nie żądałaby ode mnie hańbiących ofiar; nie oderwałaby mnie od moich zajęć, sama stałaby mi się natchnieniem do twardej, uczciwej pracy i poszlibyśmy oboje naprzód ku pięknym celom. Tak — kończył swoje rozmyślenia — wszystko to jest bardzo ładne, ale niestety, ona wcale nie zechce ze mną pójść. Nie na próżno powiedziała mi, że jestem dla niej straszny. Panszyna jednak też nie kocha... Słaba pociecha!”

Ławrecki pojechał do siebie na wieś, ale nie usiedział tam nawet czterech dni — taka go ogarnęła nuda. Męczyło go też wyczekiwanie; wiadomość podana przez monsieur Jules'a wymagała potwierdzenia, a dotychczas nie nadeszły w związku z tym żadne listy. Wrócił do miasta i spędził wieczór u Kalitinów. Z łatwością zauważył, że Maria Dmitriewna była dla niego usposobiona niezyczliwie, ale udało mu się ją trochę udobruchać, przegrawszy do niej około piętnastu rubli w pikietę. Potem przesiedział prawie pół godziny niemal sam na sam z Lizą, chociaż matka jeszcze w przeddzień radziła jej nie być zbyt poufałą w stosunkach z człowiekiem qui a un si grand ridicule. Dostrzegł w Lizie zmianę: stała się jakby bardziej zamyślona, zrobiła mu wyrzut, że nie przychodził do nich tak długo, i spytała, czy nie pójdzie następnego dnia do cerkwi (następnego dnia była niedziela).

— Niech pan idzie — powiedziała, zanim zdążył otworzyć usta — pomodlimy się razem za spokój jej duszy. — Potem dodała, że nie wie, jak ma postąpić, nie wie, czy ma prawo kazać Panszynowi, by czekał na jej decyzję.

— Dlaczego? — spytał Ławrecki.

— Dlatego — odrzekła — że już teraz zaczynam podejrzewać, jaka to będzie decyzja.

Oświadczyła, że ją boli głowa, i poszła do siebie na górę, z pewnym jakby wahaniem podawszy Ławreckiemu koniuszki palców.

Nazajutrz Ławrecki udał się na nabożeństwo do cerkwi. Kiedy przyszedł, Liza już tam była. Zauważyła go, chociaż nie odwróciła ku niemu głowy. Modliła się żarliwie; łagodnie świeciły jej oczy, łagodnie pochylała się i podnosiła głowa. Czuł, że modliła się za niego — i jego duszę

ogarnęło niewysłowione wzruszenie. Było mu dobrze, ale trochę wstyd. Poważni i skupieni ludzie, dobrze znane, bliskie twarze, chóralny śpiew, zapach kadzidła, długie, ukośne promienie padające z okien, ciemny koloryt sklepień i ścian — wszystko to przemawiało do jego serca. Dawno nie był w cerkwi, dawno nie zwracał się myślą do Boga; teraz również nie wymówił żadnych modlitewnych słów — nie modlił się nawet w duchu — ale przynajmniej na krótką chwilę, jeśli nie ciałem, to całym swoim jestestwem duchowym padł i kornie przywarł do ziemi. Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie, za każdym razem, kiedy był w cerkwi, modlił się dopóty, dopóki nie odczuł na czole jakby czyjś ożywczy dotknięcia; wyobrażał sobie wtedy, że to anioł stróż bierze go pod swoją opiekę, znaczy go stygmatem łaski Bożej. Spojrzał na Lizę... „Ty mnie tu przyprowadziłaś — pomyślał — dotknij więc, dotknij mojej duszy.” Liza modliła się wciąż tak samo, po cichu; jej twarz wydała mu się radosna i to go znowu wzruszyło; zaczął się modlić prosząc o spokój dla innej duszy, a o miłosierdzie dla swojej...

Spotkali się w przedsionku. Liza przywitała go z wesołą i dobrotliwą powagą. Słońce rześście oświetlało młodą trawkę na przycerkiewnym placu, różnobarwne suknie i chusty kobiet; dzwony sąsiednich cerkwi huczały w powietrzu; wróble ćwierkały na płotach. Ławrecki stał z nie nakrytą głową i uśmiechał się; lekki wietrzyk rozwiewał jego włosy i końce wstążek kapelusza Lizy. Pomógł wsiąść Lizie i towarzyszącej jej Lenie do karety, a sam wolniutko poszedł w stronę domu.

XXXII

Dla Fiodora Iwanycza nadeszły ciężkie dni. Był w nieustannej gorączce. Co rano udawał się na pocztę, z przejęciem otwierał listy i gazety — i nie znajdował nic, co mogłoby potwierdzić albo sprostować decydującą o całym jego życiu wiadomość. Chwilami nabierał obrzydzenia do siebie samego: „Cóż to, naprawdę — myślał — czekam jak kruk na świeże zwłoki, na pewną wiadomość o śmierci żony!” Do Kalitinów chodził codziennie, ale i to mu nie przynosiło ulgi; pani domu wyraźnie się na niego dąsała, ledwie tolerując jego osobę; Panszyn odnosił się do niego z przesadną grzecznością; Lemm dostał napadu mizantropii i ledwie mu się kłaniał, a co najważniejsze: Liza jakby go unikała. Kiedy zaś zdarzało się jej zostać z nim sam na sam, to zamiast dotychczasowej ufności okazywała dziwne zmieszanie; nie wiedziała, jak z nim rozmawiać, i on sam często wpadał w zakłopotanie. Liza zmieniła się w ciągu kilku dni; stała się inna niż ta, którą poznał; w jej ruchach, głosie, nawet w uśmiechu dawała się wyczuć ukryta trwoga, niezwykła przedtem niepewność. Maria Dmitriewna, jak prawdziwa egoistka, nic nie podejrzewała, ale Marfa Timofiejewna zaczęła zwracać bacniejszą uwagę na swoją ulubienicę. Ławrecki nieraz wyrzucał sobie, że pokazał Lizie otrzymany numer gazety: nie mógł nie przyznać, że w stanie jego duszy było coś gorszego dla każdej czystej moralnie istoty. Przypuszczał również, że Liza zmieniła się pod wpływem walki wewnętrznej, pod wpływem wątpliwości, jaką dać odpowiedź Panszynowi. Pewnego razu przyniosła mu książkę, powieść Waltera Scotta, o którą sama go prosiła.

— Przeczytała pani tę książkę? — spytał.

— Nie, nie mogę teraz czytać — odrzekła i chciała odejść.

— Proszę zaczekać chwilę, dawno z panią nie rozmawiałem bez świadków. Pani jakby się mnie boi.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Nie wiem.

Ławrecki milczał przez chwilę.

— Proszę mi powiedzieć — zaczął — czy pani jeszcze nie powzięła decyzji?

— Co pan ma na myśli? — spytała nie podnosząc oczu.

— Pani mnie rozumie...

Liza raptownie się zarumieniła.

— Niech pan mnie o nic nie pyta — powiedziała żywo — bo nic nie wiem, bo sama siebie nie mogę zrozumieć...

I natychmiast odeszła.

Następnego dnia Ławrecki przyjechał do Kalitinów po obiedzie i zastał wszystko przygotowane do wieczornego nabożeństwa. W kącie jadalni, na czworokątnym stole, pokrytym świeżym obrusem, stały już oparte o ścianę nie duże ikony, wyobrażające świętych w złotych sukienkach, z aureolami z małych, matowych diamentów. Stary sługa w szarym fraku i trzewikach przeszedł, nie śpiesząc się i nie stukając obcasami, przez cały pokój, postawił przed ikonami dwie woskowe świece w misternych lichtarzach, przeżegnał się, pokłonił i cichutko wyszedł. Nieoświetlony salon był pusty. Ławrecki pokręcił się po jadalni, spytał, czy to przypadkiem nie czyjeś imieniny? Odpowiedziano mu szeptem, że nie, że nabożeństwo zostało zamówione na życzenie Lizawiey Michajłowny i Marfy Timofiejewny; że miał być wystawiony nawet cudowny obraz, ale wywieziono go do chorego o trzydzieści wiorst od miasta. Wkrótce przybył z diaczkami pop, człowiek już niemłody, z wielką łysiną, i głośno zakaszłał w przedpokoju. Wszystkie panie od razu sznurem wyszły z gabinetu i zbliżyły się do niego po błogosławieństwo. Ławrecki uklonił im się w milczeniu i one odkloniły mu się w milczeniu. Pop postął trochę, raz jeszcze kaszlnął i spytał stłumionym basem:

— Czy mogę zacząć?

— Bardzo prosimy — odparła Maria Dmitriewna. Pop jął na siebie oblekać szaty liturgiczne; diacek w białej komeżce nader uniżenie poprosił o węgielek; zapachniało kadzidłem. Z przedpokoju wyszli lokaje i pokojówki i stanęli zwartą cizbą przy drzwiach. Roska, która nigdy nie schodziła z góry, nagle zjawiła się w jadalni; zaczęto ją wyganiać — psina wystraszyła się, zakręciła i usiadła; lokaj złapał ją i wyniósł. Nabożeństwo się zaczęło. Ławrecki wcisnął się w kąt; doznawał dziwnych, niemal przykrych uczuć; sam się nie mógł zorientować, co czuł; Maria Dmitriewna stała na przedzie przed fotelami; zegnała się niedbale, kapryśnie, po wielkopańsku — to się oglądała, to nagle podnosiła oczy do góry: była znudzona. Marfa Timofiejewna wydawała się zatroskana; Nastasja Karpowna biła pokłony aż do ziemi i wstawiała z jakimś nieśmiałym i delikatnym szelestem; Liza, jak stała, tak nie ruszała się z miejsca i nie odwracała; ze skupionego wyrazu jej twarzy można się było domyślić, że się gorąco i żarliwie modliła. Przykładając usta do krzyża po skończonym nabożeństwie pocałowała również dużą, czerwoną rękę popa. Maria Dmitriewna zaprosiła go na herbatę. Duchowny zdjął stulę, przybrał bardziej świecką minę i razem z paniami przeszedł do salonu. Potoczyła się rozmowa, niezbyt ożywiona. Pop wypił cztery filiżanki, bez ustanku wycierając chusteczką swoją łysinę; opowiedział też między innymi, że kupiec Awosznikow ofiarował siedemset rubli na pozłocenie „kompuły” cerkiewnej, i podał obecnym przepis przeciwko piegom.

Ławrecki początkowo przysiadł się do Lizy, ale ona zachowywała się poważnie, prawie surowo, i ani razu na niego nie spojrzała. Jakby umyślnie starała się go nie widzieć; ogarnął ją jakiś chłód, uroczysta powaga. Ławrecki nie wiadomo dlaczego chciał koniecznie się uśmiechnąć i powiedzieć

coś wesołego; ale w sercu miał niepokój, więc wyszedł wreszcie dziwiąc się w głębi duszy temu wszystkiemu... Czuł, że Liza kryła w sobie coś, czego nie mógł zrozumieć.

Innym razem Ławrecki, siedząc w salonie i słuchając przymilnej, ale nudnej paplaniny Gedeonowskiego, nagle sam nie wiedząc dlaczego obrócił się i uchwycił głębokie, uważne, pytające spojrzenie Lizy... To zagadkowe spojrzenie było skierowane na niego. Ławrecki myślał o nim później przez całą noc. Był zakochany nie jak młodzik, nie licowało z nim wzdychanie i łzy, zresztą Liza nie takie wzbudzała uczucia; ale miłość dla każdego wieku ma inny rodzaj cierpienia — i Ławrecki doświadczył ich w całej pełni.

XXXIII

Pewnego razu Ławrecki jak zwykle siedział u Kalitinów. Po męcząco upalnym dniu nastąpił taki piękny wieczór, że Maria Dmitriewna, mimo swej odrazy do przeciągów, kazała pootwierać wszystkie okna i drzwi do ogrodu i oświadczyła, że w karty grać nie będzie, że przy takiej pogodzie grzech grać w karty, że trzeba się rozkoszować naturą. Z gości był tylko Panszyn. Pod wpływem nastroju wieczornego, nie chcąc śpiewać przy Ławreckim, czując jednak w sobie coraz większy zapal artystyczny, zwrócił się ku poezji; dość dobrze, chociaż w sposób nazbyt wyuczony i pretensjonalny, zadeklamował kilka wierszy Lermontowa (w owym czasie Puszkina jeszcze nie zdążył ponownie wejść w modę) — i nagle, jakby się zawstydzony wylewu swych uczuć, zaczął w związku z słynną Dumą krytykować i gromić najmłodsze pokolenie; nie pominął też okazji, by opowiedzieć, jak on by to wszystko przerobił po swojemu, gdyby miał władzę w rękach.

— Rosja — mówił — została w tyle za Europą, musi ją dogonić. Powiadają, że jesteśmy młodzi — to bzdura. W dodatku nie mamy żadnych wynalazków. Sam Ch-w przyznaje, że nie wymyśliłmy nawet pułapki na myszy. A więc z konieczności musimy wszystko zapożyczać od innych. Jesteśmy chorzy, twierdzi Lermontow. Zgadzam się z nim. Ale jesteśmy chorzy dlatego, że staliśmy się tylko na pół Europejczykami, powinniśmy się leczyć tym, co stanowi przyczynę naszych niedomagań („le cadastre" — pomyślał Ławrecki). W Rosji — ciągnął dalej Panszyn — co tęższe głowy, les meilleurs têtes, dawno się o tym przekonały; wszystkie narody są w gruncie rzeczy jednakowe; należy tylko wprowadzić dobrze pomyślane instytucje społeczne — i sprawa załatwiona. Można się nawet dostosować do istniejących warunków, w jakich żyje lud; to jest nasze zdanie, zdanie ludzi, którzy są... (o mało nie powiedział; mężami stanu) na służbie państwowej. Ale proszę się nie obawiać: w razie potrzeby należycie pomyślane instytucje potrafią nadać odpowiednią formę tym warunkom.

Maria Dmitriewna z rozrzewnieniem potakiwała Panszynowi. „Taki mądry człowiek — myślała — przemawia w moim domu." Liza milczała, wsparta o okno, Ławrecki też się nie odzywał. Marfa Timofiejewna, grająca w kąciku w karty ze swoją przyjaciółką, mruzczała coś pod nosem. Panszyn przechadzał się po pokoju i perorował gładko, potoczyście, ale z jakimś ukrytym rozdrażnieniem: zdawać się mogło, że gromił nie całe pokolenie, tylko paru znanych mu ludzi. W ogrodzie Kalitinów, w wielkim krzewie bzu, gnieździł się słowik; jego pierwsze wieczorne trele rozlegały się w przerwach krasomówczego popisu Panszyna; pierwsze gwiazdy zabłysły na różowym niebie nad nieruchomymi wierzchołkami lip. Ławrecki wstał i zaczął oponować przeciwko wywodom Panszyna. Wywiązała się dyskusja. Ławrecki stawał w obronie młodości i samodzielności Rosji; składał siebie i swoje pokolenie na pastwę — ale ujmował się za nowymi ludźmi, za ich przekonaniem i pragnieniami. Panszyn odpowiadał ostro i nerwowo, oświadczył, że ludzie mądrzy powinni wszystko przerobić, i zagalopował się tak dalece, że zapomniawszy o swojej godności kamerjunktorskiej i karierze urzędniczej nazwał Ławreckiego zacofanym konserwatystą, a nawet zrobił aluzję — wprawdzie mocno zawoalowaną — do jego fałszywej sytuacji towarzyskiej. Ławrecki nie rozgniewał się, nie podniósł głosu (przypomniawszy sobie, że Michalewicz też go nazwał

zacofanym — tylko wolterianinem) — i z całym spokojem kolejno pozbywał wszystkie twierdzenia Panszyna. Dowiódł mu, że nie można robić skoków i wprowadzać sztucznych reform, nieusprawiedliwionych ani znajomością kraju ojczystego, ani rzeczywistą wiarą w ideał, choćby nawet źle pojęty; przytoczył jako przykład swoje własne wychowanie, żądał przede wszystkim szacunku dla mądrości ludu i poddania się jej nakazom — owego poddania się, bez którego niemożliwe jest również śmiałe przeciwstawienie się kłamstwu; w końcu zgodził się z postawionym mu zarzutem lekkomyślnego trwonienia czasu i sił.

— Pięknie, bardzo pięknie - zawołał wreszcie rozjątrzony Panszyn. — Pan, na przykład, wrócił do Rosji; no i cóż pan zamierza robić?

— Orać ziemię — odpowiedział Ławrecki — i starać się, żeby o ile możności najlepiej była zaorana.

— To rzecz chwalebna, niewątpliwie — przytaknął Panszyn. — Mówiono mi nawet, że pan już zdołał dużo osiągnąć w tej dziedzinie. Ale musi pan przyznać, że nie każdy jest zdolny do takiej pracy...

— Une nature poétique — wtrąciła się do rozmowy Maria Dmitriewna — oczywiście nie może orać... et puis pan, Włodzimierzu Nikołaiczu, powołany jest do czynienia wszystkiego en grand.

Tego było za wiele nawet dla Panszyna; zaciął się i zmienił temat rozmowy. Chciał ją sprowadzić na piękno gwieździstego nieba, na muzykę Schuberta — nic mu się jednak nie kleiło; skończył na tym, że zaproponował Marii Dmitriewnie, aby z nim zagrała w pikietę.

— Co? Teraz, kiedy taki ładny wieczór? — zaproponowała słabo, ale kazała przynieść karty.

Panszyn z trzaskiem rozerwał nową talię, a Liza i Ławrecki, jakby się umówiwszy, wstali i usiedli koło Marfy Timofiejewny. Poczuli się nagle tak szczęśliwi, że nawet bali się zostać we dwoje — a jednocześnie uświadomili sobie, że zakłopotanie, które ich dręczyło w ciągu ostatnich dni, znikło i więcej nie wróci. Staruszka poklepała ukradkiem Ławreckiego po policzku, figlarnie zmrużyła oczy i kilka razy kiwnęła głową, mówiąc szeptem:

— No, pokazałeś temu mądrali, dziękuję.

W pokoju wszystko ucichło; słychać było tylko słaby trzask woskowych świec i niekiedy uderzenie ręki po stole, okrzyk albo liczenie punktów — a przez otwarte okna, razem z rosistą świeżością, szerokimi falami napływała dźwięczna, zuchwale głośna pieśń słowika.

XXXIV

Liza nie wyrzekła ani jednego słowa w czasie dyskusji Ławreckiego z Panszynem, tylko uważnie się przysłuchiwała i była całą duszą po stronie Fiodora Iwanycza. Polityka interesowała ją bardzo mało, ale przesadnie pewny siebie ton, jakim rozprawiał urzędnik-światowiec (Panszyn nigdy jeszcze nie był tak wymowny), działał na nią odpychająco; jego pogarda względem Rosji oburzyła Lizę. Liza nigdy się nie zastanawiała nad tym, czy jest patriotką, ale chętnie przebywała w towarzystwie rodaków; rosyjski sposób bycia sprawiał jej radość; bez skrepowania, całymi godzinami gawędziła z rządcą, który przyjeżdżał do nich do miasta z majątku matki, gawędziła z nim jak z równym sobie, bez cienia wielkopańskiej łaskawości. Ławrecki to wyczuwał: nie wszcząłby dyskusji, gdyby chodziło tylko o Panszyna; mówił wyłącznie dla Lizy. Nic sobie nawzajem nie powiedzieli, nawet ich oczy rzadko się spotykały, ale oboje zrozumieli, że ten

wieczór bardzo ich zbliżył, zrozumieli, że mają wspólne upodobania i niechęci. Co do jednej tylko rzeczy różnili się; Liza jednak krzepiła się tajemną nadzieją, że nawróci go do Boga. Siedzieli obok Marfy Timofiejewny i niby przypatrywali się jej grze; nawet rzeczywiście się jej przypatrywali — a tymczasem serca ich biły szybciej i wszystko dokoła zdawało się istnieć tylko dla nich: dla nich śpiewał słowik, świeciły gwiazdy, cicho szeptały drzewa ukołysane i snem, i ciepłem, i rozkoszą lata. Ławrecki całkowicie poddawał się ogarniającemu go nastrojowi — i pełen był radości; ale żadne słowa nie wyrażą tego, co działo się w niewinnej duszy dziewczęcia. Było to tajemnicą dla niej samej, niechże więc zostanie tajemnicą i dla innych. Nikt nie wie, nikt nie widział i nigdy nie zobaczy, jak przyzwane do życia i kwitnienia ziarno dojrzewa i pęcznieje w łonie ziemi.

Wybiła godzina dziesiąta. Marfa Timofiejewna udała się na górę z Nastasją Karpowną. Ławrecki i Liza przeszli się po pokoju, stanęli przed otwartymi drzwiami do ogrodu, spojrzeli w ciemną dal, potem wzajemnie na siebie — i uśmiechnęli się; mieli ochotę spleść swoje dłonie i narozmawiać się do syta, ale zaraz wrócili do Marii Dmitriewny i do Panszyna, którzy zasiedzieli się przy pikiecie. Ostatni „król” skończył się wreszcie i gospodyni stękając i wzdychając wstała z wyścielanego poduszkami fotela. Panszyn wziął kapelusz, pocałował Marię Dmitriewną w rękę, zauważył, że innym szczęśliwym ludziom nic teraz nie przeszkadza spać albo upajać się czarem nocy, a on będzie musiał do rana ślęczeć nad głupimi papierami, złożył sztywny ukłon Lizie (nie przypuszczał, że Liza w odpowiedzi na jego oświadczenia każe mu czekać — i z tego powodu dąsał się na nią) — i wyszedł. Ławrecki podążył za nim. Koło bramy rozstali się. Panszyn zbudził swojego stangreta szturchnąwszy go końcem laski w kark, siadł do faetonu i odjechał. Ławrecki nie miał chęci iść do domu; ruszył za miasto, w pole. Noc była cicha i widna, chociaż księżyc jeszcze nie świecił. Długo wałęsał się po wilgotnej od rosy trawie; trafił na wąską ścieżynkę; poszedł nią. Ścieżka zaprowadziła go do długiego płotu, do furtki; spróbował pchnąć ją, sam nie wiedząc dlaczego; furtka słabo skrzypnęła i rozwarła się, jakby czekała na dotknięcie jego ręki. Ławrecki znalazł się w ogrodzie, zrobił kilka kroków po lipowej alei i nagle stanął zdumiony: poznał ogród Kalitinów.

Wszedł zaraz w czarną plamę cienia, który padał od gęstego krzewu leszczyny, i długo stał bez ruchu, dziwiąc się i wzruszając ramionami.

„To nie bez powodu” — pomyślał.

Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza; od strony domu nie dochodziły żadne dźwięki. Ławrecki ruszył ostrożnie naprzód. Wtem na zakręcie alei cały dom spojrzął na niego swoją mroczną fasadą; w dwóch tylko oknach na górze migotało światło: w pokoju Lizy płonąła świeca za białą firanką i w sypialni Marfy Timofiejewny tliła się przed ikoną czerwona lampka oliwna, kładąc równą powłokę blasku na złotej szacie; na dole szeroko rozdziawiały się drzwi na taras, otwarte na oścież. Ławrecki usiadł na drewnianej ławce, podparł się ręką i zaczął patrzeć na te drzwi i na okno Lizy. W mieście wybiła północ; w domu malutki zegar delikatnie wydzwonił dwunastą; stróż nocny odstukał swój werbel na desce. Ławrecki o niczym nie myślał, niczego nie oczekiwał; przyjemnie mu było znajdować się w pobliżu Lizy, siedzieć w jej ogrodzie na ławce, gdzie i ona nieraz siadywała... Światło zgasło w jej pokoju. — Dobranoc, moja miła — wyszeptał Ławrecki siedząc wciąż bez ruchu i nie odrywając oczu od pociemniałego okna.

Nagle światło ukazało się w jednym z okien parteru, zabłysło w drugim oknie, w trzecim... ktoś szedł ze świecą przez pokoje. „Czyżby to była Liza? Niemożliwe...” Ławrecki podniósł się nieco... Mignęła znajoma sylwetka i w salonie ukazała się Liza. W białej sukience, z nie rozplecionymi warkoczami na ramionach, powoli podeszła do stołu, nachyliła się nad nim, postawiła świeczkę i przez chwilę czegoś szukała; potem obróciwszy się twarzą do ogrodu, zbliżyła się do otwartych drzwi i stanęła na progu — smukła, zwiewna, biała. Dreszcz przejął Ławreckiego.

— Liza! — ledwo dosłyszalnie wymówiły jego wargi. Drgnęła i zaczęła wpatrywać się w ciemności.

— Liza! — powtórzył Ławrecki głośniejszym głosem i wyszedł z cienia alei.

Liza z lękiem wysunęła głowę i cofnęła się raptownie: poznała go. Po raz trzeci wymówił jej imię i wyciągnął do niej rękę. Zeszła po schodach do ogrodu.

— Pan? — powiedziała. — Pan tutaj?

— Tak... ja... niech pani mnie wysłucha... — wyszeptał Ławrecki i chwyciwszy ją za rękę zaprowadził do ławki.

Szła za nim bez oporu; jej blada twarz, nieruchome oczy, wszystkie jej ruchy wyrażały bezgraniczne zdumienie. Ławrecki posadził ją na ławce, a sam stanął przed nią.

— Nie miałem zamiaru tu przychodzić — zaczął — coś mnie jednak sprowadziło... Ja... ja... kocham panią — wyrzekł z mimowolnym przerażeniem.

Liza powoli spojrzała na niego; zdawało się, że dopiero w tej chwili zrozumiała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Chciała wstać, ale nie mogła i zakryła twarz rękoma.

— Liza — powiedział Ławrecki. — Liza — powtórzył i przypadł do jej nóg...

Ramiona Lizy zaczęły lekko drżeć, palce bladych rąk mocniej przycisnęły się do twarzy.

— Co pani jest? — spytał Ławrecki i usłyszał ciche łkanie. Serce zamarło mu w piersi... Zrozumiał, co oznaczały te łzy. — Czy to możliwe, żeby pani mnie kochała? — wyszeptał i dotknął jej kolan.

— Niech pan wstanie — rozległ się jej głos — niech pan wstanie, Fiodorze Iwanyczu. Co my oboje robimy?

Wstał i usiadł obok niej na ławce. Liza już nie płakała, tylko uważnie patrzyła na niego swoimi wilgotnymi oczami.

— Okropnie się boję; co my robimy? — powtórzyła.

— Kocham panią — powiedział znowu Ławrecki — gotów jestem poświęcić pani całe swoje życie.

Drgnęła, jakby ją coś boleśnie uraziło, i podniosła oczy ku niebu.

— Wszystko jest w ręku Boga — odrzekła.

— Ale pani mnie kocha, prawda? Będziemy szczęśliwi? Spuściła oczy; łagodnie przyciągnął ją do siebie, głowa jej opadła mu na ramię... Odchylił nieco swoją głowę i dotknął jej bladych ust.

W pół godziny później Ławrecki stał już przed furtką ogrodu. Znalazł ją zamkniętą i zmuszony był przeskoczyć przez płot. Wrócił do miasta i szedł uśpionymi ulicami. Uczucie nieoczekiwanej, wielkiej radości przepełniało jego duszę; wszystkie zwątpienia w nim ucichły. „Zgiń, przepadnij, ciemna maro przeszłości — myślał — ona mnie kocha, ona będzie moją.” Nagle wydało mu się, że w powietrzu, nad jego głową, zabrzmiały jakieś cudowne, triumfalne dźwięki. Staął: dźwięki rozległy się jeszcze wspanialej; popłynął potężny strumień melodii — a w tej melodii jak gdyby mówiło i śpiewało jego własne szczęście. Obejrzał się: dźwięki płynęły z dwóch górnych okien niewielkiego domu.

— Lemm! — krzyknął Ławrecki i pobiegł w kierunku domu. — Lemm! Lemm! — powtórzył głośno.

Dźwięki zamarły i postać starca, w szlafroku, z odsłoniętą piersią i rozwichrzonymi włosami, ukazała się w oknie.

— Aha! — powiedział z godnością. — To pan?

— Krzysztofie Fiodoryczu, co to za cudowna muzyka! Na miłość boską, niech mnie pan wpuści.

Starzec nie rzekłszy ani słowa, majestatycznym ruchem ręki cisnął z okna klucz od sieni. Ławrecki szybko wbiegł na górę, wszedł do pokoju i chciał się przywitać z Lemmem, ale ten rozkazującym gestem wskazał mu krzesło, zwięźle po rosyjsku oświadczył: — Proszę siadacz i słuchacz — sam zajął miejsce przy fortepianie i zaczął grać. Ławrecki dawno nie słyszał czegoś podobnego: słodka, namiętna melodia przenikała do serca od pierwszego dźwięku; była pełna blasku; czarowała natchnieniem, harmonią, pięknem, wzmagala się i cichła; głosiła o wszystkim, co jest na świecie drogie, bliskie, święte; tchnęła nieśmiertelnym smutkiem i oddalała się, by umrzeć w niebiosach. Ławrecki stał wyprostowany, znieruchomiały i błądzący z zachwytu. Te dźwięki po prostu wpijały się w jego duszę, dopiero co wstrząśniętą szczęściem miłości: te dźwięki same płonęły miłością. — Niech pan zagra jeszcze raz — prosił szeptem, gdy tylko przebrzmiał ostatni akord. Starzec rzucił na niego orle spojrzenie, uderzył się ręką w piersi, rzekł powoli w swoim ojczystym języku: — To ja stworzyłem, albowiem jestem wielkim muzykiem — po czym znowu odegrał swoją cudowną kompozycję.

W pokoju nie było świateł; blask wschodzącego księżyca padał ukośnie przez okna; dźwięcznie wibrowało w ciszy powietrze; małe, ubogie mieszkanko wydawało się tynią, a w srebrzystym półmroku natchniona głowa starca jaśniała jakby otoczona nimbem. Ławrecki podszedł do Lemma i uściskał go. Z początku Lemm nie odpowiedział na ten uścisk, nawet odsunął Ławreckiego łokciem. Długo, bez najmniejszego ruchu siedział i patrzył przed siebie wzrokiem surowym, niemal groźnym i tylko parę razy mruknął: aha! Wreszcie jego zmieniona twarz przybrała spokojny wyraz i wtedy dopiero w odpowiedzi na serdeczne gratulacje Ławreckiego najpierw uśmiechnął się trochę, a potem zaczął płakać, pochlipując cichutko jak dziecko.

— To dziwne — odezwał się po chwili — że pan właśnie teraz do mnie przyszedł; ale ja wiem, wszystko wiem.

— Pan wie o wszystkim? — wyjąkał zmieszany Ławrecki.

— Pan mnie słyszał — odparł Lemm — czy pan nie zrozumiał, że ja wszystko wiem?

Ławrecki do rana nie mógł zasnąć; całą noc przesiedział na łóżku. Liza też nie spała, bo się modliła.

Czytelnik wie o tym, w jakich warunkach rósł i rozwijał się Ławrecki; powiemy teraz kilka słów o wychowaniu Lizy. Skończyła dziesięć lat, gdy umarł jej ojciec; zresztą mało się nią zajmował. Zawalony interesami, stale zabiegający o powiększenie swojego majątku, zgryźliwy, gwałtowny, porywczy, nie skąpił grosza na guwernerów, nauczycieli, na ubranie i inne potrzeby dzieci, ale nie mógł znieść, jak sam mówił, „cackania się z dzieciakami” — zresztą, nie miał na to czasu: harował, załatwiał różne sprawy, mało sypiał, z rzadka grywał w karty, znowu harował; sam siebie porównywał z koniem zaprzężonym do młocarni. „Prędziutko zeszło mi życie”, wyrzekł na łożu śmierci, gorzko się uśmiechając wyschłymi wargami. Maria Dmitriewna w gruncie rzeczy zajmowała się Lizą niewiele więcej niż męż, chociaż chwaliła się przed Ławreckim, że sama wychowała swoje dzieci. Stroiła Lizę jak lalkę, przy gościach głaskała ją po główce, nazywała w oczy swoją mądrą i kochaną córeczką, i na tym wszystko się kończyło: leniwą damę męczyło wszelkie stałe zajęcie. Za życia ojca Liza znajdowała się pod opieką guwernantki, panny Moreau z Paryża, a po jego śmierci przeszła pod kierownictwo Marfy Timofiejewny. Marfę Timofiejewną czytelnicy już poznali; co się zaś tyczy panny Moreau, była to malutka, pomarszczona istota o ptasich ruchach i o ptasim mózdzku. Za młodu prowadziła dość wesoły a zarazem próżniaczy tryb życia; na starość zostały jej tylko dwie namiętności: do smakołyków i do kart. Gdy się najadła, a nie grała w karty i nie paplała — wpadała niemal w zupełną martwość: siedziała, patrzyła, oddychała, ale widać było, że żadna myśl nie przechodzi jej przez głowę. Pannę Moreau trudno nawet było nazwać dobrą: przecież ptaki nie bywają dobre. Wskutek zaś czy to lekkomyślnie spędzonej młodości, czy też wpływu atmosfery paryskiej, którą nasiąkla w dzieciństwie — miała w sobie coś w rodzaju nader pospolitego, taniutkiiego sceptycyzmu, wyrażającego się zwykle słowami: *tout ca c'est des betises*. Mówiła popsutym, ale czysto paryskim argot, nie plotkowała i nie grymasiła — czegoż więcej można wymagać od guwernantki? Na Lizę wywarła stosunkowo niewielki wpływ; o wiele większą rolę pod tym względem odegrała jej piastunka, Agafia Własjewa.

Dzieje tej kobiety były niezwykle. Pochodziła z chłopskiej rodziny; skończyła szesnaście lat, wydano ją za mąż za wieśniaka, ale od swoich sióstr-wieśniaczek jaskrawo się różniła. Ojciec jej był przez dwadzieścia lat starostą, dorobił się dużych pieniędzy i pobłażał córce we wszystkim. Agafia odznaczała się wyjątkową urodą; słynęła przy tym na całą okolicę jako największa strojnisia, jako rozsądna, wygadana i śmiała dziewczyna. Jej pan, Dymitr Piestow, ojciec Marii Dmitriewny, człowiek skromny i łagodny, zobaczył ją pewnego razu w czasie młócki, porozmawiał z nią i namiętnie się w niej zakochał. Agafia wkrótce owdowiała. Piestow, choć żonaty, wziął ją do siebie do domu i ubrał po pańsku. "Agafia od razu oswoiła się ze swoim nowym położeniem, jakby od dziecka nie znała innego życia. Zbielała, przytyła; jej ręce pod muślinowymi rękawami stały się pulchne jak u kupcowej. Samowar nie schodził ze stołu. Prócz jedwabiu i aksamitu nic innego nie chciała nosić, sypiała na puchowych piernatach. Pięć lat ciągnęło się to szczęśliwe życie, ale Dymitr Piestow umarł; wdowa po nim, niewiasta o miękkim sercu, szanując pamięć nieboszczyka nie chciała postąpić nieuczciwie ze swoją rywalką, tym bardziej że Agafia nigdy jej w niczym nie uchybiła; jednak wydała ją za pastucha i wyprawiła z domu. Minęły trzy lata. Jakoś pewnego razu, w upalny letni dzień, dziedziczka zajechała na folwark, gdzie się mieściły obory. Agafia poczęstowała ją taką świetną, zimną śmietanką, tak skromnie się zachowywała i sama była tak schludna, wesoła, ze wszystkiego zadowolona, że pani przywróciła ją do łask i pozwoliła jej przychodzić do dworu. A po upływie kilku miesięcy tak się do niej przywiązała, że zrobiła ją klucznicą i powierzyła jej prowadzenie całego gospodarstwa domowego. Agafia znów nabrała znaczenia, przytyła i wydelikatniała; pani darzyła ją pełnym zaufaniem. Minęło jeszcze pięć lat. Nieszczęście po raz drugi spadło na Agafię. Jej mąż, któremu wyrobiła miejsce lokaja, rozpił się, zaczął znikać z domu i skończył na tym, że ukradł sześć srebrnych łyżek i schował je — czekając

na okazję spieniężenia — do kufra żony. Kradzież wykryto. Jej sprawcę odesłano z powrotem do obory, Agafia zaś znów wpadła w niełaskę; nie wypędzono jej ze dworu, ale odebrano klucze, zrobiono ją szwaczką, a zamiast czepka kazano nosić chustkę. Ku zdziwieniu wszystkich Agafia zniosła ten cios z największą uległością. Miała już wtedy przeszło trzydzieści lat, wszystkie dzieci jej poumieraly, mąż także niedługo żył. Nadszedł czas, by się opamiętać, i Agafia się opamiętała. Zrobiła się ogromnie małowówna i nabożna, nie opuszczała ani jednego porannego nabożeństwa, ani jednej mszy, porozdawała swoje najlepsze suknie. Piętnaście lat spędziła cicho i spokojnie, z nikim się nie kłócąc, każdemu ustępując. Gdy jej ktoś nauragał — ona tylko się pokłoniła i podziękowała za pouczenie. Pani dawno jej przebaczyła i przywróciła ją do łask, nawet podarowała własny czepek; ale Agafia sama nie chciała zdjąć chustki i ciągle chodziła w ciemnej sukni; a po śmierci dziedziczki stała się jeszcze skromniejsza, jeszcze potulniejsza. Rosjanina równie łatwo trzymać w strachu, jak i do siebie przywiązać; ale zasłużyć na jego szacunek jest bardzo trudno: nie każdy i tylko powoli może go sobie zdobyć. Agafię szanowali wszyscy domownicy, nikt nie wspominał o jej dawnych grzechach, jak gdyby zostały pogrzebane w ziemi razem ze starym dziedzicem.

Zostawszy mężem Marii Dmitriewny, Kalitin chciał od razu powierzyć Agafii prowadzenie gospodarstwa domowego, ale ta stanowczo odrzuciła „pokusę”; Kalitin ją ofuknął, a ona nisko mu się pokłoniła i wyszła. Mądry Kalitin rozumiał ludzi; zrozumiał też Agafię i nie zapomniał p niej. Gdy się przeniósł do miasta, namówił ją, aby została piastunką Lizy, która właśnie skończyła cztery lata.

Lizę z początku przestraszyła poważna, surowa twarz nowej piastunki, ale szybko się do niej przyzwyczaiła i mocno ją pokochała. Liza była dzieckiem nad wiek poważnym; rysy jej twarzyczki przypominały twarde, regularne oblicze Kalitina; tylko oczy miała nie ojcowskie; świeciły spokojną uwagą i dobrocią, co się rzadko zdarza u dzieci. Nie lubiła się bawić lalkami, śmiała się niezbyt głośno i niezbyt długo, zachowywała się grzecznie. Zamyślała się dość rzadko, ale nigdy bez powodu; milkła na chwilę, a potem zazwyczaj zwracała się do kogoś ze starszych z pytaniem, które świadczyło, że jej główka usiłowała sobie wytłumaczyć jakieś nowe zjawisko. Bardzo prędko przestała seplenić i już w czwartym roku życia mówiła zupełnie poprawnie. Ojca się bała; uczucia jej względem matki były dość nieokreślone — nie bała się jej, ale nie przymilała się do niej. Zresztą do Agafii też się nie przymilała, chociaż ją jedną tylko naprawdę kochała; Agafia nigdy nie rozstawała się z Lizą. Dziwnie było widzieć je razem. Najczęściej zdarzało się tak: Agafia, cała w czerni, w ciemnej chustce na głowie, z twarzą wychudłą, żółtą jak воск, ale wciąż jeszcze piękną i wyrazistą, siedzi wyprostowana i robi na drutach pończochę; u jej nóg w małym foteliku siedzi Liza i też jest czymś zajęta albo podniósłszy na piastunkę swoje jasne oczy słucha z uwagą, co jej tamta opowiada; Agafia zaś nie opowiada bajek: miarowym, jednostajnym głosem mówi o życiu Matki Boskiej, o życiu Świętych Pańskich, męczenników i pustelników; opowiada o tym, jak święci mieszkali na pustyniach, jak się ratowali od prześladowań, jak znosili głód i niedostatek — i królów się nie bali, wierzyli w Pana Jezusa; jak im ptaki niebieskie przynosiły pożywienie i jak ich słuchały dzikie zwierzęta; jak na tych miejscach, gdzie ich krew spłynęła, wyrastały kwiaty. — Laki? — spytała raz pewnego Liza, która bardzo lubiła kwiaty. Agafia mówiła z Lizą poważnie i pokornie, jakby sama czuła, że nie jest godna wymawiać takich wielkich i świętych słów. Liza ją słuchała — i obraz wszechobecnego, wszechwiedzącego Boga z jakąś słodką siłą wciskał się do jej duszy, napełniał ją szlachetnym, świątobliwym lękiem, a Chrystus stawał się dla niej kimś bliskim, znajomym, niemal krewnym; Agafia nauczyła ją też modlić się. Czasami budziła Lizę o świcie, pośpiesznie ją ubierała i po kryjomu prowadziła na ranne nabożeństwo; Liza szła za nią na paluszkach, prawie z zapartym tchem; rześkość i półmrok poranka, chłód i pustka cerkwi, sama tajemniczość tych niespodzianych wycieczek, powrót do domu, do łóżka, z zachowaniem środków ostrożności — cała ta mieszanina rzeczy zakazanych, dziwnych, świętych działała na wyobraźnię

dziewczynki, przenikała do głębi jej istotę. Agafia nigdy nikogo nie potępiała i Lizy też nie karciała za figle. Kiedy była z czegoś niezadowolona, milczała tylko i Liza rozumiała to milczenie; z bystrą przenikliwością dziecka rozumiała także doskonale, kiedy Agafia była niezadowolona z innych — z Marii Dmitriewny lub nawet z Kalitina. Przeszło trzy lata Agafia opiekowała się Lizą; później ustąpiła miejsca pannie Moreau; ale płocha Francuzka ze swym oschłym sposobem postępowania i okrzykami: *tout ca c'est des bêtises* — nie mogła wyprzeć z serca Lizy uczucia dla ukochanej piastunki: zasiane ziarno puściło zbyt głęboko korzenie. Przy tym Agafia, chociaż przestała bezpośrednio opiekować się Lizą, pozostała jednak w domu i często widywała swoją pupilkę, która ufała jej po dawnemu.

Agafia nie mogła jednak zjednać sobie Marfy Timofiejewny, kiedy ta przeniosła się do domu Kalitinów. Surowa powaga dawnej „dziedzicowej kochanicy” drażniła porywczą i samowolną staruszkę. Agafia wyprosiła sobie pozwolenie na odbycie pielgrzymki i jak poszła, tak nie wróciła. Słuch niejasny chodził między ludźmi, że przystała do raskolników i osiadła w którejś z ich pustelni. Ale ślad, jaki zostawiła w duszy Lizy, nie zatarł się z biegiem czasu. Liza po dawnemu gorliwie chodziła na nabożeństwa, modliła się z rozkoszą, z jakimś opanowanym, wstydliwym uniesieniem. Maria Dmitriewna w duchu niemało się temu dziwiła, nawet sama Marfa Timofiejewna, chociaż w niczym nie kępowała Lizy, starała się jednak powściągnąć jej żarliwość i nie pozwalała jej za długo klęczeć i bić pokłonów; że to niby nie przystoi szlachciance. Liza uczyła się dobrze, właściwie mówiąc — pilnie; żadnymi wyjątkowymi zdolnościami ani wybitnym umysłem Pan Bóg jej nie obdarzył: nic jej nie przychodziło z łatwością. Ładnie grała na fortepianie, ale tylko Lemm wiedział, co ją to kosztowało trudu. Czytała niezbyt wiele, nie miała „żadnych własnych słów”, ale miała własne myśli i szła przez życie własną drogą. Nie darmo podobna była do ojca; jej ojciec też nie pytał nikogo, co mu wypada lub nie wypada czynić. Tak rosła — spokojnie, powoli, tak doszła do dziewiętnastu lat. Była niezwykle urocza, sama o tym nie wiedząc. W każdym jej ruchu przejawiał się mimowolny, trochę naiwny wdzięk; głos jej dźwięczał srebrem szczęśliwej młodości, najmniejsze zadowolenie z czegoś wywoływało na jej usta powabny uśmiech, przydawało głębokiego blasku i jakiejś utajonej dobroci jej promiennym oczom. Mając głęboko wpojone poczucie obowiązku, bojąc się obrazić lub dotknąć kogokolwiek, jako istota o iście gołęmbim sercu, lubiła wszystkich i nikogo w szczególności. Tylko Boga kochała i wielbiła żarliwie, nieśmiało i czule... Ławrecki pierwszy zamącił spokój jej wewnętrzznego życia. Taka była Liza.

XXXVI

Nazajutrz o dwunastej Ławrecki udał się do Kalitinów. Po drodze spotkał Panszyna, który przegalopował obok niego wierzchem, nacisnąwszy kapelusz niemal aż na brwi. Kalitinowie nie przyjęli Ławreckiego — po raz pierwszy od czasu, kiedy się z nimi poznał. Maria Dmitriewna „była cierpiąca” — tak mu zakomunikował lokaj — „na migrynę”. Marfy Timofiejewny i Lizawieży Michajłowny nie było w domu. Ławrecki pochodził koło ogrodu w niejasnej nadziei, że spotka Lizę, ale nie zobaczył nikogo, przy czym lokaj jakoś z ukosa popatrzył na niego. Ławrecki wrócił po dwóch godzinach i otrzymał taką samą odpowiedź. Wydawało się rzeczą nieprzyzwoitą składać wizytę po raz trzeci tego samego dnia — postanowił więc pojechać na wieś, gdzie miał dość dużo spraw do załatwienia. W drodze układał różne plany, co jeden to piękniejszy; ale w ciotczynej wiosce naszedł na niego smutek; Ławrecki wszczął pogawędkę z Antonem; tymczasem starzec jak na złość miał również niewesołe myśli. Opowiedział Ławreckiemu, jak Głafira Pietrowna przed śmiercią sama się ugryzła w rękę — i pomilczawszy chwilę dodał z westchnieniem: — Każdy człowiek, proszę łaski pana, musi sam siebie pożreć. — Było już późno, kiedy Ławrecki ruszył w powrotną drogę. W myśli usłyszał wczorajszą muzykę, obraz Lizy powstał w jego duszy i napełnił ją łagodnym światłem; doznał znowu głębokiego wzruszenia, gdy

sobie uprzytomnił po raz nie wiedzieć który, że jest kochany. Do swego miejskiego domu zajechał uspokojony i szczęśliwy.

Pierwszą rzeczą, która go uderzyła, gdy wszedł do przedpokoju, był nieznośny dla niego zapach paczuli. Pod ścianami stały jakieś wysokie kufry i skrzynie. Twarz kamerdynera, który wybiegł na jego powitanie, wydała mu się dziwnie zmieniona. Nie zdając sobie sprawy ze swych wrażeń przekroczył próg salonu... W tej samej chwili z kanapy podniosła się dama w czarnej jedwabnej sukni z wolantami i przyłożywszy batystową chusteczkę do bladej twarzy, postąpiła kilka kroków, schyliła starannie uczesaną, pachnącą głowę i padła mu do nóg... 'Dopiero wtedy Ławrecki poznał ją: to była jego żona. Zaparło mu oddech... Oparł się o ścianę.

— Teodorze, nie wypędzaj mnie! — powiedziała po francusku i jej głos jakby nożem ugodził go w serce.

Patrzył na nią bezmyślnie, jednak od razu, mimo woli zauważył, że twarz jej pobladła i obrzękła.

— Teodorze! — ciągnęła dalej, wznosząc wzrok ku górze i ostrożnie załamując swoje przedziwne piękne palce z różowymi, polerowanymi paznokciami. — Teodorze, jestem wobec ciebie winna, strasznie winna, jestem po prostu zbrodniarką, ale wysłuchaj mnie: męczą mnie wyrzuty sumienia, nie mogę znieść tego dłużej, nie mogę pogodzić się ze swoim położeniem; ile razy chciałam już zwrócić się do ciebie, ale bałam się twojego gniewu; postanowiłam zerwać wszystkie więzy łączące mnie z przeszłością... puis j'ai été si malade — byłam taka chora — dodała przesuwając ręką po czole i po policzku — skorzystałam z pogłosek o mojej śmierci, rzuciłam wszystko; i nigdzie się nie zatrzymując, dzień i noc śpieszyłam tutaj; długo się wahałam, czy mam stanąć przed tobą, moim sędzią — paraître devant vous, mon juge; ale postanowiłam w końcu, przypomniawszy sobie twoją niezmienną dobroć, udać się do ciebie; dowiedziałam się o twoim adresie w Moskwie. Wierz mi — ciągnęła dalej, wolniutko podnosząc się z podłogi i siadając na samym brzeжку fotela — że często myślałam o śmierci i znalazłabym w sobie dość odwagi, by się pozbawić życia — ach, życie jest dla mnie teraz ciężarem ponad siły! — ale powstrzymywała mnie myśl o mojej córce, o mojej maleńkiej Adzie; biedna kruszynka przyjechała tutaj razem ze mną, śpi w sąsiednim pokoju! Jest bardzo zmęczona — zobaczysz ją; ona przynajmniej niczym wobec ciebie nie zawiniła, a ja jestem taka nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa! — wykrzyknęła pani Ławrecka i zalała się łzami.

Ławrecki wreszcie oprzytomniał; odsunął się od ściany i ruszył ku drzwiom.

— Odchodzisz? — zawołała z rozpaczą jego żona. — O, to jest okrutne! Nie powiedziawszy mi ani jednego słowa, nie zrobiwszy ani jednej wymówki... Ta pogarda mnie zabija, to okropne!

Ławrecki przystanął.

— Co pani chce usłyszeć ode mnie? — spytał bezbarwnym głosem.

— Nic, nic — podchwyciła żywo — wiem, że nie mam prawa niczego żądać; nie jestem szalona, proszę mi wierzyć; nie liczę, nie śmiem liczyć na przebaczenie, ośmielam się tylko prosić, żeby pan mi rozkazał, co mam robić, gdzie mam mieszkać? Spełnię każdy pana rozkaz jak niewolnica, nawet gdyby ten rozkaz był dla mnie najprzykrzejszy.

— Nie mogę pani dawać żadnych rozkazów — odparł tym samym głosem Ławrecki. — Pani wie, że między nami wszystko skończone... tym bardziej teraz... Może pani mieszkać, gdzie się pani podoba, a jeśli pensja pani nie wystarcza...

— Ach, po cóż mówić takie okropne słowa — przerwała mu Warwara Pawłowna. — Proszę się zlitować nade mną, chociażby... chociażby przez wzgląd na tego aniołka... — Mówiąc to zerwała się, wybiegła do drugiego pokoju i natychmiast wróciła niosąc na rękach malutką, nader wytwornie ubraną dziewczynkę. Bujne, jasnokasztanowate kędziory spadały na jej ładną, rumianą buzię, na wielkie, czarne, zaspane oczy; dziewczynka uśmiechała się, mrużyła powieki od światła i pulchną rączką otaczała matczyną szyję.

— Ada, vois, c'est ton père — powiedziała Warwara Pawłowna odgarniając jej włosy z oczu i mocno ją całując — prie le avec moi.

— C'est ca, papa? — zaszczębiotało dziecko.

— Oui, mon enfant; riest ce pas, que tu l'aimes? Tego już było Ławreckiemu za wiele.

— W jakim to melodramacie jest zupełnie taka sama scena? — spytał szorstko i wyszedł.

Warwara Pawłowna chwilę stała w miejscu, z lekka wzruszyła ramionami, zaniosiła dziewczynkę do drugiego pokoju, rozebrała ją i ułożyła do snu. Potem wzięła książkę, siadła przy lampie, poczekała z godzinę, aż wreszcie sarna poszła spać.

— Eh bien, madame? — spytała służąca, Francuzka przywieziona z Paryża, zdejmując z niej gorset.

— Eh bien, Justine — odparła pani Ławrecka. — Bardzo się zestarzał, ale zdaje mi się, że pozostał tak samo zacny, jak był kiedyś. Podaj mi rękawiczki na noc, przygotuj na jutro szarą suknię wizytową, a nie zapomnij też o kotlecikach baranich dla Ady... Prawda, że tutaj trudno o te rzeczy, ale trzeba poszukać.

— A la guerre, comme la à guerre — rzekła wesoło Justyna i zgasiła świecę.

XXXVII

Ławrecki przeszło dwie godziny błąkał się po ulicach miasta. Przypomniawszy sobie noc spędzoną w okolicach Paryża. Serce mu się rozdzierało, w głowie puste i jakby ogłuszonej wirowały wciąż te same myśli, ponure, głupie, złe. „Ona żyje, jest tutaj” — szeptał ze wzrastającym ciągle zdumieniem. Czuł, że utracił Lizę. Żółć go zalewała; zbyt nieoczekiwanie poraził go ten cios. Jak mógł tak łatwo uwierzyć w głupią paplaninę felietonisty, w świstek papieru? „A gdybym nawet nie uwierzył — przeszła mu przez głowę myśl — czy coś by się zmieniło? Nie wiedziałbym, że Liza mnie kocha; ona sama by o tym nie wiedziała.” Nie mógł od siebie odpędzić wspomnienia postaci, głosu, wzroku swojej żony... i przeklinał siebie, przeklinał wszystko na świecie.

Zmęczony, poszedł nad ranem do Lemma. Długo nie mógł się dostukać; nareszcie w oknie ukazała się głowa skrzywionego, pomarszczonego starca w szlafmicy, całkiem teraz niepodobna do owej poważnej, natchnionej głowy, która dwadzieścia cztery godziny temu skinęła po królewsku na Ławreckiego z wysokości majestatu artysty.

— Czego pan sobie życzy? — spytał Lemm. — Nie mogę przecież grać co noc, niedawno zażyłem dekolt. — Widocznie jednak twarz Ławreckiego była bardzo zmieniona, bo starzec zrobił sobie z ręki daszek nad oczyma, wpatrzył się w swojego nocnego gościa i wpuścił go.

Ławrecki wszedł do pokoju i osunął się na krzesło; starzec stanął przed nim, założywszy poły swego pstrokatego, zniszczonego szlafroka, kurcząc się i poruszając wargami.

— Przyjechała moja żona — powiedział Ławrecki, podniósł głowę i nagle sam się mimo woli roześmiał.

Twarz Lemma wyraziła zdumienie, ale nawet się nie uśmiechnął, tylko szczerzej zawinął się w szlafrok.

— Przecież pan nie wie... — ciągnął dalej Ławrecki — wyobrażałem sobie... przeczytałem w gazecie, że umarła...

— O... a dawno pan to przeczytał? — spytał Lemm.

— Niedawno.

— O... — powtórzył starzec i podniósł wysoko brwi. — I przyjechała.

— Przyjechała. Jest teraz w moim mieszkaniu, a ja... jestem najniezwyklejszym z ludzi.

I znowu się uśmiechnął.

— Pan jest nieszczęśliwy — powtórzył wolno Lemm.

— Krzysztofie Fiodoryczu... — zaczął Ławrecki — czy pan podjąłby się doręczenia listu?

— Hm! Czy mógłbym wiedzieć komu? — Lizaw...

— A, tak, tak, rozumiem. Dobrze. A kiedy mam to zrobić?

— Jutro, o ile można jak najwcześniej.

— Hm! Można by posłać Katarzynę, moją kucharkę. Nie, sam pójde.

— I przyniesie mi pan odpowiedź?

— I przyniosę odpowiedź. Lemm westchnął.

— Tak, mój biedny, młody przyjacielu, pan jest istotnie człowiekiem nieszczęśliwym.

Ławrecki skreślił parę słów do Lizy. Powiadomił ją o przyjeździe żony, prosił, by wyznaczyła mu spotkanie — i padł na wąską kanapkę, twarzą do ściany. A starzec położył się do łóżka i długo się przewracał kaszląc i popijając od czasu do czasu swój dekolt.

Nadszedł ranek; obydwaj wstali i dziwnym wzrokiem popatrzyli wzajemnie na siebie. Ławrecki miał w tej chwili ochotę popełnić samobójstwo. Kucharka przyniosła im obrzydliwej kawy. Wybiła godzina ósma. Lemm włożył kapelusz i wyjaśniwszy Ławreckiemu, że lekcję u Kalitinów powinien odbyć o dziesiątej, ale że znajdzie wystarczający pretekst do wcześniejszego zjawienia się w ich domu — wyszedł. Ławrecki znowu rzucił się na kanapę i znowu na samym dniu jego duszy zawrzał gorzki śmiech. Myślał o tym, jak żona wygnała go z domu; wyobrażał sobie położenie Lizy, przymykał oczy i zakładał ręce pod głowę. Wreszcie Lemm powrócił i przyniósł

mu skrawek papieru, na którym Liza napisała ołówkiem co następuje: „Dzisiaj nie będziemy się mogli zobaczyć; może — jutro wieczorem. Adieu.” Ławrecki dość oschle i z roztargnieniem podziękował Lemmowi i udał się do swego mieszkania.

Zastał żonę przy śniadaniu. Ada, z włosami ułożonymi w piękne pukle, ubrana w bielutką sukienkę z niebieskimi wstążkami, jadła kotlecik z baraniny. Gdy tylko Ławrecki wszedł do pokoju, Warwara Pawłowna natychmiast wstała i z wyrazem pokory na twarzy zbliżyła się do niego. Ławrecki poprosił ją do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i zaczął chodzić tam i z powrotem; Warwara Pawłowna usiadła, skromnie złożyła ręce i spoglądała na męża swoimi, wciąż jeszcze pięknymi, chociaż z lekka podmalowanymi oczyma.

Ławrecki długo nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa: czuł, że nie panuje nad sobą; widział wyraźnie, że Warwara Pawłowna wcale się go nie lęka, tylko udaje, że gotowa za chwilę zemdleć.

— Proszę pani — zaczął wreszcie, z trudem oddychając i chwilami zaciskając zęby — nie ma tu co owijać w bawełnę; nie wierzę w szczerą pani skruchy, a gdybym nawet w nią wierzył, to i tak nasze ponowne zbliżenie, wspólne życie uważałbym za niemożliwe.

Warwara Pawłowna zacisnęła usta i zmrużyła oczy. „Czuje wstręt do mnie — pomyślała — wszystko skończone! Przestałam dla niego istnieć jako kobieta.”

— Niemożliwe — powtórzył Ławrecki i zapiął się pod szyję. — Nie wiem, co panią skłoniło do przyjazdu tutaj, pewno zabrakło pani pieniędzy.

— Ach, pan mnie obraża — wyszeptała Warwara Pawłowna.

— Czy tak, czy owak — jest pani, niestety, moją żoną. Nie mogę pani wypędzić... więc proponuję takie wyjście. Może pani zaraz dzisiaj, jeśli pani chce, udać się do Ławryków; może pani tam zamieszkać, jest tam, jak pani wiadomo, ładny dom; będzie pani miała całkowite utrzymanie prócz pensji... Czy pani się zgadza?

Warwara Pawłowna przyłożyła haftowaną chusteczkę do twarzy.

— Powiedziałam już panu — rzekła, nerwowo krzywiąc wargi — że zgodzę się na wszystko, cokolwiek zechce pan ze mną zrobić; tym razem pozostaje mi jeszcze zadać jedno pytanie: czy pan pozwoli przynajmniej, że panu podziękuję za jego wspaniałomyślność?

— Obejdzie się bez podziękowań, tak będzie daleko lepiej — oświadczył z pośpiechem Ławrecki. — A więc — ciągnął dalej zbliżając się do drzwi — mogę liczyć na to, że...

— Jutro będę w Ławrykach — zapewniła go Warwara Pawłowna, podnosząc się i stając w pozie pełnej szacunku. — Ale Fiodorze Iwanyczu... (Już go więcej nie nazywała Teodorem.)

— Czego pani sobie życzy?

— Wiem, że nie zasłużyłam na przebaczenie, ale czy mogę mieć nadzieję, że stopniowo... z biegiem czasu...

— Ech, Warwara Pawłowno — przerwał jej Ławrecki — przecież pani jest mądrą kobietą, a ja się też nie uważam za głupca; wiem, że o to pani bynajmniej nie chodzi. Przebaczyłem pani dawno, ale między nami zawsze istniała przepaść.

— Potrafię być posłuszna — odparła Warwara Pawłowna i schyliła głowę. — Nie zapomniałam o swojej winie; nie zdziwiłabym się, gdybym się dowiedziała, że pan z zadowoleniem przyjął wiadomość o mojej śmierci — dodała potulnie, z lekka wskazując ręką na leżący na stole, zostawiony przez Ławreckiego numer gazety.

Fiodor Iwanycz drgnął: felieton był zakreślony ołówkiem. Warwara Pawłowna patrzyła na męża z jeszcze większą pokorą. W owej chwili wyglądała bardzo ładnie. Szara paryska suknia zgrabnie przylegała do jej gibkiej, niemal dziewczęcej talii; jej smukła, delikatna szyja otoczona białym kołnierzykiem, miarowo falująca pierś, ręce bez bransoletek i pierścionków — cała jej postać, od połyskliwych włosów aż do czubka ledwo wystającego bucika, była tak wytworna...

Ławrecki obrzucił ją nienawistnym wzrokiem, o mało nie krzyknął: brava!, o mało jej nie zdzielił pięścią po głowie — i wyszedł. W godzinę później jechał już do Wasiliewskiego, a w dwie godziny później Warwara Pawłowna wynajęła najlepszą w mieście karetkę, włożyła prosty słomkowy kapelusz z czarną woalką i skromną mantylę, powierzyła Adę Justynie i udała się do Kalitinów; rozpytując uprzednio służbę dowiedziała się, że jej mąż bywał u nich codziennie.

XXXVIII

Dzień przyjazdu żony Ławreckiego do O***, ów niewesoły dla niego dzień, był również ciężkim dniem dla Lizy. Nie zdążyła zejść na dół i przywitać się z matką, gdy za oknem rozległ się tętent kopyt. Liza z podświadomym strachem zobaczyła Panszyn wjeżdżającego na dziedziniec. „Zjawił się tak wcześnie, żeby otrzymać ostateczną odpowiedź” — pomyślała i nie omyliła się: pokręciwszy się po salonie Panszyn zaproponował jej przechadzkę po ogrodzie i poprosił Lizę, by rozstrzygnęła jego los. Liza zdobyła się na odwagę i oznajmiła mu, że nie może zostać jego żoną. Panszyn wysłuchał do końca, stojąc bokiem do niej, i nacisnąwszy na czoło kapelusz, grzecznie, ale zmienionym głosem zapytał, czy to jest jej ostatnie słowo i czy nie dał jakiegoś powodu do podobnej zmiany w jej myślach — potem przycisnął rękę do oczu, krótko i gwałtownie westchnął i oderwał rękę od twarzy. — Nie chciałem postępować w utarty sposób — powiedział zdławionym głosem — chciałem sobie znaleźć towarzyszkę życia kierując się wyłącznie popędem serca; widocznie jednak musi być inaczej. Żegnajcie, moje marzenia! — złożył głęboki ukłon Lizie i wrócił do domu.

Liza miała nadzieję, że Panszyn zaraz odjedzie, ale on poszedł do gabinetu Marii Dmitriewny i przesiedział tam prawie godzinę. Odchodząc powiedział Lizie: — Votre mère vous appelle; adieu à jamais... — dosiadł konia i zaraz od ganku ruszył galopem. Liza weszła do Marii Dmitriewny i zastała ją we łzach: Panszyn zakomunikował jej o swoim nieszczęściu.

— Dlaczego zadałaś mi taki cios? Dlaczego zadałaś mi taki cios? — tymi słowami zaczęła rozwodzić zale strapiona wdowa. — Kogo byś jeszcze chciała? Dlaczego Panszyn nie miałby zostać twoim mężem? Kamerjunker! Za mało ci jeszcze? W Petersburgu mógłby się ożenić z każdą damą dworu. A ja tak liczyłam na to, tak liczyłam! Kiedyż się zmieniłaś w stosunku do niego? Ktoś cię musiał zbuntować — sama byś na podobny pomysł nie wpadła. Czy to przypadkiem nie tamten błazen? Też sobie znalazłaś doradcę! A ten nieboraczek — ciągnęła dalej Maria Dmitriewna — mimo całego smutku jest dla mnie z takim uszanowaniem, taki uważający! Obiecał, że mnie nie opuści. Ach, ja tego nie przeżyję! Och, głowa mnie rozboleła śmiertelnie! Przyślij mi Pałaszę. Do

grobu mnie wpędzisz, jeśli się nie opamiętasz, słyszysz? — I nazwawszy ją ze dwa razy niewdzięcznicą Maria Dmitriewna odprawiła Lizę.

Liza udała się do swojego pokoju. Ale nie zdążyła jeszcze odpocząć po rozmowie z Panszynem i z matką, kiedy zważyło się na nią nowe nieszczęście, i to z tej strony, z której go się najmniej spodziewała. Marfa Timofiejewna weszła do jej pokoju i natychmiast zatrzasnęła za sobą drzwi. Staruszka była blada, czepek miała zsunięty na bok, jej oczy niezwykle błyszczały, a ręce i wargi trzęsły się bez przerwy. Liza zdumiała się: nigdy jeszcze nie widziała swojej mądrej i zrównoważonej ciotki w takim stanie.

— Pięknie, moja panno — zaczęła Marfa Timofiejewna drżącym i urywanym szeptem — pięknie! Ale kto cię tego nauczył... Daj mi wody, nie mogę mówić.

— Proszę się uspokoić, ciotuniu; co się stało? — pytała Liza podając jej szklanekę wody. — Przecież ciocia sama, zdaje się, niezbyt lubiła pana Panszyna.

Marfa Timofiejewna odstawiła szklanekę.

— Nie mogę pić; powybijam sobie ostatnie zęby. Jaki znowu Panszyn? Co Panszyn ma z tym wspólnego? Powiedz no mi lepiej, kto cię nauczył wyznaczać schadzki po nocach, he?

Liza zbladła.

— Tylko mi się nie próbuj wykręcać — ciągnęła dalej Marfa Timofiejewna. — Szuroczka sama wszystko widziała i powiedziała mi. Zabroniłam jej paplać, a co do prawdomówności, to można na niej polegać.

— Toteż ja się nie wykręcam, ciociu — rzekła Liza ledwo dosłyszalnym głosem.

— A-a! To takie sprawy? Wyznaczałaś schadzkę temu staremu grzesznikowi, temu obłudnikowi?

— Nie.

— Więc jakże się to stało?

— Zeszłam na dół do salonu po książkę; on był w ogrodzie i zawołał mnie.

— I tyś poszła? Pięknie. Kochasz go czy co?

— Kocham

odpowiedziała cichym głosem Liza.

— Matko Przenajświętsza! Ona go kocha! — Marfa Timofiejewna zerwała sobie z głowy czepek.

— Kocha żonatego mężczyznę! No, proszę! Kocha!

— Mówił mi... — zaczęła Liza.

— Co ci mówił ten gagatek, co-o?

— Mówił mi, że jego żona umarła.

Marfa Timofiejewna przeżegnała się dwa razy.

— Panie, świeć nad jej duszą — wyszeptała — płocha z niej była kobiecinka, lepiej o tym nie wspominać. No, no! A więc został wdowcem. Widzę, że czasu nie marnuje. Jednej żony się pozbył i zaraz bierze drugą. Niewiniątko, cicha woda! Ale ci powiem, że za moich czasów, kiedy byłam panną, dziewczyny srodze pokutowały za takie figle. Nie gniewaj się na mnie, kochaneczko, tylko głupcy obrażają się za prawdę. Dzisiaj go nawet nie chciałam przyjąć. Kocham go, ale tego mu nigdy nie daruję. Widzicie go — wdowiec! Daj no mi wody... A że Panszyna odesłałaś z kwitkiem, za to mi się podobasz. Tylko nie wysiaduj po nocach z tymi kozłami rogatymi, z mężczyznami; nie rób mi przykrości! Bo pamiętaj, że ja nie tylko umiem pieścić, ale i chłostać. Wdowiec!

Marfa Timofiejewna wyszła, a Liza usiadła w kącie i zapłakała. Zrobiło się jej ciężko na duszy: nie zasłużyła sobie na takie upokorzenie. Niewesoło zapowiadała się jej miłość: od wczorajszego wieczora płakała już po raz drugi. Ledwo się w jej sercu narodziło to nowe, nieoczekiwane uczucie, a już tak za nie odpokutowała, już obce ręce tak brutalnie dotknęły jej najśłodszej tajemnicy! Odczuwała wstyd i gorycz, i ból, nie było jednak w niej zwątpienia lub strachu — i Ławrecki stał się dla niej jeszcze bardziej bliski i drogi. Wahała się, dopóki sama siebie nie zrozumiała, ale po tym spotkaniu w ogrodzie, po tym pocałunku — już się więcej wahać nie mogła. Wiedziała, że kocha — i kochała uczciwie, poważnie, przywiązała się mocno, na całe życie — i nie lękała się przeciwności. Czula, że żadna siła nie rozerwie tych więzów.

XXXIX

Maria Dmitriewna ogromnie się przelęknęła, kiedy jej zaanonsowano przybycie Warwary Pawłowny Ławreckiej. Nie wiedziała nawet, czy ją przyjąć, czy nie: bała się obrazić Fiodora Iwanycza. W końcu jednak ciekawość wzięła górę. „No to co? — pomyślała. — Przecież ona też właściwie należy do rodziny.” — I usiadłszy w fotelu rozkazała lokajowi: proś! Upłynęło kilka chwil; drzwi się otworzyły; Warwara Pawłowna szybkim, niemal bezszelestnym krokiem zbliżyła się do Marii Dmitriewny i nie dając jej wstać z fotela, prawie upadła przed nią na kolana.

— Dziękuję, ciotuniu — zaczęła wzruszonym i cichym głosem po rosyjsku — dziękuję! Nie spodziewałam się takiej pobłażliwości, ciotunia jest dobra jak anioł.

Wypowiedziawszy te słowa Warwara Pawłowna niespodziewanie chwyciła rękę Marii Dmitriewny, z lekka ścisnęła tę rękę w swoich bladoliliowych rękawiczkach i przypochlebnie podniosła ją do różowych, pełnych warg. Maria Dmitriewna zupełnie straciła głowę, gdy ujrzała tę piękną, wytwornie ubraną kobietę prawie u swoich stóp; nie wiedziała po prostu, co ma robić: chciała wyrwać rękę z jej dłoni, chciała ją posadzić obok siebie, chciała powiedzieć jej coś miłego; skończyła na tym, że się nieco podniosła i pocałowała Warwarę Pawłownę w gładkie, pachnące czoło. Warwara Pawłowna aż zamarła z zachwytu.

— Dzień dobry, bonjour — wyrzekła Maria Dmitriewna. — Rzecz prosta, nie wyobrażałam sobie... Zresztą, oczywiście, bardzo się cieszę, że cię widzę. Rozumiesz, moja droga, że trudno mi się wtrącać w sprawy między mężem a żoną...

— Mój mąż ma zupełną rację — przerwała jej Warwara Pawłowna — tylko ja jestem winna.

— Bardzo ci się chwali ta uczciwość — odparła Maria Dmitriewna — bardzo. Dawno przyjechałaś? Widziałas się z nim? Siadajże, moja droga, bardzo cię proszę.

— Przyjechałam wczoraj — powiedziała Warwara Pawłowna siadając posłusznie na krześle — widziałam się z Fiodorem Iwanyczem i rozmawiałam z nim.

— A! No i cóż on?

— Obawiam się, że mój nieoczekiwany przyjazd rozgniewał go — ciągnęła dalej Warwara Pawłowna — zachował się jednak spokojnie.

— To znaczy, że on nie... Tak, tak, rozumiem — poprawiła się Maria Dmitriewna. — On jest tylko na pozór trochę nieokrzesany, ale serce ma miękkie.

— Fiodor Iwanycz mi nie przebaczył: nie chciał mnie wysłuchać... Ale był tak dobry, że wyznaczył mi Ławryki na miejsce zamieszkania.

— A! Piękny majątek!

— Jutro tam jadę zgodnie z jego wolą, ale uważałam sobie za obowiązek odwiedzić przedtem ciocię.

— Bardzo, bardzo ci jestem wdzięczna, moja droga. Nigdy nie należy zapominać o rodzinie. A wiesz? Podziwiam, że tak świetnie mówisz po rosyjsku. C'est étonnant

Warwara Pawłowna westchnęła.

— Zbyt długo przebywałam za granicą, Mario Dmitriewno, zdaję sobie z tego sprawę; ale serce miałam zawsze rosyjskie i nie zapomniałam o swej ojczyźnie.

— Tak, tak, słusznie robiłaś. Fiodor Iwanycz jednak wcale się ciebie nie spodziewał... Tak, zaufaj mojemu doświadczeniu: la patrie avant tout Ach, pokaż no mi, jaką masz piękną mantylkę!

— Podoba się cioci? — Warwara Pawłowna zręcznym ruchem zsunęła mantylę z ramion. — Taka sobie, zwyczajna, od madame Baudran.

— To zaraz widać. Od madame Baudran... Jaka ładna i jaka gustowna! Jestem pewna, że przywiozłaś z sobą mnóstwo zachwycających rzeczy. Chciałabym je chociaż obejrzeć.

— Wszystkie moje toalety są do dyspozycji kochanej ciotuni. Jeśli ciocia pozwoli, pokażę coś niecoś cioci garderobianej. Przywiozłam z Paryża służącą: doskonale szyje. — Jesteś niezwykle uprzejmą, moja droga. Ale doprawdy, to mnie krępuje.

— Krępuje... — powtórzyła z wyrzutem w głosie Warwara Pawłowna. — Chce mnie ciocia uszczęśliwić? W takim razie proszę mną dysponować jak swoją własnością.

Maria Dmitriewna do reszty się rozczuliła.

— Tu es charmante — powiedziała. — Ale czemu nie zdejmujesz kapelusza i rękawiczek?

— Ciocia naprawdę pozwala? — spytała Warwara Pawłowna i z lekka, jakby z zachwytem złożyła ręce.

— Oczywiście przecież mam nadzieję, że zjemy razem obiad. Poznam cię... z moją córką. — Maria Dmitriewna trochę się zmieszała. „Ano, rzekło się, trudno!” — pomyślała. — Liza dzisiaj czuje się jakoś niezbyt zdrowa.

— Oh, ma tafite, jaka ciocia jest dobra! — zawołała Warwara Pawłowna i podniosła chusteczkę do oczu.

Kozaczek zaanonsował Gedeonowskiego. Stary plotkarz wszedł składając raz po raz ukłony i krzywiąc się w uśmiechu, Maria Dmitriewna przedstawiła go swojemu gościowi. Gedeonowski zmieszał się w pierwszej chwili, ale Warwara Pawłowna potraktowała go z tak pełnym kokieterii szacunkiem, że aż mu się uszy zaczerwieniły z wrażenia, a z ust popłynął miodowy potok komplementów, zmyślonych wiadomości i pospolitych plotek. Warwara Pawłowna słuchali go, powściągliwie się uśmiechała i pomału sama się rozgadała. Skromnie opowiadała o Paryżu, o swoich podróżach, o Baden-Baden; kilkakrotnie rozśmieszyła Marię Dmitriewną i za każdym razem później wzdychała, jakby sama siebie karcąc w duchu za niestosowną wesołość; wyprosiła pozwolenie przyprowadzenia Ady; zdjęwszy rękawiczki pokazywała swoimi gładkimi, wypielegnowanymi mydłem la guimauve rękami, jak i gdzie się nosi wolanty, kryzy, koronki i gipiury; obiecała przynieść flakonik nowych angielskich perfum, Victoria's Essence, i ucieszyła się jak dziecko, kiedy Maria Dmitriewna zgodziła się przyjąć te perfumy w prezencie; rozpląkała się na wspomnienie tego, jak ją wzruszyły dźwięki rosyjskich dzwonów, kiedy je usłyszała po raz pierwszy po przyjeździe do kraju. — Uderzyły mnie w serce — powiedziała.

W tym momencie weszła Liza.

Od samego rana, od owej chwili, kiedy zdrętwiała z przerażenia przeczytała list Ławreckiego, Liza przygotowana była na spotkanie z jego żoną; przeczuła, że ją zobaczy. Postanowiła jej nie unikać — za karę, za swoje, jak je określała, „występne marzenia”. Niespodziewany przełom w jej życiu wstrząsnął nią do głębi; w ciągu jakichś dwóch godzin ogromnie się zmieniła, ale nie uroniła ani jednej łzy. „Dobrze mi tak!” — mówiła do siebie, wzburzona, z wielkim wysiłkiem tłumiąc w duszy jakieś złe, gorzkie, w niej samej budzące lęk porwy. „No, trzeba iść!” — pomyślała, gdy się tylko dowiedziała o przybyciu Ławreckiej, i poszła... Długo stała przed drzwiami salonu, zanim się zdecydowała je otworzyć. Z myślą: „Jestem winna wobec niej” — przestąpiła próg i zmusiła się do spojrzenia na nią, zmusiła się do uśmiechu. Warwara Pawłowna gdy ją tylko zobaczyła, podeszła do niej i skłoniła się przed nią lekko, ale bądź co bądź z szacunkiem.

— Pozwoli pani, że się przedstawię — zaszczębiotała przymilnym głosikiem — pani manan jest. dla mnie tak łaskawa, że chyba mogę liczyć i na pani dobroć. — Wyraz twarzy Warwary Pawłowny, kiedy mówiła ostatnie słowo, jej przebiegły uśmieszek, zimny, a jednocześnie łagodny wzrok, ruchy rąk i ramion, nawet suknia, cała jej postać — wszystko to wywołało w Lizie takie uczucie wstrętu, że nie mogła nic odpowiedzieć i z trudem wyciągnęła do niej rękę.

„Ta pannica mną pogardza” — pomyślała Warwara Pawłowna, mocno ściskając zimne palce Lizy i zwróciwszy się do Marii Dmitriewny rzekła półgłosem: — Mais elle est delicieuse! — Liza zarumieniła się: w tym pochlebstwie usłyszała drwinę, niemal obrazę; postanowiła jednak nie ufać swoim wrażeniom i siadła pod oknem, przy krosnach. Warwara Pawłowna i tu jej nie dała spokoju — podeszła do niej, zaczęła chwalić jej gust, jej zręczność... Serce zabiło Lizie mocno i boleśnie; ledwo zdołała się opanować, ledwo usiadła na miejscu. Wydawało jej się, że Warwara Pawłowna wie o wszystkim i triumfując w duchu, kpi sobie z niej. Na szczęście, Gedeonowski zagadnął o coś Warwarę Pawłownę i odwrócił jej uwagę od Lizy. Liza schyliła się nad krosnami i obserwowała ją ukradkiem. „On kochał tę kobietę” — myślała. Natychmiast jednak odpędziła od

siebie wszystkie myśli o Ławreckim: bała się stracić panowanie nad sobą, czuła w głowie niesłychany zamęt. Maria Dmitriewna zaczęła mówić o muzyce.

— Słyszałam, moja droga — zwróciła się do Warwary Pawłowny — że jesteś niezwykłą wirtuozką.

— Dawno nie grałam — odparła Warwara Pawłowna, od razu siadając przy fortepianie i śmiało przebiegła palcami po klawiszach. — Czy państwo sobie życzą czegoś posłuchać?

— Bardzo prosimy.

Warwara Pawłowna po mistrzowsku odegrała świetną i trudną etiudę Herza. Zrobiła to z dużą werwą i zręcznością.

— Sylfida! — zawołał Gedeonowski.

— Nad podziw pięknie! — potwierdziła Maria Dmitriewna. — No, Warwaro — powiedziała po raz pierwszy nazywając ją po imieniu — przyznam się, że mi zaimponowałaś; mogłabyś chyba dawać koncerty. Mamy tutaj muzyka, starego Niemca, dziwaka, bardzo wykształconego, który udziela lekcji Lizie; ten chyba oszaleje, gdy cię usłyszy.

— Czy Lizawieta Michajłowna też zajmuje się muzyką? — spytała Warwara Pawłowna, z lekka odwracając do niej głowę.

— Tak, nieźle gra i lubi muzykę; ale cóż to jest w porównaniu z tobą! Jest tu jeszcze jeden młody człowiek; o, jego powinnaś poznać. Ma duszę artysty i ślicznie komponuje. On tylko może cię odpowiednio ocenić.

— Młody człowiek? — rzekła Warwara Pawłowna. — Któż to znowu? Jakiś biedak?

— Na miłość boską, pierwszy kawaler w całej okolicy, a nawet nie tylko tutaj, et à Pétersbourg! Kamerjunkier, bywa w najlepszym towarzystwie. Na pewno słyszałaś o nim: Włodzimierz Nikołaicz Panszyn. Przebywa w naszym mieście w jakiejś urzędowej misji... przyszły minister, daję słowo.

— I artysta?

— W duszy jest artystą, a taki przy tym sympatyczny! Zobaczysz go. Ostatnio ciągle u nas przesiadywał. Zaprosiłam go również na dzisiaj wieczór. Mam nadzieję, że przyjdzie — dodała Maria Dmitriewna z krótkim westchnieniem i pełnym gorczy uśmiechem.

Liza zrozumiała znaczenie tego uśmiechu, ale myślała o czym innym.

— I młody? — powtórzyła Warwara Pawłowna, z lekka uderzając w klawisze.

— Ma dwadzieścia osiem lat i niezwykle ujmującą powierzchowność. Un jeune homme accompli, daję słowo.

— Młodzieniec, którego należy innym stawiać za wzór — zauważył Gedeonowski.

Warwara Pawłowna zagrała nagle hucznego walca straussowskiego, zaczynającego się takim burzliwym i szybkim trelem, że Gedeonowski aż drgnął; w samym środku walca przeszła na jakiś smutny motyw i skończyła arią z Łucji: Fra poco... Zorientowała się, że wesola muzyka jest niestosowna w jej sytuacji. Aria z Łucji z akcentowaniem czułych fraz muzycznych ogromnie wzruszyła Marię Dmitriewnę.

— Jakąż ona ma duszę! — powiedziała półgłosem do Gedeonowskiego.

— Sylfida! — powtórzył Gedeonowski i podniósł oczy ku niebu.

Nadeszła pora obiadu. Marfa Timofiejewna zeszła z góry, kiedy zupa już stała na stole. Bardzo oschle potraktowała Warwarę Pawłownę, odpowiadała półsłówkami na jej uprzejmości, nawet na nią nie patrzyła. Warwara Pawłowna szybko się zorientowała, że z tą staruszką nie dojdzie do ładu, i przestała się do niej zwracać. Za to Maria Dmitriewna stała się jeszcze bardziej uprzejma dla swego gościa — tak ją rozniewała opryskliwość ciotki. Zresztą Marfa Timofiejewna odwracała wzrok nie tylko od Warwary Pawłowny; odwracała też wzrok od Lizy, chociaż oczy jej błyszczały. Siedziała, jakby z kamienia, żółta, blada, z zaciśniętymi wargami — i nic nie jadła. Liza wydawała się spokojna. Istotnie — do jej duszy zawitał spokój; ogarnęło ją zobojętnienie, zobojętnienie skazańca. Przy obiedzie Warwara Pawłowna mówiła mało; znowu jakby straciła pewność siebie i przybrała minę skromną, a zarazem melancholijną. Tylko Gedeonowski ożywiał rozmowę swoimi dykteryjkami, chociaż raz wraz tchórzliwie spoglądał na Marfę Timofiejewnę i krztusił się od kaszlu — taki kaszel chwycił go zawsze, kiedy zamierzał skłamać w jej obecności — ale ona mu nie przeszkadzała, nie przerywała. Po obiedzie okazało się, że Warwara Pawłowna bardzo lubi grać w preferansa. Marii Dmitriewnie tak dalece się to spodobało, że aż się rozczuliła i pomyślała: „Cóż to za głupiec z tego Fiodora Iwanycza, że się nie umiał poznać na takiej kobiecie!”

Siadła do kart z nią i Gedeonowskim, a Marfa Timofiejewna zabrała Lizę do siebie na górę oświadczywszy, że Liza ma zmienioną twarz i że ją widocznie boli głowa.

— Tak, ona miewa straszne bóle głowy — powiedziała Maria Dmitriewna zwracając się do Warwary Pawłowny i przymykając powieki. — Na mnie też często nachodzą takie migreny...

— Czy być może! — wyraziła zdziwienie Warwara Pawłowna.

Liza weszła do pokoju ciotki i wyczerpana do ostateczności, osunęła się na krzesło. Marfa Timofiejewna przyglądała się jej długo w milczeniu, potem wolniutko ukłękła przed nią — i zaczęła, wciąż milcząc, całować na przemian obie jej ręce. Liza pochyliła się naprzód, zaczerwieniła się — i rozplakała, ale nie podniosła Marfy Timofiejewny z kłęczek, nie cofnęła swoich rąk: czuła, że nie miała prawa ich cofnąć, nie miała prawa przeszkodzić staruszce w okazaniu żalu i skruchy, nie mogła odmówić jej prośbie o przebaczenie za wczorajszą rozmowę. I Marfa Timofiejewna nie mogła się nacałować tych biednych, białych, bezsilnych rąk — a łzy bez słów lały się z jej oczu i z oczu Lizy. Kot Matros mruczał w szerokim fotelu, bawiąc się kłębkami bawełny; podługowaty płomyczek lampki oliwnej ledwie-ledwie chybotął się przed ikoną — w sąsiednim zaś pokoiku, za drzwiami, stała Nastasia Karpowna i też ukradkiem wycierała sobie oczy zwiniętą w kłębek kraciastą chustką do nosa.

XL

A tymczasem na dole w bawialni całe towarzystwo siedziało przy preferansie. Maria Dmitriewna wygrywała i była w dobrym humorze. Wszedł służący i zaanonsował Panszyną.

Maria Dmitriewna wypuściła karty z rąk i zaczęła się kręcić w fotelu. Warwara Pawłowna popatrzyła na nią z dyskretnym uśmiechem, potem skierowała wzrok na drzwi. Ukazał się Panszyn, w czarnym fraku, w wysokim angielskim kołnierzyku, zapięty aż pod szyję. „Było mi ciężko okazać posłuszeństwo, ale widzi pani, że przyjechałem” — oto co wyrażała jego poważna, świeżo ogolona twarz.

— Cóż to ma znaczyć, Woldemar — zawołała Maria Dmitriewna — przedtem pan wchodził bez anonsowania?

Panszyn odpowiedział Marii Dmitriewnie tylko spojrzeniem, grzecznie się jej skłonił, ale nie podszedł, żeby ją pocałować w rękę. Maria Dmitriewna przedstawiła go Warwarze Pawłownie. Panszyn cofnął się o krok, skłonił się jej równie grzecznie, ale z odcieniem wytworności i szacunku, i przysiadł się do stolika karcianego. Preferans wkrótce się skończył. Panszyn spytał o Lizawietę Michajłownę, dowiedział się, że niezupełnie dobrze się czuje, wyraził ubolewanie; potem zaczął gawędzić z Warwarą Pawłowną dyplomatycznie cedząc i dobitnie wymawiając każde słowo, z szacunkiem wysłuchując jej odpowiedzi aż do końca. Ale jego maniery dyplomatyczne wcale się nie udzielały Warwarze Pawłownie, wcale na niej nie robiły wrażenia. Przeciwnie: patrzyła mu w oczy z wesołym zainteresowaniem, mówiła swobodnie, a jej delikatne nozdrza lekko drżały, jakby od powstrzymanego śmiechu. Maria Dmitriewna zaczęła się rozwódzić nad jej talentem. Panszyn pochylił głowę tak nisko, jak mu na to pozwolił kołnierzyk, oświadczył, że „z góry był tego pewny” — i wszczął rozmowę bodaj o samym Metternichu. Warwara Pawłowna przymrużyła swoje aksamitne oczy i powiedziawszy półgłosem: — Ależ pan jest tak samo artystą, un confrère — dodała jeszcze ciszej: — venez! — i skinęła głową w stronę fortepianu. To jedno rzucone lekko słowo: venez! — błyskawicznie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmieniło całą powierzchowność Panszyna. Jego wymuszona mina znikła bez śladu. Uśmiechnął się, ożywił, rozpiął frak i powtarzając: „Jakież ze mnie artysta, żal się Boże; słyszałem natomiast, że pani jest prawdziwą artystką” — podążył za Warwarą Pawłowną do fortepianu.

— Niech go pani namówi, żeby zaśpiewał romans o tym, jak księżyc płynie — zawołała Maria Dmitriewna.

— Pan śpiewa? — spytała Warwara Pawłowna musnąwszy go promiennym i szybkim spojrzeniem.
— Proszę siadać.

Panszyn zaczął się wymawiać.

— Niech pan siada — powtórzyła, nalegająco stuknąwszy kilka razy w oparcie krzesła.

Panszyn usiadł, odkaszlnął, poprawił kołnierzyk i zaśpiewał swój romans.

— Charmant — oświadczyła Warwara Pawłowna — pan doskonale śpiewa, vous avez du style — niech pan powtórzy.

Obeszła fortepian naokoło i stanęła naprzeciwko Panszyna. Panszyn zaśpiewał powtórnie, nadając swemu głosowi melodramatyczne brzmienie. Warwara Pawłowna bacznie patrzyła na niego, oparłszy się łokciami na fortepianie i trzymając białe ręce na poziomie swoich ust. Panszyn skończył.

— Charmante, charmante idee — rzekła ze spokojną pewnością znawcy. — Czy pan nie skomponował czegoś na głos kobiecy, na mezzo-sopran?

— Niestety, prawie nic nie komponuję — odparł Panszyn — to również napisałem tylko tak, między jedną sprawą urzędową a drugą... A pani śpiewa?...

— Śpiewam.

— O! Prosimy nam coś zaśpiewać — odezwała się Maria Dmitriewna.

Warwara Pawłowna odgarnęła ręką włosy z zarumienionych policzków i potrząsnęła głową.

— Nasze głosy powinny wzajemnie do siebie pasować — powiedziała zwracając się do Panszyna — zaśpiewajmy jakiś duet. Zna pan: Son geloso, albo La ci darem albo Mira la bianca luna?

— Śpiewałem kiedyś Mira la bianca luna — odrzekł Panszyn — ale dawno, zapomniałem.

— To nic, prześpiewajmy najpierw półgłosem. Niech pan mnie puści.

Warwara Pawłowna siadła przy fortepianie. Panszyn stanął obok niej. Zaśpiewali duet półgłosem, przy czym Warwara Pawłowna kilka razy poprawiała Panszyna, potem zaśpiewali głośno, potem dwukrotnie powtórzyli: Mira la bianca lu... u... una. Głos Warwary Pawłowny stracił już barwę młodości, ale posługiwała się nim nader zręcznie. Panszyn początkowo odczuwał treść i trochę fałszował, ale potem nabrał animuszu i jeśli nie śpiewał całkiem poprawnie, to bądź co bądź poruszał ramionami, obracał tułowiem na wszystkie strony i niekiedy podnosił rękę do góry jak prawdziwy śpiewak. Warwara Pawłowna odegrała dwa, trzy utwory Thalberga i z kokieteryą „powiedziała” francuską piosenkę. Maria Dmitriewna po prostu nie miała słów na wyrażenie swego zadowolenia; parę razy chciała posłać po Lizę. Gedeonowski tak samo oniemiał z zachwytu i tylko kiwał głową — aż raptem niespodziewanie ziewnął i ledwo zdążył zasłonić usta ręką. Owo ziewnięcie nie uszło uwagi Warwary Pawłowny; odwróciła się szybko plecami do fortepianu, oświadczyła: — *Assez de musique comme ca* — pogawędzimy sobie — i skrzyżowała ręce. — *Oui, assez de musique* — powtórzył wesoło Panszyn i zaczął z nią rozmowę po francusku — ożywioną, lekką. „Zupełnie jak w najlepszym salonie paryskim” — myślała Maria Dmitriewna słuchając ich błyskotliwej, potocznej wymiany zdań. Panszyn odczuwał duże zadowolenie; oczy mu błyszczały, uśmiechał się niemal bez przerwy; początkowo przesunął ręką po czole, marszczył brwi i porywczo wzdychał, kiedy jego wzrok spotykał się ze wzrokiem Marii Dmitriewny, potem jednak całkiem o niej zapomniał i oddał się rozkoszy na pół światowej, na pół artystycznej paplaniny. Warwara Pawłowna popisała się jako wielka filozofka: na każde pytanie miała gotową odpowiedź; nad niczym się długo nie zastanawiała, nie ulegała wahaniom w dyskusji: widać było, że często i dużo rozmawiała z wykształconymi ludźmi różnego pokroju. Wszystkie jej myśli i uczucia obracały się dokoła Paryża. Panszyn przeszedł na tematy z dziedziny literatury — okazało się, że ona tak samo jak i on czytała wyłącznie francuskie książki. George Sand oburzała ją, Balzaka ceniła, chociaż ją nudził; Scribe’a i Sue uważała za wielkich znawców serc, ubóstwiała Dumasa i Fèvala; w głębi serca zaś nad nich wszystkich przekładała Paul de Kocka, ale rzecz prosta, nawet o nim nie wspomniała. Właściwie literatura nie bardzo ją interesowała. Warwara Pawłowna nader zręcznie unikała wszystkiego, co mogło, choćby przez jakieś odległe skojarzenia, przypomnieć jej obecną sytuację; o miłości nie wspomniała nawet słówkiem; przeciwnie, w wypowiedziach swoich dawała raczej wyraz surowej ocenie porywów namiętności, rozczarowaniu, pokorze. Panszyn oponował; ona się z nim nie zgadzała... ale dziwna rzecz! kiedy z jej ust spływały słowa potępienia, często nawet surowego, dźwięk tych słów głaskał i pieścił, a jej oczy mówiły... co mianowicie mówiły te prześliczne oczy, trudno było orzec; były to jednak rzeczy niezbyt przykre, niejasne i pełne słodkiego uroku. Panszyn starał się wniknąć w ich ukryty sens, usiłował sam mówić spojrzeniem, ale czuł, że mu się to nie udaje; zdawał sobie sprawę z tego, że Warwara Pawłowna, jako prawdziwa zagraniczna lwica salonowa, górowała nad nim i to mu po części

odbierało możliwość panowania nad sobą. Warwara Pawłowna miała zwyczaj w czasie rozmowy z lekka dotykać rękawą swego rozmówcy; te przelotne dotknięcia bardzo podniecały Włodzimierza Nikołaicza. Warwara Pawłowna miała dar szybkiego zaprzyjaźniania się z każdym; nie minęły dwie godziny, gdy Panszynowi już się zaczęło zdawać, że ją zna od niepamiętnych czasów, a Liza, ta sama Liza, którą mimo wszystko kochał, której poprzedniego dnia się oświadczył — znikła, jakby się rozplynęła we mgle. Podano herbatę. Rozmowa stała się jeszcze swobodniejsza. Maria Dmitriewna zadzwoniła na kozaczka i kazała poprosić Lizę, żeby zeszła na dół, jeśli ją głowa przestała boleć. Panszyn usłyszawszy imię Lizy jął się rozwodzić nad sprawą poświęcenia, nad tym, kto bardziej zdolny jest do ofiar — mężczyzna czy kobieta. Maria Dmitriewna od razu się zdenerwowała, zaczęła twierdzić, że kobieta jest bardziej ofiarna, oświadczyła, że udowodni to kilkoma słowami, uwikłała się w gąszczu frazesów i skończyła jakimś nieszczęsnym porównaniem. Warwara Pawłowna wzięła zeszyt nut, zasłoniła się nim i nachyliwszy się w stronę Panszyna, gryząc biszkopt, ze spokojnym uśmiechem na ustach i w oczach rzekła półgłosem: — Elle n'a pas inventé la poudre, la bonne dame". — Panszyn trochę się przestraszył i zdziwił odwadze Warwary Pawłowny, ale nie zrozumiał, ile pogardy względem niego kryło się w tym nieoczekiwanym wynurzeniu, i zapomniawszy o życzliwości i dobroci Marii Dmitriewny, zapomniawszy o obiadach, którymi go podejmowała, o pieniądzach, które mu pożyczala — z takim samym uśmiechem i takim samym głosem odparł (nieszczęsny!): Je crois bien — a nawet nie: je crois bien, lecz: j'crois ben!"

Warwara Pawłowna rzuciła na niego przyjazne spojrzenie i wstała. Weszła Liza. Marfa Timofiejewna bezskutecznie usiłowała ją powstrzymać: Liza postanowiła przebyć próbę do końca. Warwara Pawłowna poszła na jej spotkanie razem z Panszynem, na którego twarzy zjawił się znowu poprzedni dyplomatyczny wyraz.

— Jakże pani zdrowie? — spytał Lizy.

— Dziękuję, już mi znacznie lepiej — odrzekła.

— A myśmy się tu trochę zajęli muzyką; szkoda, że pani nie słyszała Warwary Pawłowny. Wspaniale śpiewa, une artiste consommée.

— Chodź no tu, ma chère — rozległ się głos Marii Dmitriewny.

Warwara Pawłowna od razu, z posłuszeństwem dziecka, podeszła do niej i usiadła na małym taborecie u jej nóg. Maria Dmitriewna zawołała ją po to, żeby choć na chwilę zostawić córkę samą na sam z Panszynem: wciąż jeszcze miała nadzieję, że Liza się opamięta. Prócz tego przyszła jej do głowy myśl, którą chciała koniecznie zaraz wypowiedzieć.

— Wiesz co? — szepnęła Warwarze Pawłownie. — Spróbuję pogodzić cię z mężem; nie ręczę za skutek, ale spróbuję. Fiodor Iwanycz, jak ci pewnie wiadomo, bardzo się ze mną liczy.

Warwara Pawłowna z wolna podniosła oczy na Marię Dmitriewną i z wdziękiem złożyła ręce.

— O, ma tanie, ciocia stałaby się moją wybawczynią — rzekła smutnym głosem — nie wiem, jak mam cioci dziękować za wszystkie dobrodziejstwa; zbyt jednak zawiniłam wobec Fiodora Iwanycza, on mi nie może przebaczyć.

— A czy ty... istotnie... — zaczęła z ciekawością Maria Dmitriewna.

— Niech mię ciocia nie pyta — przerwała jej Warwara Pawłowna i spuściła oczy. — Byłam młoda, lekkomyślna... zresztą, nie chcę się usprawiedliwiać.

— Dlaczego jednak, mimo wszystko, nie spróbować? Nie trzeba tracić nadziei — odparła Maria Dmitriewna i chciała ją poklepać po policzku, ale spojrzała jej w twarz — i aż się przestraszyła. „Udaje skromną — pomyślała — a to przecie naprawdę lwica.”

— Pani się źle czuje? — mówił tymczasem Panszyn do Lizy.

— Tak, nie czuję się dobrze.

— Rozumiem panią — oświadczył po dość długiej chwili milczenia. Tak, rozumiem panią.

— Jak to?

— Rozumiem panią — powtórzył znacząco Panszyn, który po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

Liza zmieszała się, a potem rzekła sobie w duchu:

„A niech tam!” Panszyn przybrał tajemniczą miną i zamilkł spoglądając surowo w bok.

— Zdaje się, że już wybiła jedenasta — zauważyła Maria Dmitriewna.

Goście zrozumieli aluzję i zaczęli się żegnać. Warwara Pawłowna musiała przyrzec, że nazajutrz przyjedzie na obiad i przywiezie Adę. Gedeonowski, który już o mało nie zasnął siedząc w kącie, podjął się odprowadzić ją do domu. Panszyn uroczyście pożegnał się ze wszystkimi, a na ganku, pomagając Warwarze Pawłownie wsiąść do karety, ścisnął jej rękę i w chwili gdy konie ruszyły, zawołał: — Au revoir! Gedeonowski siadł obok Warwary Pawłowny, która później, przez całą drogę, zabawiała się w ten sposób, że opierała, niby nieumyślnie, czubek swego pantofelka o jego nogę. Gedeonowski był tym ogromnie zmieszany, prawil Warwarze Pawłownie komplementy, a ona chichotała i robiła do niego oko, kiedy światło latarni ulicznej wpadało do karety. Walc, który sama zagrała, dźwięczał jej w głowie, wprawiał ją w nastrój podniecenia. Gdziekolwiek się znajdowała, wystarczyło, że sobie wyobraziła ulewę światła, salę balową, szybkie wirowanie przy dźwiękach muzyki — a dusza jej zaczynała płonąć, oczy dziwnie ciemniały, uśmiech błędził na ustach, coś bachicznego, tchnącego gracją rozlewało się po całym ciele. Po przyjeździe do domu Warwara Pawłowna zgrabnie wyskoczyła z karety — tylko prawdziwe lwice umieją tak wyskakiwać — odwróciła się do Gedeonowskiego i nagle parsknęła mu głośnym śmiechem prosto w nos.

„Bardzo sympatyczna osoba — myślał radca stanu wracając do swego mieszkania, gdzie go oczekiwał służący ze słoikiem opodeldoku — dobrze, że jestem człowiekiem poważnym i zrównoważonym... ale — czego ona się tak roześmiała?”

Marfa Timofiejewna przesiedziała całą noc u wezłowania Lizy.

XLI

Ławrecki spędził półtora dnia w Wasiliewskim i prawie cały ten czas wałęsał się bez celu po okolicy. Nie mógł usiedzieć długo na jednym miejscu: trawiła go rozpacz; doświadczał wszystkich udręk, jakie ze sobą niosą bezustanne, gwałtowne i bezsilne porywy. Przypomniawszy sobie uczucie, które ogarnęło go nazajutrz po przyjeździe na wieś; przypomniał sobie swoje ówczesne

zamierzenia i poczuł gniew na siebie. Cóż go mogło oderwać od tego, co uznał za swój obowiązek, za jedyny cel swojego życia? Pragnienie szczęścia — znowu to pragnienie szczęścia! „Widocznie Michalewicz miał rację — myślał. — Zachciało ci się ponownie zażyć szczęścia w życiu — mówił do siebie w duchu — zapomniałeś, że to jest już zbytek, niezasłużona łaska losu, kiedy ono choć raz nawiedzi człowieka. Powiesz, że szczęście nie było zupełne, że było pozorne, a czymże uzasadnisz swoje prawo do zupełnego, prawdziwego szczęścia? Rozejrzyj się dokoła: kto jest szczęśliwy, kto się upaja radością życia? Tam chłop jedzie kosić trawę — może on jest zadowolony ze swego losu? I cóż? Czy chciałbyś się z nim zamienić? Przypomnij sobie swoją matkę: jak znikome miała wymagania i jaki los jej przypadł w udziale? Tyś widocznie tylko się pochwalił przed Panszynem, kiedyś mu powiedział, że wróciłeś do Rosji po to, żeby orać ziemię: przyjechałeś włóczyć się na stare lata za spódniczkami. Przyszła wiadomość, że stałeś się wolny, i zaraz wszystko rzuciłeś, o wszystkim zapomniałeś, pobiegłeś jak mały chłopczyk za motylem...” W toku tych rozmyślań obraz Lizy nieustannie malował się w jego wyobraźni. Ławrecki odpędzał go od siebie z wysiłkiem, tak samo jak inny, natrętnie wracający obraz, inne, niewzruszenie spokojne i przebiegłe, piękne i nienawistne rysy. Stary Anton zauważył, że jego panu coś dolega; westchnąwszy kilka razy za drzwiami i kilka razy na progu, zdecydował się do niego podejść, poradził mu napić się czegoś ciepłego. Ławrecki ofuknął go, kazał mu wyjść, a potem go przeprosił, ale Antona zasmuciło to jeszcze bardziej. Ławrecki nie mógł siedzieć w salonie, bo mu się majaczyło, że pradziad Andrzej pogardliwie patrzy z ram obrazu na swojego niezdarzonego potomka. „I coś ty wart” — zdawały się mówić jego z lekka wykrzywione wargi. „Czyż nie potrafisz wziąć się w ręce — myślał — czy dam się opanować takiemu... głupstwu?” (Ciężko ranni na wojnie zawsze nazywają „głupstwem” swoje rany; gdyby ludzie sami siebie nie oszukiwali — nie mogliby żyć na ziemi.) „Cóż to, czy jestem małym chłopcem, czy co, u licha? Ano, tak: zobaczyłem blisko, niemal trzymałem w rękach możliwość szczęścia na całe życie — i ta możliwość nagle znikła; to tak jak na loterii — gdyby się koło jeszcze trochę obróciło, kto wie, czy biedak nie stałby się bogaczem. Ha, trudno: nie można, to nie — i basta. Wezmę się do pracy, zacisnę zęby i nakażę sobie milczenie; przecie nie pierwszy raz muszę sam siebie kielznać. I dlatego uciekłem, po co tutaj siedzę wsadziwszy głowę w piasek jak struś? Że nieszczęściu straszno spojrzeć w oczy? Bzdura!”

— Anton! — zawołał głośno. — Każ natychmiast zaprząć konie do tarantasu!

„Tak — pomyślał znowu — trzeba zmusić serce do milczenia, trzeba swe życie ująć w żelazne karby...”

Takimi rozważaniami Ławrecki usiłował przytłumić świadomość swojego nieszczęścia, ale owo nieszczęście było zbyt wielkie, zbyt dotkliwe. I nawet sama Apraksja, która już dawno straciła zdolność nie tyle rozumienia, ile odczuwania czegokolwiek, pokiwała głową i smutnymi oczyma odprowadziła Ławreckiego, kiedy ten siadł do tarantasu, żeby jechać do miasta. Konie pędziły jak szalone, Ławrecki siedział nieruchomo, wyprostowany i kamiennym wzrokiem patrzył przed siebie na drogę.

XLII

Poprzedniego dnia Liza napisała do Ławreckiego, żeby przyszedł do nich wieczorem. Ławrecki jednak udał się najpierw do swego mieszkania. Nie zastał w domu ani żony, ani córki. Od służby dowiedział się, że Warwara Pawłowna razem z córką pojechała do Kalitinów. Ta wiadomość oszołomiła go, a zarazem rozwścieczyła. „Widocznie kochana żoneczka uwzięła się, żeby mi nie dać żyć” — pomyślał ze wzrastającym uczuciem nienawiści w sercu. Zaczął chodzić tam i z powrotem, nieustannie odsuwając nogami i rękami napotykanę po drodze dziecinne zabawki, książki i różne kobiece drobiazgi. Zawołał Justynę i kazał jej uprzątnąć te wszystkie „rupiecie”. —

Oui, monsieur — powiedziała i z grymasem niezadowolenia na twarzy zaczęła robić porządek w pokoju, zrećnie się nachylając i każdym swoim ruchem dając odczuć Ławreckiemu, że go uważa za nieokrzesanego niedźwiedzia. Ławrecki patrzył ze wstrętem na jej zniszczoną, ale wciąż jeszcze „pikantną”, ironiczną twarzyczkę paryżanki, na jej białe zarękawiu, jedwabny fartuszek i lekki czepeczek. Odprawił ją wreszcie i po długim wahaniu (Warwara Pawłowna wciąż jeszcze nie wracała) postanowił udać się do Kalitinów — nie do Marii Dmitriewny (za nic w świecie nie wszedłby do jej salonu, do tego salonu, gdzie znajdowała się jego żona), lecz do Marfy Timofiejewny. Przypomnił sobie, że tylne schody prowadziły z ganku prosto do niej. Tam więc skierował swe kroki. Pomógł mu przypadek: spotkał na dziedzińcu Szuroczkę, która go zaprowadziła do Marfy Timofiejewny. Zastał ją, wbrew zwyczajowi, samą; siedziała w kąciku, zgarbiona, bez czepka na głowie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Ujrzawszy Ławreckiego starszuszka przestraszyła się, szybko wstała i zaczęła chodzić po pokoju, tam i z powrotem, niby szukając swego czepka.

— A, to ty, aha — mamrotała unikając jego wzroku i kręcąc się bez przerwy — no, dzień dobry. No, cóż! Co robić! Gdzie byłeś wczoraj? Ano, przyjechała ta twoja żona; no, tak. No, trzeba teraz... jakoś...

Ławrecki opadł na krzesło.

— Ano, siadaj, siadaj — ciągnęła dalej starszuszka. — Przyszedłeś prosto tutaj, na górę? Ano tak, oczywiście. No i co? Przyszedłeś mię odwiedzić? Dziękuję.

Starszuszka milczała przez chwilę. Ławrecki nie wiedział, co jej ma rzec; ale ona go rozumiała.

— Liza... tak, Liza dopiero co stąd wyszła — odezwała się znowu, rozwiązując sznurki swego rydykiulu. — Trochę narzeka na zdrowie. Szuroczka, gdzie jesteś? Chodź tu i posiedź z nami. Nie możesz posiedzieć? Mnie też głowa boli. Pewnie od tego j e i c h śpiewu i od muzyki.

— Od jakiego śpiewu, ciotuniu?

— Ano, jakże: robią wciąż te — jak się to po waszemu nazywa — duety. I wciąż po italiańsku: czi-czi i cza-cza; istne sroki. Jak zaczną wyciągać tony, to aż człowieka mdli. Ten cały Panszyn i ta twoja... A wszystko poszło nad podziw szybko i gładko; już się tu czuje niby krewniaczka, całkiem swobodnie. Nie ma się zresztą czemu dziwić: pies — i ten szuka ciepłego kąta; a po cóż uciekać, jeśli nikt nie wygania.

— Swoją drogą, przyznam, że się tego nie spodziewałem — odparł Ławrecki — tu potrzeba było dużo odwagi.

— Nie, mój kochany, to nie odwaga — to wyrachowanie. Ale Bóg z nią. Podobno wysyłasz ją do Ławryków?

— Tak zostawiam ten majątek Warwarze Pawłownie.

— Żądała pieniędzy?

— Na razie jeszcze nie.

— No, długo na to nie będziesz czekał. A ja ci się przyjrzałam lepiej dopiero teraz. Zdrowy jesteś?

— Zdrowy.

— Szuroczka — zawołała Marfa Timofiejewna. — Idź no, powiedz Lizawiecie Michajłownie — albo nie, zapytaj ją... chyba jest na dole?

— Na dole, proszę pani.

— No, tak. Więc zapytaj, gdzie położyła moją książkę? Już będzie wiedziała...

— Słucham, proszę pani.

Staruszka znowu się zaczęła kręcić po pokoju, otwierać szufladki w komodzie. Ławrecki siedział nieruchomo na swoim krześle.

Nagle dały się słyszeć lekkie kroki na schodach i weszła Liza.

Ławrecki wstał i uklonił się w milczeniu. Liza zatrzymała się tuż przy drzwiach.

— Lizo, moja kochana — zaczęła frasobliwie Marfa Timofiejewna — gdzieżeś położyła tę książkę, no, tę moją książkę?

— Jaką książkę, ciotuniu?

— No, mój Boże — książkę. Zresztą nie wołałam cię... Ale to nic nie szkodzi. Co wy tam na dole robicie? Właśnie przyjechał Fiodor Iwanycz. Jak twoja głowa?

— Dobrze.

— Ciągle mówisz: dobrze. Co się tam dzieje na dole? Znowu muzyka?

— Nie; grają w karty.

— No tak, ona przecie wszystko potrafi. Szuroczka, widzę, że masz ochotę pobiegać sobie po ogrodzie. Idź, moje dziecko.

— Nie, Marfo Timofiejewno...

— Słuchaj, co ci mówię, idź. Nastasja Karpowna poszła do ogrodu sama; pobądź z nią trochę. Zrób przyjemność staruszce. — Szuroczka wyszła. — Gdzież ten mój czepek? Gdzież ja go mogłam podziać, doprawdy?

— Niech ciotunia pozwoli, poszukam — zaofiarowała się Liza.

— Siedź, siedź, jeszcze chwała Bogu mam zdrowe nogi. Pewnie go zapomniałam przynieść z sypialni.

I rzuciwszy przelotne spojrzenie na Ławreckiego Marfa Timofiejewna wyszła z pokoju. Wychodząc zostawiła drzwi otwarte, ale raptem wróciła i zamknęła je.

Liza oparła się o fotel i powolnym ruchem zasłoniła rękami twarz. Ławrecki wciąż nie ruszał się z miejsca.

— W takich okolicznościach przyszło nam się zobaczyć — rzekł wreszcie.

Liza odjęła rękę od twarzy.

— Tak — powiedziała głucho — szybko zostaliśmy ukarani.

— Ukarani — powtórzył Ławrecki. — Za cóż to została pani ukarana?

Liza podniosła na niego oczy. Nie wyrażały ani smutku, ani trwogi: wydawały się mniejsze i przygasłe. Twarz jej była blada, z lekka otwarte usta też jakby nie miały w sobie ani kropli krwi.

Ławreckiemu serce ścisnęło się z żalu i miłości.

— Pani mi napisała: wszystko skończone — wyszeptał — tak, wszystko skończone — zanim się zaczęło.

— O tym wszystkim trzeba zapomnieć — powiedziała Liza. — Cieszę się, że pana widzę. Chciałam do pana napisać, ale tak lepiej. Musimy prędzej wykorzystać te chwile. Oboje musimy spełnić swój obowiązek. Pan, Fiodorze Iwanyczu, powinien pogodzić się z żoną.

— Lizo!

— Proszę pana o to. Tym tylko można zmazać... wszystko, co było. Gdy pan pomyśli — na pewno pan nie odmówi mojej prośbie.

— Lizo, na miłość boską — pani żąda ode mnie rzeczy niemożliwej. Gotów jestem zrobić wszystko, co pani każe, ale teraz pogodzić się z nią... Zgadzam się na wszystko, wszystko zapomniałem, nie mogę jednak zmusić swego serca... To, czego pani żąda, jest okrutne!

— Nie żądam od pana... tego, co pan mówi. Niech pan z nią nie mieszka, jeśli pan nie może; ale niech się pan z nią pogodzi — odparła Liza i znowu zasłoniła ręką oczy. — Niech pan sobie przypomni swoją córeczkę; niech pan to zrobi dla mnie.

— Dobrze — powiedział Ławrecki przez zaciśnięte zęby — przypuśćmy, że to zrobię i w ten sposób wypełnię swój obowiązek. No, a pani — na czym polega pani obowiązek?

— O tym — ja wiem. Ławrecki wzdrygnął się nagle.

— Czy przypadkiem nie zamierza pani wyjść za Panszyna? — spytał.

Liza ledwo dostrzegalnie uśmiechnęła się.

— O, nie! — odrzekła.

— Ach, Lizo, Lizo! — wykrzyknął Ławrecki. — Jacy moglibyśmy być szczęśliwi!

Liza znowu spojrzała na niego.

— Teraz pan sam widzi, Fiodorze Iwanyczu, że szczęście zależy nie od nas, lecz od Boga.

— Tak, dlatego że pani...

Drzwi sąsiedniego pokoju szybko się otworzyły i Marfa Timofiejewna weszła z czepkiem w rękę.

— Ledwie go znalazła — powiedziała stając między Ławreckim i Lizą. — Sama go tam położyłam. Co to znaczy starość! Nieszczęście! A zresztą, młodość też nie jest lepsza. Czy sam zawieszysz żonę do Ławryków? — dodała zwracając się do Fiodora Iwanycza.

— Z nią do Ławryków? Ja? Nie wiem — odparł po chwili.

— Nie zejdziesz na dół?

— Dziś — nie.

— No, dobrze — jak chcesz. A ty, Liza, powinnaś jednak... myślę... wrócić na dół. O, Matko Najświętsza! Zapomniałam gilowi nasypać prosa. Czekaście no, zaraz... I Marfa Timofiejewna wybiegła nie włożywszy czepka.

— Lizo — zaczął błagalnym głosem — rozstajemy się na zawsze, serce we mnie zamiera — niech mi pani poda rękę na pożegnanie.

Liza podniosła głowę. Jej zmęczony, prawie zagasły wzrok zatrzymał się na nim.

— Nie — rzekła po chwili i cofnęła już wyciągniętą rękę — nie, panie Ławrecki (po raz pierwszy nazwała go w ten sposób), nie podam panu ręki. Po co? Niech pan odejdzie; proszę, niech pan odejdzie. Pan wie, że pana kocham... tak, kocham pana — dodała z wielkim wysiłkiem — ale nie... nie.

I podniosła chusteczkę do ust.

— Niech mi pani pozwoli przynajmniej wziąć tę chusteczkę.

Drzwi skrzypnęły... Chusteczka ześliznęła się po kolanach Lizy. Ławrecki schwycił chusteczkę, zanim zdążyła upaść na podłogę, szybko wsunął ją do bocznej kieszeni i odwróciwszy głowę spotkał się wzrokiem z Marfą Timofiejewną.

— Zdaje mi się, Lizo, że matka cię woła — powiedziała staruszka.

Liza natychmiast wstała i wyszła.

Marfa Timofiejewna znowu usiadła w swoim kąciku. Ławrecki zaczął się z nią żegnać.

— Fiedia — odezwała się nagle staruszka.

— Co, ciotuniu?

— Jesteś uczciwym człowiekiem?

— Co?

— Pytam: czy jesteś uczciwym człowiekiem?

— Sądzę, że tak.

— Hm... Daj mi słowo honoru, że jesteś uczciwym człowiekiem.

— Dobrze. Ale po co?

— Już ja wiem po co. Ty, mój drogi, sam również, jak się dobrze zastanowisz — a przecie nie zaliczasz się do głupców — zrozumiesz, po co cię o to pytam. A teraz bywaj zdrów, kochaneczku. Dziękuję ci, żeś mnie odwiedził. I o słowie, które dałeś, pamiętaj, Fiedia — no, pocałuj mnie. Ach, mój drogi, wiem, że ci ciężko, ale przecie nikomu nie jest lekko. Był czas, że zazdrościłam muchom, wyobrażałam sobie, że im dopiero jest dobrze; ale pewnego razu, w nocy, usłyszałam, jak mucha brzęczy w łapkach pająka. Nie — pomyślałam sobie — i muchy znają chwilę grozy. Cóż robić, Fiedia! Mimo wszystko pamiętaj o swoim słowie. Idź teraz, idź.

Ławrecki wyszedł tylnym gankiem i już zbliżał się do bramy, kiedy go dogonił lokaj.

— Maria Dmitriewna prosi pana do siebie — zameldował Ławreckiemu.

— Powiedz, że teraz nie mogę... — zaczął Ławrecki.

— Pani kazała bardzo prosić — ciągnął dalej lokaj — kazała powiedzieć, że jest sama.

— A czy goście odjechali? — spytał Ławrecki.

— Tak jest, proszę pana — odparł lokaj i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Ławrecki wzruszył ramionami i poszedł za nim.

XLIII

Maria Dmitriewna siedziała w swoim gabinecie, w wolterowskim fotelii, i wachała wodę kolońską. Obok niej na stoliku stała szklanka z wywarem z pomarańczowego kwiatu. Wdowa była zdenerwowana i jak gdyby nieco zalękniona.

Ławrecki wszedł.

— Pani chciała się ze mną widzieć — powiedział kłaniając się chłodno.

— Tak — odparła Maria Dmitriewna i wypła trochę wywaru. — Dowiedziałam się, że pan przyszedł prosto do cioci i kazałam pana poprosić do siebie: muszę z panem porozmawiać. Niechże pan spocznie, proszę bardzo. — Maria Dmitriewna odetchnęła głęboko. — Wie pan — mówiła dalej — że przyjechała pańska żona?

— Owszem, wiem o tym.

— No tak, to znaczy, chciałam powiedzieć, że przyjechała do mnie i że ją przyjął. Na ten temat chcę teraz porozmawiać z panem, Fiodorze Iwanyczu. Mogę stwierdzić, że zasłużyłam sobie, chwała Bogu, na powszechny szacunek i za żadne skarby nie zrobiłabym nic niestosownego.

Chociaż przewidziałam, że to będzie dla pana przykre, nie mogłam jej nie przyjąć; jest przecie ze mną spowinowacona — przez pana; niechże pan wejdzie w moje położenie, jakież miałam prawo zabronić jej wstępu do mojego domu? Chyba przyzna mi pan rację?

— Niepotrzebnie się pani przejmuję, Mario Dmitriewno — odparł Ławrecki — bardzo dobrze pani zrobiła; wcale się na panią nie gniewam. Nie mam też najmniejszego zamiaru pozbawić Warwarę Pawłównę możliwości bywania u znajomych: dzisiaj nie wstąpiłem do pani tylko dlatego, że nie chciałem się z nią spotkać — i nic więcej.

— Ach, jakże mi miło słyszeć to od pana, Fiodorze Iwanyczu — zawołała Maria Dmitriewna — zresztą, zawsze się tego po panu spodziewałam znając pańską szlachetność. A że się przejmuję — to nic dziwnego: jestem kobietą i matką. A pańska małżonka... oczywiście, nie mam prawa sądzić ani pana, ani jej — powiedziałam to pańskiej żonie w oczy — jest jednak Wyjątkowo sympatyczną damą, której towarzystwo każdemu może sprawić tylko przyjemność.

Ławrecki uśmiechnął się i powachlował kapeluszem.

— I wie pan, co panu jeszcze chciałam powiedzieć, Fiodorze Iwanyczu? — ciągnęła dalej Maria Dmitriewna, z lekka przysuwając się do niego. — Gdyby pan wiedział, jak pańska małżonka skromnie się zachowuje, jak dobrze jest ułożona. To doprawdy wzruszające! A gdyby pan słyszał, jak się o panu wyraża. Nic, tylko ciągle mówi w kółko, że zawiniła wobec pana, że nie umiała pana ocenić, że z pana anioł nie człowiek. Tak się dosłownie wyraziła: anioł. Jej skrucha jest po prostu niezwykła... Jak żyję, nie widziałam podobnej skruchy.

— Przepraszam, Mario Dmitriewno — powiedział Ławrecki — pozwoli pani, że o coś spytam: podobno Warwara Pawłowna w czasie wizyty u państwa dużo śpiewała; czy to ze skruchy tak śpiewała?...

— Ach, jak panu nie wstyd tak mówić. Śpiewała i grała tylko dlatego, żeby mi zrobić przyjemność, bo ją o to usilnie prosiłam, prawie że ją do tego zmuszałam. Widziałam, że się biedaczka tak smuci, tak smuci; chciałam ją czymś rozerwać — a słyszałam, że ma wspaniały talent. Doprawdy Fiodorze Iwanyczu, pańska małżonka jest po prostu złamana tym wszystkim; niech pan spyta chociażby Sergiusza Pietrowicza: kobieta zrozpaczona tout-à-fait. Jak pan może wyobrażać sobie coś innego?

Ławrecki tylko wzruszył ramionami.

— A następnie, cóż to za aniołek ta pańska córeczka, Ada, cóż to za śliczne dziecko! Jakaż ona jest miła, jaka mądra. Świetnie mówi po francusku i doskonale rozumie po rosyjsku — nazwała mnie ciotunią. I wie pan, że całkiem nie boi się ludzi, jak inne dzieci w jej wieku — całkiem się nie boi. Ogromnie do pana podobna, Fiodorze Iwanyczu, ale to ogromnie. Oczy, brwi... wszystko... po prostu wykapany ojciec. Przyznam się, że w ogóle nie bardzo lubię takie małe dzieci, ale w pańskiej córeczce po prostu się zakochałam.

— Mario Dmitriewno — odezwał się nagle Ławrecki — niech mi pani powie z łaski swojej, po co mi pani to wszystko opowiada?

— Po co? — Maria Dmitriewna znowu powąchała wodę kolońską i napiła się wywaru. — A po to, Fiodorze Iwanyczu, żeby... jako pańska kuzynka, która szczerze interesuje się tym, co pana dotyczy, która wie, że pan ma złote serce... Niech pan posłucha, mon cousin, bądź co bądź jestem kobietą doświadczoną i nie będę mówiła na wiatr: niech pan przebaczy swojej żonie, niech pan przebaczy żonie. — Oczy Marii Dmitriewny raptem napełniły się łzami. — Proszę jednak

pomyśleć: młodość, nieznajomość życia... no, może zły przykład: nie miała takiej matki, która by nią należycie pokierowała. Niech pan jej przebaczy, Fiodorze Iwanyczu, bo już została dostatecznie ukarana. Łzy zaczęły spływać po policzkach Marii Dmitriewny, ale ich nie ocierała: lubiła płakać. Ławrecki siedział jak na rozżarzonych węglach. „Mój Boże — myślał — cóż to za tortura, cóż to za straszny dla mnie dzień!”

— Pan nie odpowiada — zaczęła znowu Maria Dmitriewna — jak mam to rozumieć? Czy pan rzeczywiście zdolny jest do takiego okrucieństwa? Nie, nie chcę w to uwierzyć. Czuję, że moje słowa przekonały pana, Fiodorze Iwanyczu. Bóg pana wynagrodzi za pańską dobroć, a teraz niech pan przyjmie z moich rąk swą żonę...

Ławrecki mimo woli podniósł się z krzesła; Maria Dmitriewna też wstała i zwinnie podreptawszy za parawan wyprowadziła stamtąd Warwarę Pawłownę. Błada, na pół żywa, ze spuszczonej oczyma Warwara Pawłowna wyglądała tak, jakby się wyrzekła wszelkich własnych myśli, własnych dążeń — i oddała się bez reszty w ręce Marii Dmitriewny.

Ławrecki zrobił krok w tył.

— Pani tu była! — krzyknął.

— Niech pan jej tego nie bierze za złe — wtrąciła pośpiesznie Maria Dmitriewna — za nic nie chciała tu być obecna, ale ja jej kazałam zostać i schowałam ją za parawanem. Upewniała mnie, że to pana jeszcze więcej rozgniewa, a ja jej nawet nie chciałam słuchać, ponieważ lepiej pana znam niż ona. Niechże pan teraz uściśnie żonę... Niech pani podejdzie, Warwara Pawłowno, niech się pani nie boi, niech się pani rzuci mężowi do nóg! A moje błogosławieństwo...

— Chwileczkę, Mario Dmitriewno — przerwał jej Ławrecki zdławionym, ale wstrząsającym głosem. — Pani zapewne lubi sentymentalne sceny (Ławrecki nie mylił się: Maria Dmitriewna jeszcze z pensjonarskich czasów miała pasję do pewnej teatralności); takie sceny panią ogromnie bawią, ale dla innych mogą być bardzo przykre. Zresztą, nie będę rozmawiał z panią; w tej scenie ktoś inny gra główną rolę. Czego pani chce ode mnie, łaskawa pani? — dodał zwracając się do żony. — Czy nie zrobiłem dla pani wszystkiego, co mogłem? Niech pani nie usiłuje mi dowodzić, że to nie pani urządziła obecne spotkanie; nie uwierzę — i pani wie, że uwierzyć nie mogę. — Czegóż pani chce? Pani jest rozsądna — pani nic nie robi bez celu. Powinna pani zrozumieć, że to jest ponad moje siły, by żyć z panią tak, jak żyłem przedtem. Nie dlatego że się na panią gniewam, ale dlatego, że się stałem innym człowiekiem. Oznajmiłem to pani następnego dnia po pani powrocie i pani sama niewątpliwie, w tej chwili, przyznaje mi w duchu rację. Ale pani chce sobie poprawić opinię u ludzi; pani już nie wystarcza zamieszkiwanie w moim domu, pani chce mieszkać pod jednym dachem ze mną — czy tak?

— Chcę, żeby rai pan przebaczył — powiedziała Warwara Pawłowna nie podnosząc oczu.

— Warwara Pawłowna chce, żeby pan jej przebaczył — powtórzyła Maria Dmitriewna.

— Nie o mnie chodzi, lecz o Adę — szepnęła Warwara Pawłowna.

— Nie o Warwarę Pawłownę chodzi, lecz o Adę — powtórzyła Maria Dmitriewna.

— Doskonale. Pani tego chce? — rzekł z wysiłkiem Ławrecki. — Proszę, zgadzam się i na to.

Warwara Pawłowna obrzuciła go szybkim spojrzeniem, a Maria Dmitriewna zawołała:

— No, chwała Bogu! — i znowu pociągnęła Warwarę Pawłównę za rękę. — Przyjmijcież teraz moje błogosławieństwo...

— Chwileczkę, proszę pani — przerwał jej Ławrecki. — Zgadzą się mieszkać z panią, Warwaro Pawłowno — mówił — odwiozę panią do Ławryków i przemieszkam z panią tak długo, jak długo mi sił starczy, a potem wyjadę — i będę przyjeżdżał od czasu do czasu. Widzi pani, że jej nie chcę oszukiwać, ale proszę ode mnie niczego więcej nie wymagać. Pani by się sama roześmiała, gdybym spełnił życzenie naszej szanownej kuzynki i przycisnął panią do serca, gdybym panią zaczął upewniać, że... że zapomniałem o przeszłości, że ścięte drzewo znowu zakwitnie. Trudno: muszę się poddać. Pani to słowo z pewnością inaczej rozumie... ale to nie zmieni postaci rzeczy. Powtarzam, że będę mieszkał z panią... albo nie, tego obiecać nie mogę... Pogodzę się z panią, będę panią znowu uważał za swoją żonę...

— Niech pan przynajmniej poda żonie rękę na potwierdzenie tego, co pan mówi — odezwała się Maria Dmitriewna, której dawno już obeschły łzy.

— Dotychczas nie oszukiwałem Warwary Pawłowny — odparł Ławrecki — więc uwierzy mi i bez tego. Odwiozę ją do Ławryków. Ale niech pani pamięta, Warwaro Pawłowno — dodał — że umowa nasza przestanie obowiązywać z chwilą, kiedy się pani stamtąd gdziekolwiek ruszy. Teraz — proszę mi pozwolić odejść.

Skłonił się obydwu paniom i pośpiesznie wyszedł z gabinetu.

— Dlaczego pan nie zabiera z sobą żony? — zawołała za nim Maria Dmitriewna.

— Proszę mu dać spokój, droga ciotuniu — szepnęła Warwara Pawłowna i zaraz ją uściskała, zaczęła jej dziękować, całować po rękach, nazywać swoją wybawicielką.

Maria Dmitriewna pobłażliwie przyjmowała te objawy wdzięczności, ale w duszy nie była zadowolona ani z Ławreckiego, ani z Warwary Pawłowny, ani z całej tak starannie przygotowanej sceny. Wszystko wyszło za blado, za mało efektownie: Warwara Pawłowna — jej zdaniem — powinna była paść mężowi do nóg.

— Jakoś mnie źle zrozumiałaś — rozważała na głos — przecież ci powiedziałam: padnij mu do nóg...

— Tak lepiej, droga ciociu; nie ma się czego martwić, wszystko w porządku — dowodziła Warwara Pawłowna.

— No, tak. On jest zimny jak bryła lodu — orzekła Maria Dmitriewna. — Tyś wprawdzie nie płakała, ale przecież ja się przez cały czas zalewałam łzami. Chce cię zamknąć w Ławrykach. Może i do mnie nie będzie ci wolno przyjeżdżać? Wszyscy mężczyźni są bez serca — dodała na zakończenie i znacząco pokiwała głową.

— Za to kobiety umieją cenić dobroć i wspaniałomyślność — powiedziała Warwara Pawłowna i wolniutko osunąwszy się na klęczki przed Marią Dmitriewną, objęła rękami jej okazałą kibić i przycisnęła się do niej twarzą. Twarz ta miała wyraz ledwo ukrywanej wesołości, a Marii Dmitriewnie znowu zaczęły z oczu kapać łzy.

Ławrecki poszedł do domu, zamknął się w pokoiku swego kamerdynera, rzucił się na kanapę i przeleżał tak do rana.

XLIV

Nazajutrz była niedziela. Dźwięk dzwonów na ranną mszę nie zbudził Ławreckiego — który nie zmrużył oka przez całą noc — ale przypomniał mu inną niedzielę, kiedy na życzenie Lizy wybrał się do cerkwi. Ławrecki szybko zerwał się z kanapy. Jakiś tajemny głos mówił mu, że dzisiaj również spotka tam Lizę. Wyszedł po cichu z domu, kazał powiedzieć Warwarze Pawłowni, która jeszcze spała, że wróci na obiad, i wielkimi krokami skierował się tam, dokąd go wołał jednostajny, żaloszny dźwięk. Przyszedł wcześniej: nikogo jeszcze prawie nie było w cerkwi; diaczek na chórze odmawiał godzinki; głos jego, od czasu do czasu przerywany kaszlem, huczał miarowo, to cichnąc, to rozbrzmiewając donośnie. Ławrecki stanął niedaleko od wejścia. Wierni schodzili się po jednym, zatrzymywali się, zegnali znakiem krzyża, bili niskie pokłony; ich kroki dzwoniły w pustce i ciszy, odbijając się wyraźnym echem pod sklepieniami. Zgrzybiała staruszka, w znoszonej pelerynie z kapturem, klęczała obok Ławreckiego i gorliwie się modliła; jej bezzębna, żółta, pomarszczona twarz wyrażała głębokie wzruszenie; zaczerwienione oczy patrzyły uporczywie w górę, na ikonostas; koścista ręka raz po raz wysuwała się spod peleryny i zamasyście kreśliła w powietrzu wielki, szeroki krzyż. Chłop o gęstej brodzie i ponurej twarzy, rozczochrany i obdarty, wszedł do cerkwi, padł od razu na obydwie kolana i zaczął się pośpiesznie żegnać odrzucając głowę w tył i potrząsając nią po każdym pokłonie. Na jego twarzy i w ruchach tyle było rozpacz, że Ławrecki zdecydował się podejść do niego i spytać, co mu dolega. Chłop cofnął się gwałtownie i z lękiem spojrzał na Ławreckiego... — Syn pomarł — wymówił szybkim głosem, i znowu jął bić pokłony... „Co im może zastąpić pociechę, którą daje religia” — pomyślał Ławrecki i sam spróbował się modlić; ale serce miał obolałe, przepełnione gniewem, więc nie mógł skupić myśli. Wciąż oczekiwał Lizy, ale Liza nie przychodziła. Cerkiew powoli napelniała się ludźmi, a Lizy wciąż nie było. Msza się zaczęła, diakon już wygłosił ewangelię, zadzwoniono na Ofiarowanie; Ławrecki wysunął się trochę naprzód — i nagle ujrzał Lizę. Przyszła wcześniej niż on, ale jej nie zauważył; wcisnąwszy się we wnękę między ścianą a chórem nie oglądała się i nie ruszała z miejsca. Ławrecki nie odrywał od niej oczu aż do końca mszy: zegnał się z nią. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a Liza wciąż stała, jakby czekając na odejście Ławreckiego. Wreszcie przeżegnała się po raz ostatni i wyszła nie oglądając się; towarzyszyła jej jedna z pokojówek. Ławrecki wyszedł zaraz za nią z cerkwi i dogonił ją na ulicy. Liza szła bardzo szybko, schyliwszy głowę i spuściwszy woalkę na twarz.

— Dzień dobry, Lizawieto Michajłowno — powiedział głośno, z wymuszoną swobodą — czy można panią odprowadzić?

Liza nic nie odrzekła. Ławrecki poszedł dalej razem z nią.

— Czy pani jest zadowolona ze mnie? — spytał zniżony głos. — Czy pani słyszała o tym, co się wczoraj stało?

— Tak, tak — potwierdziła szeptem — to bardzo dobrze.

I zaczęła iść jeszcze szybciej.

— Więc pani jest zadowolona? Liza tylko skinęła głową.

— Fiodorze Iwanyczu — rzekła po chwili spokojnym, ale stłumionym głosem — chciałam pana prosić: niech pan więcej do nas nie przychodzi, niech pan wyjedzie jak najprędzej; możemy się

później zobaczyć — kiedyś, za rok. A teraz niech pan to zrobi dla mnie, niech pan spełni moją prośbę, błagam pana.

— Jestem gotów spełnić wszystko, czego pani sobie życzy, Lizawieto Michajłowno — ale czy tak powinniśmy się rozstać? Czy nie powie mi pani ani jednego słowa?

— Fiodorze Iwanyczu, pan teraz idzie obok mnie... A jest pan już tak daleko, tak daleko ode mnie. I nie tylko pan, lecz...

— Niech pani dokończy, błagam panią! — zawołał Ławrecki. — Co pani chce powiedzieć?.

— Może pan usłyszy... ale cokolwiek by się stało, niech pan zapomni... nie, niech pan nie zapomina o mnie, niech pan o mnie pamięta.

— Ja miałbym o pani zapomnieć!...

— Dosyć, żegnam pana... Niech pan już nie idzie dalej za mną.

— Lizo... — zaczął Ławrecki.

— Żegnam pana, żegnam — powtórzyła Liza. Jeszcze niżej spuściła woalkę i prawie biegnąc oddaliła się od Ławreckiego.

Ławrecki popatrzył na nią i zwiesiwszy głowę poszedł z powrotem ulicą. Po drodze natknął się na Lemmę, który kroczył nacisnąwszy kapelusz na nos i wlepiwszy oczy w ziemię.

Obydwaj popatrzyli na siebie.

— I cóż pan powie? — przemówił wreszcie Ławrecki.

— Co powiem? — odrzekł ponuro Lemm. — Nic nie powiem. Wszystko umarło i myśmy umarli. (Alles ist tot und wir sind tot.) Pan idzie na prawo?

— Na prawo.

— A ja na lewo. Żegnam pana.

Następnego ranka Fiodor Iwanycz z żoną udał się do Ławryków. Warwara Pawłowna jechała na przedzie karetą, w towarzystwie Ady i Justyny; Ławrecki z tyłu, w tarantasie. Ładniutka dziewczynka przez całą drogę nie odrywała się od okna karety; wszystko ją dziwiło: chłopci, baby, chałupy, studnie, długi, dzwoneczki i stada gawronów. Justyna podzielała jej zdziwienie. Warwara Pawłowna śmiała się z ich uwag i okrzyków. Była w dobrym humorze; przed odjazdem z O*** miała rozmowę z mężem.

— Rozumiem pana sytuację — powiedziała mu i Ławrecki z wyrazu jej sprytnych oczu mógł wywnioskować, że istotnie rozumiała jego sytuację — musi pan jednak oddać mi przynajmniej tę sprawiedliwość, że ze mną łatwo dojść do ładu i zgody; nie będę się panu narzucała, nie będę pana krępowała; chciałam zabezpieczyć przyszłość Adzie i cel ten osiągnęłam; więcej mi nic nie trzeba.

— Tak, pani osiągnęła wszystkie swoje cele — wyrzekł Fiodor Iwanycz.

— Teraz marzę tylko o jednym: zakopać się na zawsze w tym zapadłym kącie. Będę wiecznie pamiętała o wszystkich dobrodziejstwach, które mi pan wyświadczył...

— Pfe! Niechże pani da spokój... — przerwał jej Ławrecki.

— I potrafię szanować pańską niezależność i pański spokój — dokończyła przygotowanego frazesu.

Ławrecki uklonił się nisko. Warwara Pawłowna domyśliła się, że mąż w duchu był jej za to wdzięczny.

Następnego dnia pod wieczór przyjechali do Ławryków. W tydzień później Ławrecki udał się do Moskwy zostawiwszy żonie około pięciu tysięcy rubli na życie — a na drugi dzień po odjeździe Ławreckiego zjawił się Panszyn, którego Warwara Pawłowna prosiła, żeby o niej nie zapominał w jej osamotnieniu. Przyjął go, jak mogła najlepiej, i do późnej nocy wysokie pokoje domu, a także i ogród, rozbrzmiewały dźwiękami muzyki, śpiewu i wesołych francuskich rozmów. Panszyn spędził w Ławrykach trzy dni. Żegnając się z Warwarą Pawłowną i mocno ściskając jej piękne rączki przyrzekł, że wkrótce przyjedzie znowu — i dotrzymał przyrzeczenia.

XLV

Liza miała oddzielny, niewielki pokój na pierwszym piętrze domu swojej matki, czysty, widny, z białym łóżeczkiem, z doniczkami kwiatów w kątach i przed oknami, z niedużym biureczkiem, stosem książek i krucyfiksem na ścianie. Pokój ten nazywano „pokojem dziecięcym”; tu urodziła się Liza. Wróciwszy z cerkwi, gdzie ją widział Ławrecki, posprzątała staranniej niż zwykle, wszędzie pościarała kurz, przejrzała i poprzewiązywała wstążeczkami wszystkie swoje zeszyty i listy od przyjaciółek, pozamykała wszystkie szufladki, podlała kwiaty i dotknęła ręką każdego z osobna. Wszystko to robiła bez pośpiechu, cicho, z jakąś pełną rozrzuwieniem i zadumy troskliwością. Wreszcie stanęła pośrodku pokoju, obejrzała się powoli i podszedłszy do stołu, nad którym wisiał krucyfix, uklękła, oparła głowę na złożonych rękach i znieruchomiała.

Marfa Timofiejewna weszła i zastała ją w tej pozycji. Liza nie zauważyła jej przyjścia, staruszka wyszła na palcach za drzwi i kilka razy głośno kaszlnęła. Liza szybko się podniosła i wytarła oczy, w których błyszczały jasne, niewypłakane łzy.

— Widzę, że znowu robiłaś porządek w swojej celce — powiedziała Marfa Timofiejewna i pochyliła się nisko nad doniczką, w której rosła róża. — O, jak pięknie pachnie!

Liza w zamyśleniu popatrzyła na ciotkę.

— Jakie to ciotunia wymówiła słowo! — rzekła szeptem.

— Jakie słowo, jakie? — podchwyciła żywo staruszka. — Co chcesz powiedzieć? To okropne — powiedziała zrzucając czepek i siadając na łóżeczku Lizy. — To jest ponad moje siły. Czwartego dnia już się tak czuję, jakbym się gotowała w kotle; nie mogę dłużej udawać, że nic nie dostrzegani, nie mogę patrzeć na to, jak ty bledniesz, schniesz, płaczesz — nie mogę, nie mogę.

— Co się z ciotunią dzieje? — rzekła Liza. — Przecież ja nic...

— Nic! — wykrzyknęła Marfa Timofiejewna. — Innym to mów, a nie mnie. Nic! A kto dopiero co klęczał i modlił się? Kto ma rzęsy jeszcze mokre od łez? Nic! Przejrzyj no się w lustrze, coś ty zrobiła ze swoją twarzą, gdzieś ty podziała oczy? Nic! Czy to ja nie wiem wszystkiego?

— To przejdzie, ciociu; trzeba czasu...

— Przejdzie, ale kiedy? Święty Boże, czyś ty go aż tak pokochała? Przecież to stary człowiek, Lizo. Nie przeczę, owszem: porządny człowiek, niezły — ale co z tego? Wszyscy jesteśmy porządni. A na nim świat się nie kończy; dużo jest takich porządných ludzi jak on.

— Mówię, że to wszystko przejdzie, to wszystko już przeszło.

— Słuchaj, co ci powiem — powiedziała nagle Marfa Timofiejewna sadzając Lizę koło siebie na łóżku i poprawiając jej włosy. — To ci się tylko teraz, na gorąco, wydaje, że twojemu nieszczęściu nie można zaradzić. Wierz mi, moje dziecko, że tylko na śmierć nie ma lekarstwa. Musisz sobie powiedzieć: „Nie dam się — i basta” i sama się potem zdziwisz, jak ci to przejdzie nie wiadomo kiedy. Trzeba się tylko przemóc.

— Ciotuniu — odparła Liza — to już przeszło, wszystko przeszło.

— Jakie tam znowu „przeszło”! Patrz, nawet ci się nosek zaostrzył, a ty mówisz: „przeszło”. Ładnie przeszło!

— Tak, przeszło, ciotuniu, ale ciotunia musi mi pomóc, żeby nie wróciło — rzekła z nagłym ożywieniem Liza i rzuciła się na szyję Marfie Timofiejewnie. — Droga ciotuniu, niech ciotunia mi pomoże jak przyjaciółka, niech ciotunia się nie gniewa, zrozumie mnie...

— Dobrze, ale o co chodzi, o co chodzi, kochaneczko? Proszę cię, nie przerażaj mnie; nie patrz tak na mnie, bo zaraz zacznę krzyczeć, mów prędzej, o co chodzi?

— Chcę... — Liza ukryła twarz na piersi Marfy Timofiejewny — ...chcę wstąpić do monasteru — powiedziała głucho.

Staruszka aż podskoczyła na łóżku.

— Przeżegnaj się, Lizo, opamiętaj się. Na Boga, co ty wygadujesz — wyrzekła dygocącym głosem. — Połóż się, kochaneczko, pośpij trochę; to wszystko z bezsenności, wierz mi, moja miła.

Liza podniosła głowę; policzki jej pałały.

— Nie, ciotuniu — odparła — proszę tak nie mówić. Powzięłam nieodwołalne postanowienie, modliłam się, prosiłam o pomoc Boga; wszystko skończone, skończyło się moje życie w domu rodzinnym. Nauka nie była daremna; zresztą nie pierwszy raz o tym myślę. Szczęście nie chciało do mnie przyjść; nawet wtedy, kiedy miałam nadzieję, że je osiągnę, serce mi się wciąż ścisnęło. Wiem o wszystkim, i o własnych grzechach, i o cudzych, wiem, jak ojczulek dorobił się pieniędzy," wiem wszystko. I to wszystko trzeba odmodlić, trzeba odmodlić. Żal mi ciebie, ciotuniu, żal mamy i Leny, ale cóż robić, czuję, że tutaj nie będę mogła żyć; już się ze wszystkim pożegnałam, wszystkiemu w domu pokłoniłam się ostatni raz; coś mnie wzywa; ciężko mi tu, chciałabym zamknąć się w celi na zawsze. Niech mię ciotunia nie powstrzymuje, nie nakłania do zmiany postanowienia, ale pomoże mi, bo inaczej — odejdę sama...

Marfa Timofiejewna z przerażeniem słuchała słów Lizy.

„Chora, biedaczka, bredzi — myślała — trzeba posłać po doktora. Ale po którego? Gedeonowski wychwalał jednego niedawno; zwykle kłamie, ale tym razem może powiedział prawdę?” Kiedy jednak przekonała się, że Liza nie jest chora i nie bredzi, kiedy na wszystkie jej perswazje dawała jedną i tę samą odpowiedź — przestraszyła się i zasmuciła nie na żarty.

— Przecie nie wiesz, kochaneczko — zaczęła znowu przekonywać Lizę — jakie w monasterach jest życie. Będą cię karmili zielonym olejem konopnym, dadzą ci bieliznę z najgrubszego płótna, każą ci boso chodzić; przecie tego nie wytrzymasz. To wszystko przez Agaszę, to ona ci przewróciła w głowie. A sama zaczęła od tego, że sobie nieźle użyła, dogadzała sobie, jak mogła — pozuj więc najpierw. Pozwól mi przynajmniej umrzeć spokojnie, a potem rób, co chcesz. I któż to widział, żeby z powodu jakiejś koźlej brody, żał się Boże, z powodu mężczyzny wstępować do monasteru? Jeśli cię taki wstręt ogarnął, to pojedź, pomódl się tam, wysłuchaj mszy świętej, ale nie kładź czarnego kaptura na głowę, Matko Najświętsza, Jezusie Nazareński!

I Marfa Timofiejewna zalała się rzewnymi łzami.

Liza pocieszała ją, ocierała jej łzy, sama płakała, ale trwała przy swoim. Zrozpaczona Marfa Timofiejewna próbowała użyć pogroźki: że wszystko powie matce... ale i to nie pomogło. Dopiero na usilne prośby staruszki Liza zgodziła się odwlec wykonanie swego zamiaru na pół roku. Za to jednak Marfa Timofiejewna musiała dać słowo, że sama jej pomoże i wystara się o zgodę Marii Dmitriewny, jeśli po upływie sześciu miesięcy Liza nie zmieni swego postanowienia.

Gdy nastały pierwsze jesienne chłody, Warwara Pawłowna mimo obietnicy, że zaszyje się w głuszy, zaopatrzwszy się w pieniądze wyjechała do Petersburga, gdzie wynajęła skromne, ale miłutkie mieszkanie. Pomógł jej w tym Panszyn, który jeszcze wcześniej niż ona opuścił o***ską gubernię. W ostatnim okresie swego pobytu w O*** młody urzędnik stracił zupełnie sympatię Marii Dmitriewny; nagle przestał ją odwiedzać i prawie nie wjeżdżał z Ławryków. Warwara Pawłowna zrobiła z niego swojego niewolnika; właśnie niewolnika: żadne inne słowo nie mogłoby wyrazić owej nieograniczonej władzy, całkowitej, despotycznej, jaką nad nim zdobyła.

Ławrecki spędził zimę w Moskwie, a na wiosnę następnego roku dotarła do niego wiadomość, że Liza złożyła śluby zakonne w b***skim monasterze, znajdującym się w jednej z najodleglejszych okolic Rosji.

EPILOG

Minęło osiem lat. Znowu nastąpiła wiosna... Ale powiemy przedtem parę słów o losach Michalewicza, Panszyna tudzież pani Ławreckiej — i pożegnamy się z nimi. Michalewicz po wielu wędrówkach z miejsca na miejsce znalazł wreszcie odpowiednie dla siebie zajęcie: dostał posadę starszego nadzorcy w pewnej instytucji państwowej. Jest bardzo zadowolony ze swego losu, a jego wychowankowie „ubóstwiają” go, chociaż niekiedy przedrzeźniają. Panszyn wielokrotnie awansował i ma nadzieję zostać dyrektorem; chodzi nieco zgarbiony; prawdopodobnie krzyż św. Włodzimierza, który mu zawieszono na szyi, ciągnie go tak naprzód. Urzędnik wziął w nim ostatecznie górę nad artystą; jego wciąż jeszcze młoda twarz — pożółkła, włosy się przerzedziły. Przestał śpiewać i rysować, zajął się natomiast po cichu literaturą: napisał komedijkę z „morałem” — a ponieważ obecnie wszyscy piszący z reguły „przedstawiają” coś lub kogoś, więc i on w swym utworze przedstawił kokietkę. Czyta go teraz w tajemnicy kilku życzliwie dla niego usposobionym damom. Nie ożenił się jednak, chociaż miał po temu wiele wspaniałych okazji: zawiniła tu niewątpliwie Warwara Pawłowna. Co się jej tyczy, to po dawnemu mieszka stale w Paryżu; Fiodor

Iwanycz wystawił jej weksel i wykupił się w ten sposób od możliwości ponownego nieoczekiwanego najazdu. Postarzała się i utyla, ale wciąż jeszcze jest powabna i wytworna. Każdy człowiek ma jakiś własny ideał; Warwara Pawłowna znalazła sobie taki ideał — w utworach dramatycznych Dumasa-syna. Regularnie chodzi do teatru, gdzie na scenie pokazują suchotnicze i sentymentalne kamelie; być panią Doche wydaje się jej szczytem ludzkiej szczęśliwości; pewnego razu oświadczyła nawet, że nie pragnie dla córki lepszej doli. Należy mieć nadzieję, że mademoiselle Ada uniknie podobnego losu: z rumianego, tryskającego zdrowiem dziecka stała się bladą, o słabych płucach dziewczynką; nerwy ma już rozstrojone. Liczba wielbicieli Warwary Pawłowny wybitnie się zmniejszyła, ale pozostało ich jeszcze sporo; niektórych zdoła z pewnością utrzymać przy sobie do końca życia. Najbardziej gorliwym z nich był ostatnio niejaki Zakurdało-Skubyrnikow, dymisjonowany oficer gwardii, mężczyzna trzydziestoośmioletni, strasznie wąsaty i niezwykle krzepko zbudowany. Francuscy bywalcy salonu pani Ławreckiej nazywają go le gros taureau de l'Ukraine. Warwara Pawłowna nigdy go nie zaprasza na swoje modne wieczory, ale wąsacz cieszy się niezmiennie jej względami.

A więc... minęło osiem lat. Znowu powiało z nieba promiennym szczęściem wiosny, znowu wiosna uśmiechnęła się do ziemi i do ludzi; znowu pod jej pieczątką wszystko zakwitło, rozśpiewało się i rozkochało. Miasto O*** niewiele się zmieniło w ciągu tych ośmiu lat; tylko dom Marii Dmitriewny jakby odmłodził: jego niedawno pomalowane ściany bieleły się odświeżenie, a szyby okien połyskiwały czerwono w blaskach zachodzącego słońca; z okien tych dolatywał na ulicę gwar dźwięcznych młodych głosów i nieustanny śmiech; zdawało się, że cały dom aż kipi życiem, że jest wypełniony radością aż po brzegi. Właścicielka tego domu dawno już zeszła do grobu: Maria Dmitriewna umarła w dwa lata po złożeniu ślubów zakonnych przez Lizę. Marfa Timofiejewna też niedługo przeżyła swą kuzynkę; obydwie spoczywają obok siebie na miejskim cmentarzu. Odeszła w zaświaty również Nastasja Karpowna; wierna staruszka w ciągu kilku lat chodziła co tydzień modlić się na mogile swojej opiekunki i przyjaciółki... Wreszcie i jej kości legły w wilgotnej ziemi na wieczne odpoczywanie. Ale dom Marii Dmitriewny nie przeszedł w cudze ręce, nie przestał być własnością rodziny, gniazdo nie uległo zniszczeniu: Lena, która wyrosła na smukłą, piękną dziewczynę, i jej narzeczony — młody, jasnowłosy oficer huzarów; syn Marii Dmitriewny, który niedawno się ożenił i razem z żoną przyjechał na wiosnę do O***, siostra jego żony, szesnastoletnia pensjonarka o różowych policzkach i jasnych oczach; Szuroczka, która też wyrosła i wyładniała — ta właśnie młodzież napełniała śmiechem i wrzawą ściany domu Kalitinów. Wszystko się w nim zmieniło, odpowiednio do potrzeb i upodobań nowych mieszkańców. Młodzi chłopcy dworscy, urwisy i żartownisie, zastąpili dawnych statecznych starców; tam gdzie niegdyś przechadzała się z godnością nadmiernie obrosnięta tłuszczem Roska, biegały jak szalone i skakały po kanapach dwa legawce; w stajni pełno było koni — dyszlowych i lejcowych z wiązanymi grzywami, dzielnych kłusaków i wierzchowców dońskich. Godziny śniadań, obiadów i kolacji pogmatwały się i pomieszały; w całym domu zapanowały, wedle określenia sąsiadów, „dzikie porządki”.

Tego wieczora, o którym zaczęliśmy mówić, mieszkańcy domu Kalitinów (najstarszy z nich, narzeczony Leny, miał dopiero dwadzieścia cztery lata) zajęci byli niezbyt skomplikowaną, ale sądząc po ich zgodnym śmiechu, bardzo dla nich wesołą grą: biegali po pokojach i gonili się wzajemnie; psy też biegały i czekały, a wiszące w klatkach przed oknami kanarki darły gardziółką jak najęte, potęgując ogólny zgiełk swym nieustającym szczebiotem. W chwili kiedy ta ogłuszająca zabawa doszła niejako do punktu kulminacyjnego, przed bramę zajechał zbrzydany błotem tarantas. Wysiadł z niego mężczyzna czterdziestoparoletni, w podróżnym stroju i stanął zdumiony. Postąpił chwilę nieruchomo, obrzucił dom uważnym spojrzeniem, wszedł przez furtkę na dziedziniec i powoli wstąpił po schodach na ganek. W przedpokoju nikt go nie powitał, ale drzwi do salonu szybko się rozwarły i wybiegła z nich zarumieniona Szuroczka — a za nią błyskawicznie wypadła cała rozkrzyczana wataha młodzieży. Wszyscy raptem zatrzymali się i ucichli na widok

nieznajomego; ale jasne oczy, wpatrzone w niego, spoglądały przyjaźnie, a młode twarze nie przestały się uśmiechać. Syn Marii Dmitriewny podszedł do przybyłego i spytał, czego sobie życzy.

— Jestem Ławrecki — rzekł przybyły.

W odpowiedzi na to rozległ się chóralny okrzyk — nawet nie dlatego, że ta cała młodzież tak się ucieszyła z przyjazdu dalekiego, niemal zapomnianego kuzyna, lecz po prostu dlatego, że wszyscy byli gotowi cieszyć się i hałasować korzystając z każdej nadarzającej się okazji. Ławreckiego natychmiast otoczono. Lena, jako dawna znajoma, pierwsza wymieniła swe imię, zapewniła go, że jeszcze chwila — a byłaby go na pewno poznała, i przedstawiła resztę towarzystwa, nazywając każdego, nawet swego narzeczonego, zdrobniałym imieniem. Cała gromada ruszyła przez jadalnię do salonu. Tapety w obydwóch pokojach były inne niż dawniej, ale meble zostały te same. Ławrecki poznał fortepian; nawet krosna pod oknem stały na dawnym miejscu — i bodaj czy nie z tym samym niedokończonym haftem, jak przed ośmioma laty. Ławreckiego posadzono w wygodnym fotelu; wszyscy grzecznie porozsiadali się dokoła niego. Zaczęły się sypać na wyścigi pytania, okrzyki, nowiny.

— Dawnośmy pana nie widzieli — zauważyła naiwnie Lena. — I Warwary Pawłowny też nie widzieliśmy...

— Ba — podchwycił śpiesznie jej brat — zawiozłem cię do Petersburga, a Fiodor Iwanycz przez cały czas mieszkał na wsi.

— A przecież w tym czasie umarła mama.

— I Marfa Timofiejewna — dodała Szuroczka.

— I Nastasja Karpowna — uzupełniła Lena — i monsieur Lemm...

— Co? I Lemm umarł? — spytał Ławrecki.

— Tak — odpowiedział młody Kalitin — wyjechał stąd do Odessy; podobno ktoś go tam zwabił; tam też zakończył życie.

— Nie wie pan, czy nie zostały po nim jakieś nuty?

— Nie wiem; ale wątpię, czy zostały.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na siebie. Mgiełka smutku przesłoniła wszystkie młode twarze.

— A Matros żyje — przerwała milczenie Lena.

— I Gedeonowski żyje — dodał jej brat.

Przy nazwisku Gedeonowskiego znowu zabrzmiał chóralny śmiech.

— Tak, żyje i zmyśla po dawnemu — ciągnął dalej syn Marii Dmitriewny. — I niech pan sobie wyobrazi, że ta figlarka (wskazał na pensjonarkę, siostrę swej żony) nasypała mu wczoraj pieprzu do tabakierki.

— Jak on kichał — zawołała Lena i wybuchnęła nieposkromionym śmiechem.

— Dostaliśmy niedawno wiadomości o Lizie — odezwał się młody Kalitin i znowu wszystko dokoła ucichło. — Czuje się dobrze, jej zdrowie poprawia się po trochu.

— Czy jest wciąż w tym samym monasterze? — spytał nie bez wysiłku Ławrecki.

— W tym samym.

— Pisze do domu?

— Nie, nigdy; wiadomości dochodzą do nas przez ludzi.

Zapanowało nagle, głębokie milczenie. „Anioł śmierci przeleciał” — pomyśleli wszyscy.

— Może miałby pan ochotę pójść do ogrodu? — zwrócił się Kalitin do Ławreckiego. — Tak jest teraz bardzo ładnie, chociaż zapuściliśmy go trochę.

Ławrecki wyszedł do ogrodu i pierwszą rzeczą, która mu się rzuciła w oczy, była ta sama ławka, na której siedział ongiś z Lizą. Owe szczęśliwe chwile nie powtórzyły się już nigdy. Ławka szerniała, skrzywiła się, ale on ją poznał — i ogarnęło go to uczucie, które nie ma sobie równego ani pod względem słodyczy, ani bólu — żywe uczucie żalu za minioną młodością, za straconym szczęściem. Razem z młodzieżą przeszedł się po alejach: lipy niezbyt się zestarzały i rozrosły w ciągu ostatnich ośmiu lat, ale cień od nich stał się gęstszy; za to wszystkie krzewy mocno wybujały, chruśniak malinowy okrzepł i całkiem zagłuszył leszczynę; zewsząd pachniało wilgotną ziemią, drzewami, trawą i bzem.

— Tu by można było świetnie grać w cztery kąty — zawołała raptem Lena wszedłszy na niedużą, zieloną polanę otoczoną lipami — jest nas akurat pięć osób.

— A o Fiodorze Iwanyczu zapomniałeś? — zwrócił jej uwagę brat. — Czy też siebie nie liczysz?

Lena z lekka się zaczerwieniła. .

— A czy Fiodor Iwanycz, w jego wieku, mógłby... — zaczęła.

— Bardzo proszę, bawcie się — pośpiesznie wtrącił się do sporu Ławrecki — nie zwracajcie na mnie uwagi. Będzie mi przyjemniej, jeśli będę wiedział, że nikogo swoją osobą nie krępuję. Mną się zajmować nie trzeba; ludzie w moim wieku mają takie zajęcia, którego nikt z was nie zna i którego żadna rozrywka zastąpić nie może: wspomnienia.

Młodzi ludzie wysłuchali przemowy Ławreckiego z uprzejmym, ale trochę ironicznym szacunkiem — jakby nudnej lekcji nauczyciela — i nagle wszyscy odskoczyli od niego, wbiegli na polankę: czworo stanęło pod drzewami, jedno pośrodku — i zaczęła się zabawa.

A Ławrecki wrócił do domu, wszedł do jadalni, zbliżył się do fortepianu i dotknął jego klawiszy: rozległ się słaby, ale czysty dźwięk i tajemnie zadrżał w jego sercu — tą nutą zaczynała się owa natchniona melodia, którą dawno, dawno temu, w noc szczęścia, jedyną i niepowrotną, zagrał mu Lemm, nieżyjący już teraz Lemm i wprowadził go w taki zachwyt. Potem Ławrecki wszedł do salonu i długo z niego nie wychodził: w tym pokoju, gdzie tak często widywał Lizę, żywiej powstawał

przed nim jej obraz; zdawało mu się, że czuje dokoła siebie ślady jej obecności; ale tęsknota za nią była bolesna i ciężka: nie miała w sobie ciszy, którą nawiewa śmierć. Liza jeszcze żyła gdzieś daleko i samotnie; Ławrecki myślał o niej jak o żywej i w tym mglistym, bladym widmie, obleczonym w habit zakonny, przesłoniętym smugami kadzidlanych dymów, nie poznawał dziewczyny, którą kiedyś kochał. Ławrecki nie poznałby sam siebie, gdyby mógł na siebie spojrzeć tak, jak spoglądał w myśli na Lizę. W ciągu tych ośmiu lat dokonał się nareszcie przełom w jego życiu, ów przełom, którego wielu innych ludzi nie doświadcza, ale bez którego nie można zostać człowiekiem całkowicie uczciwym: rzeczywiście przestał myśleć o własnym szczęściu, o różnych korzyściach i sukcesach osobistych. Uciszył się w sobie i — po cóż tać prawdę? — zestarzał się nie tylko ciałem, lecz i duszą. Zachować serce młode na starość jest, jak twierdzą niektórzy, i trudne, i niemal śmieszne; ten już może być zadowolony, kto nie utracił wiary w dobro, stałość uczuć i woli, chęć do pracy. Ławrecki miał prawo być zadowolony: stał się naprawdę dobrym gospodarzem, naprawdę nauczył się orać ziemię i pracował nie tylko dla siebie — wedle sił i możliwości zabezpieczył i ugruntował byt swoich chłopów.

Ławrecki wyszedł z domu do ogrodu, usiadł na znajomej ławce — i na tym drogim miejscu, w obliczu tego domu, gdzie po raz ostatni na próżno wyciągał ręce po upragnioną czarę, w której mieni się i musuje złote wino miłości — on, samotny, bezdomny wędrowiec, słysząc dźwięki dolatujących do niego wesołych okrzyków młodzieży, która zajęła już miejsce jego pokolenia — obejrzał się na swoje życie. Smutno mu się zrobiło na sercu, ale nie ciężko i nie przykro: miał czego żałować, ale nie miał się czego wstydzić. „Bawcie się, weselcie, rośnijcie, młodzi — myślał i w jego myślach nie było goryczy. — Życie jest przed wami i lżej wara będzie żyć, nie będziecie musieli jak ja i moi rówieśnicy szukać dopiero drogi, walczyć, padać i podnosić się wśród mroku; myśmy się troszczyli o to, jak ocaleć — a iluż nas nie ocalało! — wy zaś macie otwarte pole do działania i pracy — a błogosławieństwo starszego pokolenia będzie wam towarzyszyło. Mnie po dzisiejszym dniu, po tych wszystkich wrażeniach pozostaje tylko ostatni raz wam się pokłonić — i chociaż ze smutkiem, ale bez zawiści, bez żadnych nieprzyjaznych uczuć powiedzieć wobec zbliżającej się śmierci, wobec czekającego Boga: «Witaj, samotna starości! Dogasaj, bezpłodne życie!»"

Ławrecki powoli wstał i powoli odszedł. Nikt go nie zauważył, nikt go nie zatrzymał. Wesołe okrzyki jeszcze donośniej niż przedtem rozbrzmiewały w ogrodzie za zieloną, zwartą ścianą wysokich lip. Ławrecki wsiał do tarantasu, kazał stangretowi jechać do domu i nie popędząć koni.

„I już koniec?" — może spytać niezadowolony czytelnik. „A cóż się stało później z Ławreckim? Z Lizą?" Cóż jednak da się powiedzieć o ludziach, żywych jeszcze, ale już nie biorących udziału w walce, która jest treścią ludzkiego życia? Po co do nich wracać? Ławrecki podobno odwiedził ów daleki monaster, gdzie się schroniła Liza — i zobaczył ją. Przechodząc z jednej strony cerkwi monasterskiej na drugą minęła go; przeszła miarowym, pośpiesznym i pokornym krokiem mniszki — i nie spojrzała na niego; tylko rzęsy zwróconego ku niemu oka ledwo dostrzegalnie drgnęły, tylko jeszcze niżej pochyliła swą wychudłą twarz — i palce złożonych jak do modlitwy rąk, splecione różańcem, jeszcze mocniej się zacisnęły. Co myśleli, co poczuli oboje? Któż to wie? Któż może o tym powiedzieć? Są w życiu takie chwile, takie uczucia... Można tylko wskazać na nie — i iść dalej.